NRLF-1
MAIN

BIBLJOTEKA ISKIER

NTONI PISULIŃSKI

SZLAKIEM SŁONIA AFRYKAŃSKIEGO

KSIĄŻNICA-ATLAS

BIBLJOTEKA „ISKIER“

10.

ANTONI PISULIŃSKI

SZLAKIEM SŁONIA AFRYKAŃSKIEGO

BIBLJOTEKA „ISKIER“
powieściowa i popularno-naukowa pod red. Wł. Kopczewskiego

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

1. *Karol Dickens:* Maleńka Dorrit, powieść w opracowaniu Cecylji Niewiadomskiej.
2. *Jadwiga Marcinowska:* W upalnem sercu Wschodu. Wrażenia z podróży po Egipcie, Indjach, Cejlonie i Jawie. Z ilustracjami.
3. *J. H. Fabre:* Szkodniki. Pogadanki o owadach szkodliwych, w tłum. Z. Bohuszewiczówny. Z ilustracjami.
4. *J. H. Fabre:* Nasi sprzymierzeńcy. Pogadanki o zwierzętach pożytecznych, w tłumaczeniu Z. Bohuszewiczówny i M. Górskiej. Z ilustracjami.
5. *Bronisława Ostrowska:* Bohaterski Miś czyli przygody pluszowego niedźwiadka na wojnie. Dla dzieci od lat 10 do 100. Z ilustracjami. Wyd. III.
6. *Kazimierz Andrzej Czyżowski:* Szalony lotnik. Powieść fantastyczna.
7. Dwunastka. 12 nowel nowoczesnej literatury światowej w tłumaczeniu Merwina.
8. *Walter Scott:* Kwintyn Durward. Powieść w oprac. T. T.
9. *G. Erpianis:* Jędraszek w samochodzie. Powieść. Z włoskiego przełożyła z upoważnienia autora R. Centnerszwerowa.
10. *Antoni Pisuliński:* Szlakiem słonia afrykańskiego. Wrażenia z podróży i polowań w Afryce środkowej.

BIBLJOTEKA „ISKIER“
POD REDAKCJĄ WŁADYSŁAWA KOPCZEWSKIEGO

ANTONI PISULIŃSKI

SZLAKIEM SŁONIA AFRYKAŃSKIEGO

WRAŻENIA Z PODRÓŻY I POLOWAŃ
W AFRYCE ŚRODKOWEJ

Z 28 ILUSTRACJAMI

KSIĄŻNICA-ATLAS
ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE I WYDAWNICZE
TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN. I WYŻSZ. SP. AKC.
LWÓW — WARSZAWA
1927

Printed in Poland

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

2104

Klisze, skład i druk wykonano w zakładach graficznych „Książnica-Atlas“ we Lwowie.

WSTĘP.

Już od pierwszej mej młodości podróże po dalekich krajach miały dla mnie szczególniejszy urok. Zazdrościłem ludziom, którzy zwiedzali zamorskie krainy i marzyłem tylko o tem, aby kiedyś w przyszłości dostać się do krajów podzwrotnikowych i własnemi oczami stwierdzić opowieści o nieprzebytych dziewiczych lasach, o bezbrzeżnych prerjach i doznać przygód, jakie tam każdego czekają podróżnika. Pożerałem książki, o tem traktujące. Niejedną noc przepędziłem na czytaniu takich opisów, niejeden ranek zastawał mnie jeszcze nierozebranego, kiedym ślęczał przy lampie z mapką w ręku, starając się na podstawie czytanych ustępów odnaleźć niedokładnie tam oznaczone miejscowości. Przedewszystkiem lubiłem opisy polowań na dzikie zwierzęta. Te najbardziej rozogniały moją młodocianą wyobraźnię i rodziły w duszy zamiłowanie do tego sportu, któremu później z prawdziwą namiętnością się oddałem.

Ale warunki, wśród których wzrastałem, długo mi nie dały spróbować, czy ręka i oko w równej mierze z pragnieniami serca się rozwijały; mijały lata, a z ich biegiem zdawało się, że namiętność do polowania we mnie zaginęła. I kto mię wówczas widział, mieszczucha, dość wątłej budowy ciała, piszącego przy biurku lub wertującego księgi i akta, nie byłby przypuścił, że we mnie biło inne serce, nie serce urodzonego gryzipiórka. A jednak namiętność myśliwska nie zamarła; istniała w zarzewiu i czekała lekkiego podmuchu, aby jasnym wybuchnąć płomieniem.

Przyszło to nagle w chwili, gdy najmniej się tego spodziewałem. Właśnie kiedy postanowiłem oddać się zawodowej pracy, mającej mi zapewnić utrzymanie, okiełznana oddawna namiętność gwałtownie wybuchła. Powodem stał się list jednego z byłych kolegów szkolnych, który bawił wówczas w Egipcie. Z listu tego dowiedziałem się, że mój towarzysz, z którym na ławie szkolnej tyle nieraz o Afryce rozmawiałem, sposobi się do podróży nad Zambezę z zamiarem polowania na słonie. List był bardzo lakoniczny. Ale w odpowiedzi prosiłem swego towarzysza lat dziecinnych, by na mnie poczekał.

Jakżeż się można było oprzeć takiej pokusie? Polować na słonie? — o tem się w owych czasach nigdy prawie nie słyszało w naszym kraju, a tem mniej o Zambezie, która mogła być tak samo górą na księżycu, jak i rzeką afrykańską. Zambeza i słonie zadecydowały o moim losie.

Wszystkie dotychczasowe plany życiowe poszły w kąt. Odrzuciłem pióro i księgi, ich miejsce zajęły teraz — karabin i tobołek podróżny. Nie traciłem czasu i już z początkiem kwietnia następnego roku znalazłem się w drodze do Egiptu, aby tam paść w objęcia oczekującego mnie kolegi.

Tak rozpocząłem wycieczkę w świat daleki.

Jeszcze w tym samym roku zawarłem znajomość z Zambezą. Po wielu kłopotach wylądowaliśmy z końcem października w miejscowości portowej Kilimane, skąd do Zambezy już blisko. Cały kraj, którego Kilimane jest niejako stolicą, nazywa się Zambezją i należy do prowincji mozambickiej, będącej w rękach Portugalczyków już od lat trzystu. Zambeza jest ogromną rzeką. Bierze początek swój na zachodniej stronie Afryki, a płynąc przez całą jej szerokość, przybiera wiele rzek pobocznych, między niemi Szirę, wypływającą na północy z jeziora Njassa. O tej rzece będę mówił w ciągu opowiadania, niechże więc czytelnik zajrzy do mapki i przypatrzy się dokładnie jej położeniu.

CZĘŚĆ I.

NA WODACH SZIRY.

1. PRZYGOTOWANIA DO WYJAZDU.

Siedzę już nad Zambezą lat trzy — i ze wstydem wyznać muszę, iż dotychczas oprócz kilku mizernych antylop, paru krokodylów i nieco zwierzyny pierzastej nic większego nie zabiłem, bo ciągłe zajęcia w sprawach Towarzystwa S. T. & Co zmuszały mnie do odwiedzania takich okolic, gdzie z grubemi sztukami, jak słoń i nosorożec, spotkać się było trudno. I tak rok prawie wysiedziałem się na wybrzeżu, gdzie, płacąc trybut klimatowi, więcej czasu spędziłem w łóżku, niż na polu — następnie dwa lata w Tete w nędznej miejscowości portugalskiej, gdzie wprawdzie byłoby na co polować, gdyby nie zajęcia handlowe, które nie pozwalały mi na wydalanie się z mojej stacji. Dopiero zwinięcie domu, w którym pracowałem, wróciło mi wolność. Z końcem trzeciego roku kontrakt mój się skończył; mogłem teraz rozporządzać moją osobą. Skorzystałem też z tej sposobności, aby dawne marzenia w czyn wprowadzić.

Opuszczając Tete, byłem pełen otuchy. Dążyłem nad Szirę — do stacji, zwanej Szamu, położonej niedaleko ujścia tej rzeki.

Tam — po całorocznem niewidzeniu się — miałem znowu zobaczyć kolegę Stanisława Stebleckiego i brata jego Kazimierza. Tam miałem znowu ucieszyć się ich towarzystwem i nasycić spragnione ucho żywem polskiem słowem.

I oni, jak ja, po trzechletniej służbie w domu handlowym

S. T. & Co byli teraz wolni, a ponieważ faktorję w Szamo zwijano, mieli ją objąć na własny rachunek.

W tym celu także mieliśmy się porozumieć.

Jakkolwiek nie było zamiarem żadnego z nas tu na stałe pozostać, ale zależało nam na tem, aby dla siebie, jako punkt oparcia — zatrzymać tę polską ręką urządzoną stację.

Szczególnie zależało na tem Stebleckim, bo i ten dom trzcinowy, i ten magazyn z kamienia, i ta plantacja bananów i drzew papajowych, te klomby ananasów, a nawet te — jedyne w całej okolicy — trzy palmy kokosowe — to ich praca.

Tam — podczas ulew letnich — w towarzystwie jakże przyjemniej zejdzie ten przykry czas na pogawędkach i układaniu planów przyszłej wyprawy łowieckiej.

Letnia pora — to okres ulew, ale ulew u nas nieznanych. Mówiąc o nich wyjaśnić muszę, że przypadają one w tej szerokości geograficznej na miesiące od grudnia po koniec marca, czasem zaś trwają przez kwiecień, a nawet dłużej. Pora ta jest bardzo niezdrowa skutkiem ogromnego gorąca i wilgoci, i Europejczyk łatwiej wówczas podlega febrze, aniżeli w miesiącach zimowych. Jeszcze i z tego powodu jest ona dokuczliwa, że skutkiem wylewów rzek tworzą się w miejscach nisko położonych bagna i jeziora, a biały, zamknięty na szereg miesięcy na samotnej stacyjce, czuje się niejako więźniem.

Pora deszczowa w tym roku trwała dość długo. Dopiero z końcem kwietnia ustały deszcze i pogoda poczęła się utrwalać. Gęste mgły, ciągnące nad rzeką, oraz obniżenie się temperatury rankami i nocą zapowiadały nadejście tutejszej zimy, a z nią pory polowania. Było to niejako wskazówką, że należy już teraz na serjo przygotować się do wyprawy.

Włócząc się już dość długo po Zambezji, poznałem dostatecznie kraj i ludzi. Nabyłem też nieco wprawy w języku kaferskim, narzeczu, używanem nad dolną Zambezją, zwa-

nem tu „Czikunda“ od nazwy mieszkańców zamieszkujących brzegi jej, „A-Czikundów“. Poznałem również dostatecznie faunę i florę krajową, co jest bardzo potrzebne podczas podróży po krajach tak odludnych; do teoretycznego ich poznania brakowało mi podręczników. Jedyną książką, skąd można było zaczerpnąć jakie takie wiadomości, był dziennik podróży dra Livingstona, który wszakże, nie będąc specjalistą, tylko pobieżnie tym działem w pracach swoich się zajmował. Wprawdzie towarzysz jego, p. Kirk, opisał dość szczegółowo rośliny, przez siebie nad Zambezą zebrane, ale książka ta była dziełem dość rzadkiem. Portugalczycy natomiast, chociaż od trzech wieków nad Zambezą siedzieli, o kraju tym bardzo małe mieli pojęcie, a przynajmniej nic o nim światu cywilizowanemu nie mówili.

Najwięcej szczegółów z dziedziny wyżej wymienionej posiadałem od myśliwych Europejczyków, którzy, polując tu przede mną, byli pod tym względem chodzącą encyklopedją. Oni to pouczyli mnie o sposobie życia zwierząt łownych, a szczególnie słonia, dając mnóstwo wskazówek, które później okazały się nieocenionemi.

Jednym z tych nader doświadczonych myśliwych był p. Sell, z pochodzenia Niemiec, obywatel Kraju Przylądkowego. Poznałem go, gdy powracał od wodospadów Wiktorji nad Zambezą, gdzie podczas przeprawy przez rzekę poniżej wodospadu stracił wszystkie swoje bagaże, sam ledwie z życiem wyszedłszy z tego wypadku. Przybył on ze mną do Szamo, mając zamiar, skoroby się tylko sposobność nadarzyła, zpowrotem przez kraj Matabelów do Kapstadtu powrócić.

Polubiłem bardzo tego człowieka w czasie jego tu pobytu. Był on dla mnie ideałem myśliwego. Odważny, bez chęci popisywania się swoją odwagą, z zimną krwią i nader szybkim zmysłem orjentacji w chwili niebezpieczeństwa — był wzorem spokoju i stanowczości. Poza tem miał oko wyborne i rękę pewną. Strzelał kulą doskonale, a wprawy tej

nabrał, jak to sam często zaznaczał, polując długie lata z Burami, których uważał za najlepszych strzelców w świecie. Polowanie było dla niego treścią życia; polował już od lat szesnastu, przewędrował pieszo lub na koniu całą południową Afrykę, a w roku, w którym się z nim poznałem, starał się dotrzeć nad jezioro Bangweolo, na północ od Zambezy, i tam polować. Gdyby nie strata bagaży i karabinu, która go zmusiła do powrotu na wybrzeże, byłby z pewnością tam dotarł. Polując lat tyle, ubił już wszystko, co tylko ubić się dało. Mimo to był zawsze gotów na każdą wyprawę myśliwską, a życie w obozie milsze mu było od spokojnego życia domowego. On pierwszy udzielał mi lekcyj strzelania z ogromnego karabinu, jakiego tu w łowach na słonie się używa, oraz zaprawiał do tropienia, sztuki myśliwskiej, którą niekażdy w tym kraju posiada.

Nie dziw więc, że towarzystwo tego człowieka stało się teraz dla mnie nader cenne i umiałem je też wyzyskać ku wielkiej swojej korzyści. Kiedy tylko deszcze i gorąca pozwalały na wydalenie się ze stacji, wybieraliśmy się wspólnie w sąsiednie góry i tam, założywszy obóz, polowaliśmy na mniejszą zwierzynę. Naturalnie w tej porze dla olbrzymich traw tropienie zwierzyny niewielkie przedstawiało szanse, ale właśnie pośród przeciwieństw i trudności, jakie nam stawiała przyroda, uczyłem się wytrwałości w marszach i wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu.

Nieocenioną jego pomoc poznałem dopiero podczas przygotowań do mojej wyprawy, a szczególniej w urządzaniu pakunków, robieniu nabojów i wyborze potrzebnych narzędzi, towarów zamiennych i wiktuałów. On to mi wskazał, ile mam wziąć ze sobą perkalu białego, a ile czerwonego i niebieskiego, jakiej wielkości paciorki dla Makololów, a jakie dla Angonich, ile mam do tego brać drutu mosiężnego, ile prochu i karabinów dla ludzi. Gdyby nie on, pewniebym pozabierał mnóstwo rzeczy, któreby mi tylko utrudniały pochód, a zostawił najpotrzebniejsze. Byłbym z pew-

nością własnym nie doszedł rozumem, chyba po długoletnich jak on doświadczeniach, że najgłówniejszym artykułem ubrania dla myśliwego w Afryce są buty, bez nich i kroku się nie zrobi, a w złych łatwo nogi odparzyć, co również na jedno i to samo wyjdzie. Dzięki też jego pomocy miałem już ku końcowi maja wszystko przygotowane, a z pierwszemi ogniami, które błysnęły na górach Morambali, stanąłem gotów do drogi.

Długa, płasko zbudowana łódź z małym słomianym domkiem na tyle, który miał służyć za mieszkanie w czasie podróży wodnej, została wyekwipowana do drogi i czekała gotowa u brzegu. Sześciu wioślarzy z pobliskiej wioski, sternik i pilot, oraz dwóch moich dawnych służących, stanowili jej załogę. Zgodzeni byli do przewiezienia mnie i moich rzeczy do Katungi, t. j. najdalszego spławnego miejsca na Szirze, skąd dalszą podróż miałem już pieszo odbywać.

Zamiarem moim było dostać się poza katarakty Murchisona, stanowiące granicę między dolną a górną Szirą, i tam na południowych brzegach jeziora Njassa, w kraju Ngoni, próbować szczęścia w łowach na grubego zwierza. W krajach tych niewielu jeszcze polowało Europejczyków, a ci, co stamtąd wracali, przynosili wieści o wielkich stadach wszelkiego zwierza. Podniecało to jeszcze bardziej mój zapał myśliwski.

W tutejszym kraju — jak wogóle w całej Afryce środkowej — główną cechą krajobrazu są trawy. Pokrywają one niziny i góry, rosną po lasach i na miejscach skalistych, a bujają tak dobrze na moczarach, jak na piaskach, otulając grubym płaszczem całą okolicę. Gdzie tylko dojdzie promień słońca, a inna roślina miejsca tego nie zajęła, tam z pewnością wystrzeli trawa. Gatunków zaś tych traw jest mnogość nadzwyczajna.

Podsycane obfitemi opadami atmosferycznemi, z drugiej zaś strony wysoką ciepłotą, jaka towarzyszy porze deszczowej, dochodzą tutejsze trawy do kolosalnej wysokości. Two-

rzą one lasy, wśród których dniami błądzić można, nie widząc nic więcej dokoła siebie, jak ich liście i łodygi aż do znudzenia. Widnokrąg prawie niewidoczny, a nieba masz tylko tyle, co go widzisz nad głową. Chcąc też zobaczyć okolicę, trzeba wdrapywać się na drzewa lub pagórki termitowe, albo, jeśli jesteś w towarzystwie czarnych, na ramiona którego z tych ludzi, lecz i wówczas nazwać się możesz szczęśliwym, gdy w ten sposób cokolwiek wdali zobaczysz.

Wśród takich warunków komunikacja lądowa jest bardzo utrudniona. Jedyne drogi — to ścieżki, wydeptane od wsi do wsi, wąskie i kręte, i tak w trawach ukryte, że podróżujący nierzadko je traci i biada mu, jeśli nie ma dobrego przewodnika, któryby go stamtąd wyprowadził. Trawiska te są i dla myśliwego ogromną przeszkodą, gdyż tropienie wśród tej gęstwiny jest wprost niemożliwe, na zetknięcie się zaś ze zwierzem na bardziej otwartych miejscach niezawsze liczyć można. Dopiero gdy spłoną trawiska i spadnie ta zasłona, która dotąd kraj nakrywała, może myśliwy polować z powodzeniem. Z niecierpliwością też oczekuje on tej chwili.

Zaledwie zakończy swój jednoroczny żywot roślinność trawiasta, a poznać to po płowym kolorze, pierwszy lepszy przechodzień ją podpala.

Pod niszczącym płomieniem, który postępuje z kierunkiem wiatru, znikają powoli trzciny i trawy, a z łona ich wydobywają się sczerniałe konary drzew i krzewów, których ogień strawić nie zdołał. Tu i ówdzie — w rozpadlinach skał i wąwozach — przechowuje roślinność swoją barwę; są to jakby oazy wśród pustyni węgla i popiołów.

Zwierzyna, pozbawiona swoich niedostępnych kryjówek, zaczyna teraz wędrówkę. Z gór, gdzie małe strumienie pod palącemi promieniami słońca powysychały, wszystko ściąga ku dolinom. Antylopy, zebry, bawoły i inna rzesza czworonogów z ostrożnością, jaka cechuje tutejszą zwierzynę, wy-

TABLICA I.

Na postoju.

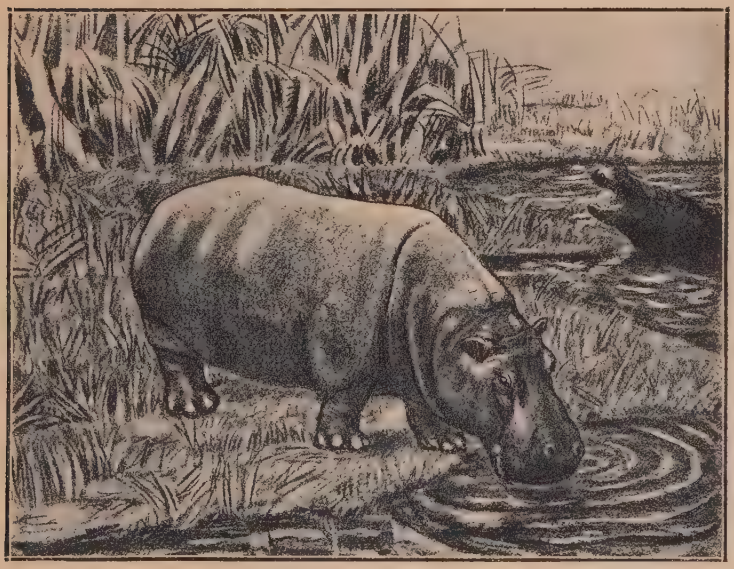

Hipopotam.

suwa się na otwarte miejsca, aby lizać ciepłe jeszcze popioły. Za stadami tych stworzeń posuwa się milczkiem lew i pantera. Nawet tchórzliwa hiena nie kręci się więcej koło domostw, ale towarzyszy zdala tym możnym drapieżcom, aby po udałych łowach niedojedzonemi resztkami głód swój zaspokajać.

Pora palenia traw w okolicach nadrzecznych przypada zazwyczaj na sierpień, rzadko zaś wcześniej, jak to miało miejsce tego roku. Ognie na górach Morambali świeciły nocami już od dni kilku. Nie było przyczyny zwlekać z odjazdem.

2. WŚRÓD ŁOWCÓW HIPOPOTAMÓW.

Dzień ósmego czerwca zastaje mnie już na rzece. Z punktu, z którego wyruszamy, widok wcale nie uroczy. Za nami las trzcin, obrastający płaski brzeg — bo reszta mgłą zakryta — naprzeciw zaś ledwie widoczna wyspa, również trzcinami obrosła, na której gdzie niegdzie przebijają z opony mgieł kontury drzew palmowych. Przed nami szarzeją długie ławice piasku, wrzynające się w koryto rzeki i hamujące bieg wody. Szerokość koryta wynosi do 800 metrów, ale w niektórych miejscach zwierciadło wody zwęża się do 270 metrów i to tam właśnie, gdzie się owe ławice piaszczyste potworzyły. Oczywiście, podczas ulew letnich rzeka, wylawszy ponad brzegi, wydaje się w dwójnasób szeroką.

Gdyśmy mijali zakręt i żegnali ostatniem spojrzeniem Szamo, znikające wśród szarych mgieł, słońce zaledwie wydobywało się na horyzont. Promienie jego, rozpuszczone w mglistej oponie, żadnego jeszcze nie dawały ciepła. Wilgoć czuć było — jak to mówią — przez skórę.

Siedząc pod daszkiem między bagażami i pakunkami rozmaitego rodzaju, drżałem od chłodu, mimo koca, którym byłem owinięty. Mgła gęstniała z każdą chwilą i przenikała koc i ubranie. Zziębnięty tęskniłem mimowoli za światłem

i ciepłem, zwłaszcza że moskity, korzystając z tego półmroku, kłuły tak straszliwie, iż byłbym się chętnie na dno rzeki schował, gdybym był pewny, że tam krokodyle łaskawiej ze mną się obejdą.

Prąd w rzece niewielki, posuwamy się zatem dość szybko albo siłą małych wioseł „mombo“, albo długich tyk, „pondami“ zwanych. Marynarze to gwarzą między sobą, to śpiewają, a plusk wioseł mięsza się z przeciągłem „monto“ [1]) lub „pandzia“ [2]) pilota, mierzącego „pondem“ głębokość wody...

Tak płyniemy ze dwie godziny; mgła powoli opada. Panorama dotychczas monotonna zmienia się nagle, gdy mijamy skałę „Czinga-Czinga“ i góra Morambala ukazuje się nam w całym swym majestacie, ukoronowana chmurami, które okrywają wyniosłe jej szczyty. Tu rzeka podmywa górskie podnóża i w fantastycznych zakrętach przewija się koło brzegów, porosłych gęstwą wspaniałych drzew, krzewów i paproci. W południe przesuwamy się koło piaszczystej wysepki, a że żołądki upominają się o swoje prawa, zatrzymujemy się tu na obiad.

Ledwie wskazałem ręką, gdzie mamy przybić, gdy łódź już była u brzegu — a czarni na wyścigi wyskakiwali na piasek.

Powstał gwar i zamieszanie. Jeden ciągnie swoją „fumbę“ [3]), aby się na niej położyć, drugi wydostaje garnki, inny sięga do worka z ryżem i surowem ziarnem zapycha gębę, a reszta rozdmuchuje ogień wśród krzyków, nawoływań i przekleństw kaferskich. Nierzadko usłyszy się taki dowcip, który, przetłumaczony na nasz język, wydałby się płaskim, ale w ich mowie — raczej w ich stosunkach i sposobie myślenia — jest wyborny i zabawia całą gromadę. I prędko im tak schodzi czas przy gotowaniu.

---

[1]) Monto = do brzegu.

[2]) Pandzia = na wodę, od brzegu.

[3]) Fumba = mata z liści palmowych w kształcie worka.

A wesoły to ludek ci Mazarczycy, mają w sobie coś cygańskiego. Nigdy długo nie usiedzą na miejscu, w ciągłej są podróży. Najmują się jako wioślarze Europejczykom, lub też sami przedsiębiorą wyprawy kupieckie w tak zwanych „almandyjach“, wyciosanych z jednego pnia drzewnego. Są też doskonałymi marynarzami, a woda ich żywiołem. Noszą stąd nazwę „mono-madżi“ [1]), co w języku ich oznacza: dziecię wody. Należą również do tak zwanych Aczikundów, t. j. plemion, zamieszkujących pobrzeże dolnej Zambezy, a zostających pod władzą Portugalczyków, nazwa zaś ich Mazarczycy pochodzi od dystryktu Mazaro, skąd najlepsi wioślarze się wywodzą. Są wesołego usposobienia, nieco blagierzy, tchórze w niebezpieczeństwie, a krzykliwi i kłótliwi, gdy dobrze idzie. Całe życie spędzają na rzece i znają ją doskonale.

Po godzinnym wypoczynku ruszamy dalej. Chłopcy pakują garnki i fumby i ze smutkiem chwytają za wiosła, bo woleliby baraszkować jeszcze z godzinę lub dwie, a nawet tu nocować.

Ale „muzungu“ [2]) już w łodzi, pilot także, trzeba się godzić z losem i jechać. Wiosłują więc znowu, znowu śpiewają — a łódź sunie naprzód i naprzód aż do zachodu słońca. Zatrzymujemy się więc powtórnie już na nocleg. Dzień pierwszy podróży się skończył...

Następnego poranku, zostawiwszy za sobą Morambalę, wydostajemy się na t. zw. bagna morambalskie. Tu trzciny, papyrusy, dzikie malwy, ricinus i rośliny pnące pokrywają niskie brzegi. Jednostajność przerażająca. Czasem tylko dostrzega się nad tym żywym płotem pasma gór, zamykające dolinę, po której Szira toczy swoje mętne wody.

Ptactwo wodne zrywa się chmurami przed łodzią i z krzykiem umyka w głąb trzcin i zarośli. Co chwilę ciągną

---

[1]) Monomadżi = muana-wa-madzi = dziecię wody.

[2]) Muzungu = biały Europejczyk.

sznury gęsi „tsekwe“ [1]), a wysoko w błękicie ukryta rybitwa szczeka bez przestanku rozdzierającym głosem.

Woda pokryta pływającemi roślinami. Podobne są one do głów sałaty lub kapusty, co im też przyniosło nazwę „floating cabbages“ [2]) w języku angielskim, i rzekłbym — bardzo trafnie. Niekiedy tworzą one całe wyspy i suną z prądem, a oplecione powojami i innemi roślinami, są nieprzebytą zaporą; podróżny musi się mieć na baczności, by się nie dostał w ich objęcia.

Kurki wodne o komicznej budowie ciała, o bardzo długich palcach, z ogonkiem, który w ciągłym jest ruchu, biegają bez przestanku po roślinach. Przeskakując z rośliny na roślinę, wydobywają ich korzonki nad wodę, szukając na nich owadów, które się tam gnieżdżą. Czynią to z taką powagą i, rzec można, z przejęciem się swoją rolą, jakgdyby nie były ptakami, ale co najmniej — profesorami zoologji.

Na prawym brzegu Sziry, ukryte pośród pól trawiastych, ciągnie się jezioro Mandze, schronisko ryb i wodnego ptactwa rozmaitych rodzajów. Tutaj z dobrą dubeltówką i znacznym zapasem ładunków możesz pukać od rana do wieczora, a jedynym warunkiem powodzenia jest odpowiednia łódka i zręczny wioślarz. Naturalnie i odwagi nie może ci brakować, bo chociaż tylko na pierzastą zwierzynę polujesz, możesz się spotkać z hipopotamem, który lubi od czasu do czasu wywracać łodzie, lub jeśli wpadniesz do wody, spotkasz krokodyla, który nie gardzi mięsem z targów europejskich. Jezioro to ma połączenie z rzeką, ale kanaliki, któremi tam się dostać można, są ukryte między trzcinami i zaroślami i znane są tylko okolicznym mieszkańcom.

Że ryb tu poddostatkiem, przekonujemy się naocznie; wszędzie pełno więcierzy. Korzystają więc z tego moi ludzie i zaopatrują się w ten artykuł tanim kosztem.

[1]) Tsekwe = Plectropterus gambensis.

[2]) Floating-cabbage (Flotyn-kebydż) = pływająca kapusta.

Mieszkań ludzkich nie widać nigdzie, bo w tem królestwie błota i febry nawetby murzyni długo nie wytrzymali. Tu, gdyby nie Europejczyk, hipopotam i krokodyl mógłby wieść życie, żadną niezmącone troską, gdyż pożywienia jeden i drugi mają poddostatkiem. I ten ostatni pewnieby nie tknął mięsa ludzkiego, które mu nie może lepiej smakować niż ryby, czyni zaś to dzisiaj zapewne tylko z zemsty. Walka o byt sprowadziła tu białego, a ten zaraz zakłócił odwieczny spokój w świecie zwierzęcym, nauczywszy czarnego czynić to samo. To też ci, zachęceni dobrym przykładem, zapędzają się tu dla łowów, a w porze obecnej widzi się ich mnóstwo na rzece, gdy łowią ryby lub polują na hipopotama.

Łowcy hipopotamów — jakaś odrębna rasa kaferska — przyjeżdżają po opadnięciu wody na Szirę z całemi rodzinami. Kilkanaście łodzi przywozi całą gromadę na pewne oznaczone miejsce, gdzie powstają szałasy i całe tymczasowe gospodarstwa.

Poluje się na hipopotamy w łodziach przy pomocy harpuna, umyślnie do tego celu zastosowanego. Główną cechą jego jest gruby palik bambusowy półtora metra długi, w którego odpowiednie wyżłobienie wchodzi silny płaski jednoramienny hak ostry nazewnątrz, tępy zaś i gruby po wewnętrznej stronie, a to dlatego, aby wbiwszy się w skórę z łatwością wydrzeć się nie dał. Hak ten, wolno w bambusie osadzony, przymocowują do długiej silnej liny z łyka drzewnego, którą nawijają na palik i doń przywiązują.

Kilka małych, wąskich łodzi wyjeżdża na rzekę. Każda z nich mieści w sobie dwóch ludzi; jeden steruje, drugi, stojąc na przodzie z harpunem w ręku, który trzyma w połowie, śledzi za hipopotamem. Tak przebiegają z miejsca na miejsce, to łącząc się w grupy, to znów rozbiegając na rozmaite strony, aż upatrzą pożądaną zdobycz. Łódź zbliża

się na odległość kilku kroków. Gdy hipopotam dla zaczerpnięcia powietrza podpłynie do powierzchni, harpun, wypuszczony z wielką siłą, wbija się w grube jego cielsko. Zwierzę natychmiast niknie pod wodą. Jeśli dobrze trafiono i żelazo głęboko utkwiło pod skórą, bambus zwalnia się z haku i, dozwalając się linie rozwinąć na całą jej długość, wypływa na powierzchnię, znacząc drogę, którą zbieg pod wodą odbywa. Wówczas, albo ten sam myśliwy, jeśli ma drugi harpun pod ręką, za nim zdąża, albo łódź inna drogę hipopotamowi zastępuje, i niechno tylko hipopotam nos swój pokaże nad wodą, już inny harpun wbija się w jego cielsko.

Nierzadko straszna walka wywiązuje się między zwierzem a myśliwym. Rozwścieczony potwór, nie mogąc ujść razom, zwraca się na łowców, gruchocze łódź i, dostawszy przeciwników do wody, miażdży ich w swych kolosalnych szczękach. Tylko niezmierna przytomność umysłu zdoła myśliwych w takich razach ocalić, jeśli potrafią zręcznem zanurzaniem się zbałamucić rozjuszone zwierzę i tak długo lawirować, dopóki inna łódź na pomoc nie przyjdzie i, odpędziwszy nowemi razami harpunów hipopotama, z wody ich nie wyciągnie. Wtedy rozpoczynają walkę na nowo.

Kiedy już hipopotam tyle krwi utracił, iż tylko z trudnością poruszać się może, a poznać to można, gdyż się więcej nie zanurza, myśliwi wyławiają pływające po powierzchni bambusy, wspólnemi siłami ciągną zwierza do brzegu i tam ogromnemi dzidami dobijają. Łowią go po części dla mięsa, które suszą i sprzedają współbraciom swoim z nad Zambezy, po części dla kości, która nie ustępuje słoniowej i przed niedawnemi jeszcze czasy bardzo wysoko była ceniona. Dwa kły proste szczęki dolnej są do wyrobów najprzydatniejsze i uzyskują najlepszą cenę; następnie idą dwa kły boczne szczęki dolnej co do wielkości największe (para często 5—6 kilogramów wagi), ale wygięte, a dopiero potem reszta przednich zębów. Zęby trzonowe są bez wartości.

Trzecią noc z rzędu spędziliśmy na jednem z takich obozowisk. Już było całkiem ciemno, gdyśmy dobijali do brzegu. Światła kilku ognisk, oraz gwar ludzkich głosów zwabiły nas ku sobie. Znaleźliśmy się pośród całej rzeszy większych i mniejszych „almandyj“, przytroczonych do „pondów“. Brzeg był błotnisty i ogromne trawy dokoła, a wśród nich kilka nędznych szałasów i dwie czy trzy stalugi z mięsem, pokrajanem w pasy, przeznaczonem widocznie do suszenia. Oto tło tego obrazu, bo żywych osób nie było na pierwszym planie, reszta zaś szczegółów gubiła się w ciemności. Wprawdzie rozpoznawałem pod nogami kawały skóry, kości i resztki mięsa, ale w tem pomagał mi więcej zmysł dotyku, niż wzroku.

Mieszkańcy tutejsi używali wywczasów w szałasach, gdzie było bardzo gwarno; przodowały zaś tam głosy niewiast i dzieci z miarowym kaszlem jakiegoś namiętnego palacza „ciamby“ [1]) — kaszlem, który mógł nietylko człowieka, ale nawet hipopotama wyprowadzić z równowagi.

Usunąłem się napowrót w błoto nadbrzeżne i kazałem ludziom moim tam się rozlokować. Moskitów były miljony i nie pozwoliły na długie medytacje; kłując niemiłosiernie, zmusiły do ucieczki pod siatkę, gdzie, chcąc nie chcąc, o śnie pomyśleć musiałem. Nie zasnąłem jednak rychło, gdyż zapachy, jakie mi wiatr z obozu tych łowców przynosił, drażniły powonienie nazbyt dotkliwie. Tylko Mazarczycy cieszyli się z tak szczęśliwie obranego miejsca, bo objedli się mięsem za wszystkie czasy i wiele go jeszcze ze sobą zabrali. Stwierdziłem to nazajutrz po woni, którą cała łódź przeszła — ale „maronda“ [2]) udała się im znakomicie.

Mięso hipopotama jest jadalne, i — jak twierdzą niektórzy podróżnicy afrykańscy — nie ustępuje wołowinie; mojem zdaniem, niema w niem wiele smaku. Jest grubowłókniste, suche i często twarde jak rzemień. Tylko Kafrzy

[1]) Ciamba = konopie (haszysz).

[2]) Maronda = kupno-sprzedaż.

delektują się niem; umieją je też skruszyć, wystawiając na działanie ciepła, a chociaż nabierze woni, któraby mogła zabić cywilizowanego Europejczyka, im to wcale nie psuje apetytu. Mięso takie nazywają dojrzałem.

Nazajutrz około siódmej, jak mogłem przypuszczać, zegarka bowiem w podróży nigdy nie używałem, wyruszyliśmy w dalszą drogę.

W obecnej porze ranki i noce są zimne, a gęsta mgła ciągnie się ponad rzeką. Często trwa ona do dziewiątej lub dłużej, zaciemniając horyzont i robiąc z dnia noc prawdziwą. Moskity, t. j. tutejsze komary, dokuczają bezustanku i gdyby nie siatki, które każdy Europejczyk ze sobą wozi, sypianie byłoby niemożliwe. Czarni, zamieszkujący te kraje, mają nato maty zwane „fumbami“, które im zastępują namiot, łóżko i siatkę. Jest to rodzaj worka, uplecionego z liści palmowych, w którego wnętrzu znajdują schronienie przed wilgocią i moskitami. Naturalnie do spania w takiej fumbie należy mieć płuca murzyńskie. Europejczyk pewnieby takiej próby nie wytrzymał.

Ponieważ łódź moja była dostatecznie obszerna, a domek słomiany na rozpostarcie łóżka pozwalał — całą drogę na Szirze w niej sypiałem, przez co ustrzegłem się febry, o co tak łatwo, gdy się sypia na bagnistym terenie.

3. W PUŁAPCE HIPOPOTAMA.

Trzy dni długich i nudnych spędziliśmy pośród tych moczarów, mając ciągle za panoramę trawy, trzciny i ptactwo wodne. Jedyną zwierzyną, jaką w tym czasie zabiłem, była tak zwana gęś egipska[1]), którą przypadkowo dostałem na strzał karabinowy. Strzelby śrutowej nie miałem ze sobą.

Góry, które dotychczas tylko zdaleka nam się ukazywały, przybierają już wyraźniejszą formę. Ku wieczorowi

[1] Gęś egipska — Chenalopex aegyptiacus.

TABLICA II.

Krokodyl.

Głowa bawołu *(Bos cafer).*

tego samego dnia jesteśmy już prawie u ich podnóża. Mówię tu o łańcuchu gór, po prawym brzegu się ciągnącym, a zamieszkałym przez plemię Mangandżów. Brzegi są już więcej urozmaicone, a lasy staczają się aż nad wodę. Liczne wysepki i ławice utrudniają żeglugę; trzeba znać dokładnie rzekę, aby móc bez przeszkody posuwać się pomiędzy mieliznami i sterczącemi z dna pniami drzew. Ogromne krokodyle wygrzewają się gromadnie po błotnistych brzegach, a ptactwa błotnego tak samo pełno jak i w bagnach morambalskich. Żyjąc — że tak powiem — na jednem śmietnisku, żyją w zgodzie, a rzadko płoszone, dają się zbliżyć łodzi na odległość strzału, poczem poważnie usuwają się z brzegu, aby po oddaleniu się naszem, napowrót dawne zająć stanowiska...

Przed południem 14 czerwca stajemy w Ntumbi, małej miejscowości murzyńskiej, która się chlubi portugalską warownią, czyli tak zwaną „aringą". „Aringa" taka jest niczem innem, jak tylko opalisadowaną zagrodą, lecz że zarasta ją zwykle żywy płot krzewów i drzew kolczastych, nie jest łatwa do wzięcia. Portugalczycy budują je zwykle na brzegach rzek, bo te są jedynym gościńcem w kraju, a tem samem zapewniają w razie niebezpieczeństwa wolną drogę do ucieczki.

Warownia w Ntumbi jest również nad rzeką, ale odsunięta o jakie 400 metrów z powodu nietrwałości gruntu. Załoga jej składa się z komendanta Europejczyka, z jednego czarnego kaprala z prowincji Angoli i takiego samego koloru szeregowca, oznaczonego numerem 23.

Sam pan komendant ma być czystej krwi Portugalczykiem, na dowód czego służy mu cały szereg imion kalendarzowych, które zwykle wypisuje przed swojem nazwiskiem rodzinnem, z przydomkami obojga rodziców.

Ponieważ jeszcze z czasów pobytu swego na wybrzeżu znałem pana komendanta jako porucznika strzelców mozambickich, poszedłem go odwiedzić. Ucieszył się ogromnie,

przyjmował, jak mógł, co chwila tytułował mnie ekscelencją i ugościł tak wspaniałym obiadem, żem jeszcze po tygodniu czuł oliwę na języku, nie wymieniając już innych przypadłości. Ledwie pod wieczór zdołałem się wydobyć z tej twierdzy...

Zbliżamy się powoli do wioski Mpassa. Ostatnia to miejscowość na lewym brzegu, należąca dopiero odniedawna do korony portugalskiej. Po obu brzegach rzeki widnieją wdali wielkie pasy lasów, z poza których wyglądają kontury gór „Mlandzie“, dzikie i skaliste.

Poza tą miejscowością, ale już po przeciwnym brzegu, widać kilka małych wiosek, rozrzuconych pośród ogrodów i zarośli bananowych. Ich mieszkańcy, chociaż także Mangandżowie, jak ci z tej strony, nie uznają już władzy Portugalczyków, lecz zostają pod protekcją Makololów, płacąc im roczną daninę. Żyją bardzo patrjarchalnie, t. zn. nie robią nic, albo bardzo mało, a poczciwa ziemia zaopatruje ich we wszystko, czego tylko dusza takiego Kafra zapragnie.

Tu zatrzymujemy się na noc.

Zaledwie wysiadłem na brzeg, gdy całe grono czarnych mnie okrążyło i, usiadłszy opodal na ziemi, przyglądało się ciekawie. Wkrótce i przedstawiciel władzy się zjawił, a za nim mała niewolnica z garnkiem na głowie, w którym mieścił się krajowy napój, zwany tu „moa“.

Napój ten jest znany prawie w całej środkowej Afryce pod nazwą „pombe“ i zastępuje murzynom nasze piwo. Jest to rodzaj żuru z przesłodzonego sorga, który poddają fermentacji. Ponieważ w smaku jest kwaskowaty i zazwyczaj zimny, gdyż przechowują go w porowatych naczyniach glinianych, nie jest wcale do pogardzenia. Nawet Europejczyk, który przestał się już brzydzić i bierze rzeczy, jak są, potrafi w nim zasmakować.

Ów garnek piwa dostałem w podarunku, za co musiałem się odwzajemnić naczelnikowi wioski, dając mu do wyboru

albo nóż kieszonkowy, albo kilka metrów perkalu. Bez wahania zabrał jedno i drugie, ale zato zapewnił, że zawsze był i będzie przyjacielem Anglików, a musiał i mnie mieć za takiego. Nie wyprowadzałem go też z błędu, bo spieszyło mi się do wieczerzy, a byłem głodny jak hipopotam. Ale czy zaspokoiłem głód? Spytajcie moskitów, bo te zmusiły mię natychmiast do ucieczki pod siatkę.

Niewiele spałem tej nocy, gdyż ludzie, podpiwszy sobie, gawędzili i śpiewali do rana. Ledwie się rozjaśniło, byliśmy wszyscy na nogach. Gęsta mgła zasłoniła świat, nie rozróżniłbyś człowieka na odległość dwóch kroków; jechać naprzód było prawie niepodobieństwem.

Gdym się namyślał, co robić, czy płynąć na „chybił-trafił", czy też czekać, aż się mgła rozejdzie, przybiega jeden z moich ludzi, który się gdzieś włóczył po krzakach i krzyczy na całe gardło:

— „Muzungu, aniati!" bawoły tu blisko w ogrodach!

— „Matala!" — szepnąłem do niego, pokazując odpowiednim gestem na usta — stulże gębę!

Wyszukawszy zaraz naboje, dążę z karabinem na plecach do ogrodu, wskazanego mi przez chłopaka.

Znaleźliśmy się wnet na miejscu; niestety, bawołów już nie było. Tylko świeże ślady wskazywały, że uszły dopiero przed chwilą. Poszliśmy po tropie za niemi.

Zabawa ta, do której wziąłem się z takim zapałem, dała mi się wnet dobrze we znaki. Im głębiej szedłem w las, tem gęstsze były zarośla, a tropy ledwie było można dojrzeć w tym labiryncie. Olbrzymia trawa, brzemienna rosą, chłoszcze nas mokremi ramionami, a obuwie i odzież stają się niemożliwie ciężkie. Zaczęliśmy drżeć z zimna i szczękać zębami, a zwierzyny — mimo całogodzinnej gonitwy — ani śladu.

Zniechęcony chciałem już zawrócić, ale chłopak, któremu pachniało mięso bawole, pociągnął mnie za sobą. Wysunąwszy się naprzód o jakie dwadzieścia kroków,

gwizdnął zlekka, co miało oznaczać, że bawoły już widzi. Cichutko, ledwie oddychając, przeszedłem tę przestrzeń i, wsunąwszy się za jego plecy, starałem się rozpoznać przedmiot, który mi on wśród gąszczy wskazywał. Ale próżno wytężałem wzrok, niczego wypatrzeć nie mogłem. Dopiero, gdym zrobił fałszywy krok i pod nogami trzasła gałązka, ciemna masa, a był to bawoł, z ogromnym łomotem pogalopowała przez krzaki. W tej samej chwili i reszta stada, która gdzieś niedaleko w trawach się kryła, umknęła w wielkim nieładzie. Wiatr niebardzo sprzyjał, tropienie było prawie nadaremne, ale jakże się oprzeć pokusie, raz już przed sobą zobaczywszy bawoła? Powlekliśmy się też dalej za niemi.

Maszerowaliśmy tak jeszcze ze dwie godziny, ale naprożno. Bawołów nie ujrzeliśmy. Wnet i nogi odmówiły posłuszeństwa. Gdyśmy się zatrzymali chwilkę, aby pomyśleć o odwrocie, słońce już na dobre zaczęło przypiekać. Zawróciliśmy przeto ku rzece, gdzie zmęczeni i spragnieni stanęliśmy dopiero po kilku godzinach.

Ale na tem się nie skończyło; tu dopiero nowe nas czekały tortury.

Gęste trzciny zarastały nierówny teren, a krzaki, pokryte pnącemi roślinami, stworzyły zieloną plecionkę, w której tylko hipopotamy drożyny swoje wydeptały. Nie było innej rady, jak trzymać się tych ścieżek i zgarbiwszy się we dwoje posuwać tędy wzdłuż brzegu. Często ścieżki ginęły nad wodą; szukając przejścia każdy dla siebie, gubiliśmy się w tym mateczniku. Nareszcie wydało mi się, że słyszę głosy ludzkie. Najbliższą dróżką, która biegła równolegle z brzegiem, ruszyłem naprzód, nie oglądając się już na moich towarzyszy, tak mi było spieszno wydobyć się z tej matni. Na końcu drożyny, skręcając nagle ku wodzie, trafiłem na mały pagórek termitowy. Wdrapałem się i stąd dopiero woddali dostrzegłem dym i ludzi moich, krzątających się koło ogniska.

Odetchnąłem swobodniej, wypoczynek czekał mnie za małą chwilę.

I z myślą o obiedzie, o kąpieli i miękkich kocach, na których będę się mógł rozciągnąć, zbiegłem wdół. Jeden krok — i zniknąłem w przepaści...

Gdym się po chwili ocknął, nie wiedziałem, co się ze mną stało. Leżałem w jakimś dole wśród zupełnych ciemności. Stłuczony bok nie pozwalał się ruszyć; począłem więc macać około siebie. Z jednej i z drugiej strony gładkie i wilgotne ściany ziemne, a u góry jakieś światełko, niby gwiazdka. Chcąc zbadać, skąd to światło pochodzi, podniosłem się na nogi, ale dno, na którem leżałem, było śliskie, wywróciłem się więc ponownie.

Teraz dopiero przyszło mi na myśl, że musiałem wpaść do łapki na hipopotamy. Przyjemna pewność! Z dołu takiego nie wydostaje się z łatwością. Są one głębokie, a ten, do którego wleciałem, miał ze trzy metry głębokości. Wykopany w gruncie twardym, szeroki u góry, a węższy ku spodowi, był tak wymierzony, ażeby zwierzę padając, musiało zaczepić pyskiem o ścianę dołu i złamać kark własnym ciężarem. Szczęściem, nie było w dole zaostrzonych kołów, jak to się często trafia, bo wtedy nie miałby kto opisywać powyższy wypadek.

Z początku starałem się drapać po ścianach, pomagając sobie w tem rękami i nogami, po chwili jednak poznałem, że to praca daremna. Krzyknąłem kilka razy, ile sił starczyło, niestety, głos mój był bez echa; zwątpiłem, czy dojdzie do uszu moich towarzyszy.

Już prawie godzinę siedziałem w tem więzieniu, a przez głowę przechodziły myśli wcale niewesołe. Możliwość śmierci głodowej stanęła przed oczyma; zimny pot wystąpił na czoło. Zrozpaczony zabrałem się do dłubania dziur w tych ścianach; wydłubałem jedną, drugą, nad nią trzecią, a chcąc spróbować czy mój ciężar wytrzymają, wspiąłem się po nich do góry. Zdawało mi się, że w ten

sposób, kopiąc jamki, na wierzch się dostanę. Wygrzebałem jeszcze dwie, a palce zdrętwiały od tej roboty.

Radość moja niedługo trwała. Gdym się wspiął po raz wtóry, aby pracę dalej prowadzić, usunęła się ziemia i znowu znalazłem się na dnie. Jak schwytane zwierzę rzucałem się w tej klatce, krzycząc, ile płuc starczyło.

Ale pomoc miała wkrótce nadejść. Chłopcy wrócili do łodzi, a nie znalazłszy mnie tam i nie mogąc się mnie doczekać, napowrót udali się w trzciny. Idąc po dawnych śladach, doszli do mojej pułapki. Dla Kafrów nie było zresztą zagadką, gdzie „muzungu“ się znajduje; karabin, który przy upadku zawisł na gałęziach dół zakrywających wskazał im miejsce mego pobytu.

Usłyszałem jakieś kroki; krzyknąłem znowu. Inny głos mi odpowiedział:

— „Ife panu“, my tutaj!

Nadzieja wstąpiła we mnie.

Po chwili otwór, którym światełko do dołu wchodziło, powiększono, a w nim ujrzałem przelęknione fizjognomje moich Mazarczyków; niebawem byłem już na górze, dokąd mnię wyciągnięto zapomocą długiej gałęzi. Przybywszy do łodzi, padłem jak kłoda na posłanie i wnet usnąłem. Jak długo spałem, tego nie wiem, ale gdym się obudził, spostrzegłem, że już ciemno, a łódź dobija do brzegu. Dostaliśmy się znowu do jakiejś wioski. Ludzie rozbiegli się, aby zakupić mąkę i kury, ja zaś, nie ruszając się z łodzi, do nowego snu się przygotowałem, który dzięki wzruszeniom i zmęczeniu wkrótce mną owładnął.

Ciemna noc była, gdym się obudził; ryk pantery wybił mię ze snu. Musiała być gdzieś niedaleko w trawach, bo wyraźnie słyszałem jej chrapliwy głos, który wcale nie jest donośny i prawie niegodny tak wspaniałego zwierza. Ryczała tak sobie aż do świtu i naturalnie już nie dała mi usnąć.

Ze wschodem słońca przyszli ludzie z tutejszych okolic

przynosząc na sprzedaż kury, mąkę, jaja i banany, ale żądali niestworzonych rzeczy. Udało mi się z trudem ubić „marondę“, dając im wzamian za przyniesione artykuły kilka metrów białego perkalu i garść czerwonych koralików. Następnie, korzystając z lekkiej mgły, dałem rozkaz do podniesienia kotwicy.

4. NA POGRANICZU MAKOLOLÓW.

Wioślarze moi, jak wszyscy ludzie z Mazaro, śpiewają bezustannie, a głos tych pieśni rozlega się daleko po rzece, dając ludziom, mieszkającym nad brzegami, wiadomość o podróży Europejczyka. Piosnki te, prawdziwe barkarole, zastosowane do ruchu wiosła lub tyki, miłe sprawiają wrażenie na podróżniku, chociaż przyznać trzeba, że głosy kaferskie do śpiewu nie są przeznaczone.

Im dalej wgórę rzeki, tem mniej spotyka się wiosek, bo prawdopodobnie kryją się gdzieś dalej w głębi lasów, a więc na miejscach mniej bagnistych. Czasem tylko widzi się tu i tam prymitywne szałasy na polach, obsianych kukuruzą i sorgiem — zresztą po obu brzegach morze traw, z rozrzuconemi kępami mimozowatych drzew lub ciernistych krzaków.

Ludność nadbrzeżna należy tak samo do plemienia Mangandżów, co w języku tutejszym oznacza lud, osiadły nad wodą. Dialekt ich różni się nieco od dialektu Aczikundów, ale kto jeden z nich rozumie, może się doskonale z oboma plemionami porozumieć.

Typ Mangandżów nie należy do najpiękniejszych, a inteligencja ich idzie w parze z powierzchownością. Kobiety znane są jako doskonałe pracownice i w dawnych czasach bardzo były poszukiwane przez handlarzy niewolników. Mają one szczególniejszy sposób ozdabiania ust, tak zwanem „pelele“, które umieszczają w odpowiedniem wycięciu w wardze górnej, przez co ją wydłużają, nieraz na cal poza

zwykłe granice, dając w ten sposób ustom wygląd dzioba ptasiego. W wycięcie to wkładają albo krążek drewniany, albo metalowy, a czasem kamyk oszlifowany, młode zaś dziewczęta słomkę lub kawałek drewienka. Te ostatnie prawdopodobnie już się wstydzą tej potwornej mody, bo gdy się im biały przypatruje, zręcznie tę ozdobę językiem wyciągają i w ustach kryją. Widocznie, tylko z musu ulegają temu zwyczajowi — ale zapytane przez niedyskretnego podróżnika o cel takiej ozdoby, odpowiadają rezolutnie: a poco wy nosicie spodnie?

Jeszcze dzień cały wleczemy się wśród monotonnej panoramy. Pod wieczór spostrzegamy upragnione Ruo.

Ruo, dopływ Sziry z lewej strony, przynosi z gór czystą i zimną wodę, prawdziwą rozkosz dla tego, co przez tyle dni był zmuszony pić mętny i ciepły żur. Za tą rzeką ciągnie się kraj Makololów, nieuznających władzy portugalskiej.

Makololowie, pod których firmą egzystuje państwo dość rozległe, nie są właściwymi mieszkańcami tej ziemi. Tutejszą ludność stanowią Mangandżowie. Makololowie są klasą rządzącą i przywędrowali tu z nad górnej Zambezy, towarzysząc doktorowi Livingstonowi w podróży jego do jeziora Njassa. Po powrocie Livingstona do Europy, pozostali nad Szirą, a zawojowawszy kraj tutejszy, dali początek swojej dynastji. Od tego czasu władza w ich rękach się utrzymała skutkiem głupoty i lenistwa tutejszego ludu.

Kiedy ich odwiedzałem, kraj był podzielony na kilka dystryktów, nad któremi stali w charakterze udzielnych książąt jeszcze ci sami Makololowie, którzy tu przed laty o władzę walczyli. Najstarszy między nimi był Ramakukana, czyli, jak go teraz nazwano, Kasisi, i tego wówczas uważano za głowę Makololów.

Pierwszą miejscowością makolololską jest Cziromo. Leży po lewym brzegu na wystającym cyplu, który się utworzył

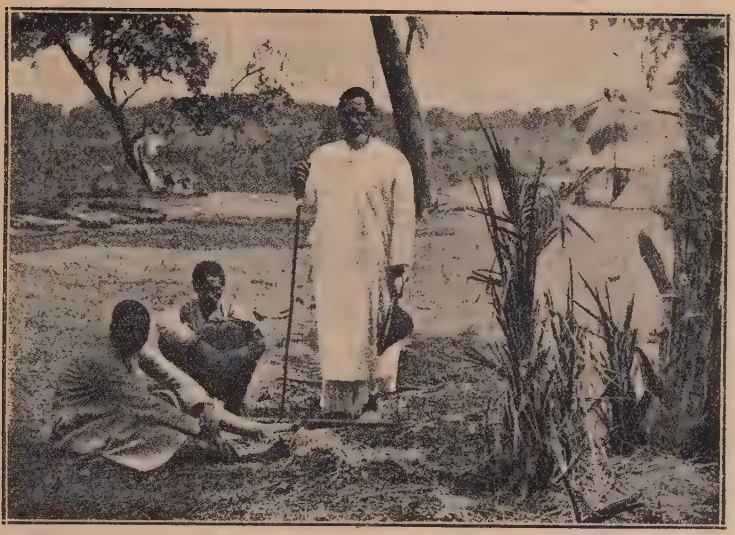

Dwaj książęta Makololów.

Brzegi Sziry z palmami *(Borassus flabellifer).*

przez zlew Sziry i Ruo. Kilka palm „borassus“, rosnących nad wodą, zapowiada tę miejscowość już zdaleka. I każdy podróżujący z przestrachem ją wita, życząc sobie być jak najprędzej za jej granicami.

Zła opinja Cziroma datuje się nie od dzisiaj. Oddawna już tu rabowano i obdzierano podróżnych, od kiedy zaś zabito Amerykanina Fenwika, wieś ta stała się miejscem postrachu. I nie można sobie wyobrazić gorszych ludzi od ludzi Cziromu. Złodzieje i pijacy czyhają tylko na sposobność, aby wymusić coś na podróżnym, i nie oszczędzają tak samo czarnego, jak i białego.

Nocując na brzegu, przygotowałem się na wszelki wypadek. Czuwałem też sam noc całą, bo moi wioślarze, utrudzeni całodzienną pracą, która — nawiasem mówiąc — nie jest drobnostką, spali snem kamiennym.

Noc przeszła spokojnie, Cziromo zdawało się spoczywać smacznie i żaden z mieszkańców nie zjawił się nad rzeką. Dopiero kiedyśmy ruszyli z miejsca, przybiegło kilku chłopców nad brzeg, i jęło nas o coś zapytywać, czego ja mimo tłumaczenia kucharza zrozumieć nie mogłem. To jednak nie powstrzymało nas i pojechaliśmy naprzód. Wnet Cziromo znikło nam z oczu.

Po obu stronach rzeki mamy taki sam krajobraz, jak za Morambalą; bagna i lasy trzcin. Są one jednak o wiele ciekawsze od poprzednich, gdyż w ich głębi kryją się stada rozmaitego zwierza, a nawet słonie. Przed laty trzydziestu było ich tu mnóstwo, a w opisach Livingstona znajdujemy wzmiankę o trzodzie, którą on własnemi oczyma oglądał, a która mogła liczyć do ośmiuset głów. Dziś po rozpowszechnieniu broni palnej liczba ich się zmniejszyła, zawsze jednak miejscowość ta wabi do siebie strzelców słoni, tak białych, jak i czarnych. Mokre te stepy możliwe do zwiedzania tylko w porze zimowej, znane są między Europejczykami pod nazwą „Elephant-marshes“ [1]), którą to nazwę

[1]) Elephant = marshes = bagna słoni.

otrzymały prawdopodobnie od pierwszych podróżników, Anglików. W języku krajowym zwą je „Dabani“, od rzeki, płynącej tędy do Sziry(?).

Ta moczarowata równina, poprzerywana licznemi strumieniami, którychbyś darmo szukał w porze suchej, zarosła jest w miejscach niższych trawą, zwaną „mabande“, stanowiącą główne pożywienie słoni i bawołów. W miejscach wyższych rosną dzikie palmy, akacje gumowe i nędzne kolczaste lasy.

Wyborna pasza zwabia tu w suchej porze, kiedy strumienie w górach wyschną a trawy spłoną, tysiące zwierzyny czworonożnej. Antylopy rozmaitych gatunków, zebry, dziki, bawoły i słonie gromadzą się na tej olbrzymiej płaszczyźnie. Brzegi Sziry oraz niskie dolinki wpobliżu wód, są zupełnie spasione przez hipopotamy, a liczne ścieżki, krzyżujące się w rozmaitych kierunkach, świadczą o wielkiej ich liczbie.

Tu i tam spotyka się gąszcze trzcinowe, tak zwane „bango“. Szczególnie wyspy Sziry są tak niemi zarosłe, iż słoń, umykając przed strzelcami, swobodnie ukryć się tam może, a niekażdy zdobędzie się na tyle odwagi, by daleko się w te lasy zapuszczać.

Wszystkie suchsze miejsca jeżą się kopcami termitów, tych niezmordowanych pracowników afrykańskich. Myśliwy śpieszy do nich, by z ich wierzchołka rozglądnąć się po okolicy.

5. PIERWSZY STRZAŁ, PIERWSZE SŁONIE I PIERWSZY RYK LWA.

Z pierwszemi promieniami słońca, które się przedzierały przez lekkie opary, znaleźliśmy się przed wyspą, gdzie według opowiadania miał być zabity Fenwik.

Wspomnienia takie nie usposabiają wesoło, zwłaszcza, gdy się ma jeszcze na myśli świeższe wypadki tego rodzaju. I żywo stanęła mi przed oczyma scena z Austrja-

kiem, dawnym moim szefem z domu handlowego, która miała miejsce w tym kraju przed rokiem, a skończyła się tragiczną jego śmiercią. Dla błahego powodu zamordowano go i obłupiono, rzucając ciało na pastwę krokodyli. Według głuchych wieści, jakie krążyły naówczas pomiędzy czarnymi, serce jego miało być zjedzone. Miejsce to mamy mijać pojutrze.

Kiedyśmy okrążali wyspę, gdzie rzeka tworzy wielki basen, hipopotamy powitały nas głośnem parskaniem. Stada kaczek „suriri[1])“ raz wraz zrywały się przed łodzią, a czarne ibisy, ciągnąc gdzieś na żer do Dabani, żałosnem wołaniem napełniały powietrze.

Krzaki i nadbrzeżne drzewa czerniały od licznych kormoranów i wężogłowów; z pośród traw wysuwała się niekiedy cienka postać olbrzymiej czapli niebieskiej, odbywającej czaty.

Z karabinem w ręku, oparty o burtę łodzi, śledziłem za hipopotamami, których głowy co chwila dokoła nas ponad wodą się wynurzały. Byłem w obawie o naszą łódź, gdyż ta z pewnościąby dobrego uderzenia nie wytrzymała, a zwierzęta te miały miny wcale nie uspokajające. Nie strzelałem jednak, aby ich nie drażnić, i może dzięki temu cali stanęliśmy w południe na wypoczynek.

Zaczęło się jak zwykle od niecenia ognia. Jeszcze czarni znosili paliwo, które tu tylko w formie suchych trzcin zbierać było można, a już począł kucharz garnki rozkładać. Widać zabierał się do gotowania nie ladajakiego obiadu, skoro tak zawczasu wziął się do tej czynności, do której go zwykle napędzać było trzeba. Z przyjemnością przyglądałem się tym przygotowaniom, bo podróżując od rana o herbatce i angielskim sucharku, mogłem się uważać za głodnego. Niestety, poza konserwami, które mi już obrzydły, świeże nasze zapasy wcale nie były obfite. Pozostawała

[1]) Suriri = Dendrocycna viduata.

tylko jedyna kura, szkielet, obciągnięty skórą, jak to na targach afrykańskich często się spotyka. Ponieważ należało jak najrychlej o świeże mięso dla kuchni się postarać, wyszukałem jednego z ludzi i, uzupełniwszy pas świeżemi ładunkami, poszedłem na zbadanie okolicy.

Gdym się już przedarł przez pierwsze trzciny, które niejako zamykały wejście od brzegu, znalazłem się wnet w gęstych trawiskach, sięgających powyżej głowy. Mimo przeszkody, jaką stawiały nogom powikłane źdźbła traw, dążyłem naprzód z wielkim zapałem. Ta szumiąca puszcza przyciągała ku sobie siłą tajemniczości. Byłbym dał wiele, aby zobaczyć wszystko, co w jej wnętrzu się kryje, sprawdzić, czy rzeczywiście są tam słonie, których szukam, i jak one na wolności wyglądają. Spostrzegłszy pierwszy na drodze wzgórek termitów, wydrapałem się nań z pośpiechem.

Step, jak ogromne jezioro, rozpościerał się między łańcuchami gór, widocznemi z obu stron na dalekim widnokręgu. Pożółkłe trawy, uginając się pod powiewem wiatru, robiły wrażenie fal wodnych, z pod których, niby łódki rybackie, wychylały się kopce termitów, raz mniej, raz więcej, w miarę jak wiatr zawiał. Po brzegach tego suchego jeziora majaczyły ledwie gdzie niegdzie korony pojedyńczych palm, bo pnie ich gubiły się w drgającej atmosferze, spowodowanej szybkiem parowaniem wód; w pewnej oddali czerniała jakaś długa i szeroka linja; widocznie miejsca, przez które niedawno przeszedł ogień.

Na te spalenizny, jak je tu zowią „rupia“, skierowałem szkła mojej lunety, ale zanim mogłem upewnić się co do stworzeń, które tam odkryłem, bystre oko Kafra już zwierzynę bliżej nas wytropiło.

— „Njama, njama“ [1]) — zawołał cicho, wskazując palcem na otwartą polankę, nie dalej jak pięćset kroków przed nami. — „Niakozwe, ambiri“ [2]).

[1]) Njama = mięso, zwierzyna.

[2]) Niakozwe ambiri = dużo kozłów wodnych.

Teraz i ja je ujrzałem. Rudel antylop pasł się nad brzegiem jeziorka. Stary kozioł, wielkości naszego jelenia, zbrojny w potężne rogi, szedł przodem, prowadząc stado. Stawał co chwila, potrząsał głową, niby od much się odpędzając, i bacznie wpatrywał się w kierunku wiatru. Za nim sznurem postępowało kilka kóz i dwa cielątka, nie szare, jak ich rodzice, ale prawie czerwone.

Na ten widok serce we mnie żywiej zabiło. Żyłka myśliwska nie pozwoliła na długie medytacje; bez szelestu zsunąłem się z pagórka i zanurzyłem w wysokie trawy. Wiatr sprzyjał i wkrótce znalazłem się od stada w odległości kilkudziesięciu kroków. Tu trawa była trochę rzadsza i zdeptana; jeszcze kilka kroków i mogłem strzelać. Niestety, nadepnąłem na trzcinę, ta trzasła i zaalarmowała antylopy.

W raptownych susach poskoczyły naprzód, poczem przystanąwszy z uwagą poczęły patrzeć w miejsce, gdzie stałem ukryty.

Nie było czasu do stracenia tem bardziej, że stadko przystanęło tuż pod trawami, w których mogło zniknąć w jednej chwili.

Do kozła strzelić nie mogłem, gdyż pokrywały go zupełnie ciała kóz, bliżej stojących, wziąłem przeto najbliższą kozę na cel i wypaliłem. W jednej chwili wszystko znikło w trawach; miałem wrażenie, że chybiłem.

Z zafrasowaną miną wsadzałem nowy ładunek do lufy, spoglądając bokiem na mego chłopaka, który również myśląc, że spudłowałem, składał winę na zły wiatr. Natomiast ja całą winę przypisywałem swojej gorączce i robiłem sobie wyrzuty po cichu. Ale pocieszyłem się wkrótce; kiedy miałem się ruszyć z miejsca, usłyszałem szelest w trawach, potem cichy bek i przyśpieszony oddech.

Pewny już dobrego rezultatu, poskoczyłem co rychlej do tego miejsca. Koza, trafiona w górną część łopatki, leżała w ostatnich konwulsjach. Nie poszła więcej, jak pięć

kroków od miejsca, gdzie dostała strzał; zatem mimo pośpiechu trafiłem dobrze.

— „Uafa, Uafa“![1]) — powtarzał Mazarczyk — teraz nam już nie ucieknie!

I jakby w obawie, by naprawdę nie uciekła, podrzynał gardziel tępym nożem.

Po tak szczęśliwie stoczonej bitwie wypoczynek był zasłużoną nagrodą. Chłopaka wyprawiłem po resztę ludzi, sam zaś usadowiłem się na kopcu termitowym i jąłem napowrót obserwować okolicę. Za pomocą szkieł dojrzałem wdali stadka takich samych „niakozwe“ i zeber, a na horyzoncie jakąś czarną ruchomą linję, którą uważać mogłem za stado bawołów. Zato od strony rzeki lasy trzcin zasłaniały widok, złożywszy więc szkła, zacząłem już złazić z pagórka.

Wtem, jakby jakiemś przeczuciem wiedziony, zatrzymałem się jeszcze chwilę, aby po raz ostatni popatrzeć w stronę stepu.

Na dość znacznej odległości posuwało się kilka czarnych plam, jak mi się narazie wydało, od rzeki ku stepowi. Odległość była tak znaczna, że nawet luneta niewiele mi pomogła, zwłaszcza, że słońce właśnie, z tej strony padając, tak raziło oczy, że po chwili patrzenia już nic rozróżnić nie mogłem.

Plamy te jednak posuwały się powoli; znikając od czasu do czasu z oczu w zagłębieniach terenu, wydostały się wkońcu na otwarte miejsca, gdzie już ich kontury wyraźniej się zaznaczyły.

Czyżby słonie?

Znikła wszelka wątpliwość; miałem przed sobą słonie, owe wymarzone słonie, które dotychczas w menażerjach lub na obrazku widywałem. Swoim zwyczajem szły jeden za drugim, z trąbami, nadół spuszczonemi. Szły w równem

[1]) Uafa = zginęła, zabita.

tempie, nie zatrzymując się ani chwili, dążąc widocznie do lasu, szarzejącego na widnokręgu.

Podczas tej obserwacji kapelusz zleciał mi z głowy, a słońce piekło w straszny sposób. Słony pot spływał po twarzy i zalewał oczy, a ja, jak zaczarowany, stałem ciągle ze szkłami, zwróconemi w kierunku słoni i oczu od tego widoku oderwać nie mogłem. Widziałem, jak się szybko posuwają, jak maleją i wreszcie w ledwie dostrzegalne plamy roztapiają.

Jakżebym chętnie pogonił za stadem, gdybym wiedział, jak się wziąć do rzeczy. Ale karabin wielki w łodzi, naboje do niego aż na dnie skrzynki, a człowieka, któryby potrafił tropić, nie znalazłbym pomiędzy moimi Kaframi. Trzeba było słonie zostawić ich losowi i pocieszyć się myślą, że się kiedyś jeszcze z niemi tu spotkam.

W tym czasie Mazarczycy, którzy zajęci byli ćwiartowaniem antylopy, ukończyli swoją robotę. Mięso związano i umocowano na tykach — lepsze części osobno dla „muzunga“, i ruszamy z powrotem. Chłopcy cieszą się, iż doczekali się „kisawi“ [1]), klaszczą w dłonie i śpiewają. Tylko ja z niewesołą miną ciągnę za nimi, mając głowę nabitą słoniami, i troskę swoją staram się utopić w dymie cygar. Późną dopiero godziną wyjeżdżamy w dalszą drogę. Powoli przesuwamy się głębokiem korytem rzeki, budząc ze snu krokodyle, rozciągnięte po ławicach. Słońce, świecąc zukosa, praży jeszcze więcej niż przed południem, a chatka moja zamienia się w prawdziwy piec piekarski. Dopiero z zachodem słońca ochłodziło się nieco i, gdy dobijaliśmy do brzegu, aby rozłożyć się na nocleg, dobrze już było zimno.

Rozpalono natychmiast ognie, przy których wkrąg zasiedli wioślarze, gotując się do wieczerzy. Kawały mięsa piekły się na rożnach trzcinowych, a woń pieczystego rozchodziła się wokół, wprawiając wszystkich w doskonałe

[1]) Kisawi = przyprawa.

usposobienie. Gwarno było, dowcipkowano bez końca i próbowano chóralnego śpiewu, czemu, ze względu na zwyczaje obozowe, przeszkodziłem. Opowiadano więc sobie dalej o dzisiejszem polowaniu, o antylopach, wynosząc pod niebiosa „muzunga“ i jego karabin.

Nagle robi się cisza — wszystko słucha. Ze stepu doleciał jakiś głos podejrzany. To ryknął lew. Ryk ten, jak echo dalekiego gzmotu, zrazu gwałtowny, łagodniał stopniowo, jakoby gubiąc się w przestrzeni, a zakończenie jego ledwie było słyszalne. Zdawało się wreszcie, że lew tylko oddycha tak głęboko.

Ryknął znowu. Teraz już głośniej i dłużej. I rozlega się daleko ta muzyka po puszczy, a każdy nasłuchuje, jakgdyby się obawiał stracić pojedyńczą jej nutę. Jeszcze kilka ciężkich westchnień i serenada skończona...

Czarni zaczynają na nowo przerwaną rozmowę i śmiech powraca na nowo. Lew daleko, zwierza mnóstwo dokoła, pocóżby miał ludzi napastować? Zresztą talizmany, które ze sobą wiozą, to najlepsza rękojmia bezpieczeństwa. Wkrótce też ognie zgasły, wieczerza zjedzona, oczy się kleją i niebawem cały obóz śpi w najlepsze. Tylko „muzungu“, nie mając talizmanu, czuwa, nadstawiając ucha, czy też nie usłyszy ponownego ryku na prerji. Ale nic nie przerywa ciszy nocnej. Śpijmy! Lew daleko...

Dzień następny nie przyniósł nam nic nowego. Te same niskie i olbrzymią trzciną porosłe brzegi, te same ławice piasku, te same krokodyle i hipopotamy, do których się już więcej nie strzela. Wprawdzie lasy palmowe widne już wyraźniej, ale nie mam nadziei, czy się tam dzisiaj dobijemy, bo długa jeszcze droga przed nami, a rzeka kręci się, nie jak wąż, ale jak robak jakiś ohydny.

Deszcz rosił do południa; potem zerwał się silny wiatr i rozgonił chmury. Próbowałem jechać żaglem, ale nie szło sporo, bo rzeka zwraca się w rozmaite strony i mnóstwo mielizn. W „Nczaro“, małej miejscowości na prawym brzegu,

Kaczka „suriri“, gnieżdżąca się na drzewach.
(Dendrocycna viduata).

Dom mieszkalny T-wa African Lakes Co. w Blantyre.

kupujemy wina palmowego oraz soli, którą tu wygotowują z jeziorek solnych. Wino to, dobre, gdy świeże, uzyskuje się przez nacięcie młodych pni palmowych. Po sfermentowaniu staje się kwaskowatem i cuchnie drożdżami. Czarni upijają się niem radykalnie.

Minąwszy Mbewe, gdzie zamordowano Austrjaka, o którym już poprzednio wspomniałem, stanęliśmy nad Mansą. Jest to mała rzeczka, wpadająca do Sziry z prawej strony. Tu rezyduje jeden z książąt makololskich, Malauri, i tego należało odwiedzić. Obrazić takiego władcę nie było bezpiecznie, bo głowy Europejczyków nie były jeszcze u nich w owym czasie w wielkiem poszanowaniu.

Wsi nie widać od strony rzeki, a tych kilka chat, które są na brzegu, są mieszkaniami pilnujących ogrodów. Stolica ukryta jest w głębi lasu pod ochroną olbrzymich drzew, których wyniosłe korony są drogowskazem dla podróżujących. Tam są pałace jego książęcej mości, tam jego harem, domostwa jego rodziny, ogrody prywatne i składy zboża.

Kiedyśmy przybijali do brzegu, kilka starych kobiet czerpało wodę do glinianych naczyń. Zauważyłem, że nie wchodziły do wody, jak to robią w Mazaro, i nie nabierały jej bezpośrednio w garnki, ale wydostawały wodę na brzeg zapomocą tykw, umocowanych na długich kijach bambusowych. Wyjaśniono mi potem, że czynią to z tego powodu, iż w tych stronach krokodyle są nadzwyczaj żarłoczne i przenoszą mięso ludzkie nad wszystko inne.

Za mojem zjawieniem się kobiety, zostawiając naczynia, uciekły do chat; zato dzieci obstąpiły mnie dokoła. Jedne całkiem nagie, inne obwiązane kawałkiem perkalu podejrzanego koloru, przyglądały się nam ciekawie zrazu z pewną bojaźnią. Następnie jednak poczęły oswajać się z moją osobą i zachęcone kilku słowy, które do nich przemówiłem, pootwierały buzie.

— „Moni! Moni! Moni!“ — pozdrawiały jedne za drugiemi, a za każdem „moni“ musiałem równem „moni“ odpowiadać.

Anglicy utrzymywali, że to słowo „moni“ jest tylko skróceniem „good morning“ (gud mounin), z czego się miało wnosić o wpływie, jaki na lud tutejszy wywierali. Atoli przekonałem się później, że to samo pozdrowienie istniało i istnieje między innemi plemionami, tak Sziry, jak Zambezy, i to w głębi kraju, gdzie lud niewiele miał styczności z Anglikami, i gdzie więcej portugalskiej, niż angielskiej domieszki w mowie się spostrzegało.

6. W STOLICY MAKOLOLSKIEJ.

Nareszcie jesteśmy w stolicy. Ogromne drzewo figowe, rzuca rozległy cień na czysto wydeptany plac. Po jednej stronie rozrzucone, podobne do uli, chaty poddanych, po drugiej, w otoczeniu trzcinowem, budynki i harem króla. Pod figowcem leży kilku Kafrów, zajętych rozmową. Grupa dzieci bawi się opodal. Oparte o pień drzewa łuki, dzidy i karabiny kapslowe urozmaicają obraz.

Znając z opowiadania zwyczaje pałacowe, nie namyślałem się długo. Zapytawszy, czy „mfumu“ w domu, wszedłem do zagrodzenia.

Kilka kobiet ubijało tam sorgo w wysokich stępach. Dwie czy trzy miały dzieci, uwiązane na plecach, i kiwając się w regularnem tempie nad tą prymitywną maszyną, przedstawiały widok nader komiczny. Inne siedziały pod daszkami domów, zajęte nawlekaniem paciorków do ozdób kobiecych. Mężczyzn nie było widać wcale. Z pomiędzy kobiet uderzyło mnie swym widokiem kilka strasznych potworów z olbrzymiemi „pelelami“ pod nosem, ale także kilka wcale ładnych okazów. Oczywiście, że te ostatnie nie miały takiej ohydnej ozdoby i były młode...

Pośród labiryntu chat, które wcale nie różniły się strukturą jedna od drugiej, wynalazłem wreszcie czworoboczny, wyższy nad inne budynek — pałac Malauriego. Zastałem go na werandzie, utworzonej ze spadającej strzechy, w wiel-

kiem poręczowem krześle wyrobu europejskiego. Był w towarzystwie kilku starszych Kafrów, zapewne swoich doradców, którzy siedzieli obok na matach, i popijał „moa“ [1]) z ogromnego glinianego garnka, ustawionego u jego stóp.

Malauri jest wysokim mężczyzną o cerze ciemno bronzowej i fizjognomji dość przyjemnej, zwłaszcza dla oka, przyzwyczajonego już do czarnych twarzy. Odziany w kolorowe chustki, które na biodrach tworzyły rodzaj fartuszka, nie wyróżniał się ubiorem od innych murzynów. Wielki niebieski szal wełniany, służący mu za togę, wisiał na poręczy krzesła. Na nogach miał wiele mosiężnych obrączek uwitych misternie z cienkiego drutu — specjalność, znana tylko mistrzom z nad Zambezy.

Powitałem go po angielsku. Podał mi rękę, ledwie ruszywszy się z krzesła, poczem zawołał na niewolniczka, bawiącego się wpobliżu, i kazał podać krzesło, przyczem zaprosił mię zaraz na piwo, zaczerpnąwszy ogromną tykwą tego napoju z garnka i podając mi ją do rąk.

Kiedy zaspokoiłem pragnienie i usiadłem obok, rozpoczęliśmy pogawędkę. Łamaną angielszczyzną, którą widocznie lubił się chwalić, wypytywał o rozmaite szczegóły, o polowanie, o handel i o Portugalczyków. O tych ostatnich pragnął jak najwięcej ode mnie wyciągnąć wiadomości, bo ciągle zwracał na ten temat rozmowę, wypytując, czyby to było prawdą, iż zamierzają wtargnąć do kraju Makololów. Starałem się go przekonać, że nic o tem nie wiem, i że, będąc Anglikiem, nie sympatyzuję z Portugalczykami. Ale prawdopodobnie niebardzo mi wierzył, bo przerywał co chwila:

— You same english? [2]).

Poza tem jednak był bardzo uprzejmy, a gościnę swoją chciał mi okazać częstem podawaniem pełnej tykwy i zaproszeniem do pozostania nad Mansą. Wogóle zachowywał

[1]) Moa = napój, piwo krajowe = pombe.

[2]) You same english? (Ju sejm ynglisz?) = czyś taki sam jak Anglik?

się bardzo przyzwoicie i robił wrażenie prawdziwego władcy. Tak gawędziliśmy do południa, poczem obdarowawszy jego książęcą mość karabinkiem kapslowym i flaszką cienkiego prochu, pożegnałem stolicę. Na odchodnem uścisnęliśmy sobie jeszcze raz ręce z życzeniem „good bye“ (gud baj) i znowu łódź moja przyjęła mię gościnnie na dalszą podróż.

Przed południem dnia następnego stajemy w Katundze. Tu kończy się nasza podróż wodna. Pakunki przenosimy do wsi, gdzie „mfumu“, od którego imienia wieś nazwano, a jest nim także jeden z książąt makololskich, odstępuje mi chatę na mieszkanie. Gościnę tę opłaciłem podarunkiem jednej sztuki białego perkalu, tuzina kolorowych chustek, oraz baryłki kaferskiego prochu.

Łódź, która mnie tu przywiozła, ma wracać do Szamo. Marynarze ucieszeni, że podróż się skończyła i że nazajutrz zpowrotem odpłyną, postanawiają przetańczyć noc całą. Zamówiono w tym celu miejscową orkiestrę, składającą się z dwóch większych, a pięciu mniejszych bębnów, co daje tę przyjemną pewność, iż tej nocy spać nie będę. Zapobiec jednak temu było niemożliwe, bo cały dwór Katungi gotował się do tej zabawy, i zakaz z mojej strony mógłby tylko obrazić gościnnego „mfuma“, którego względy pozyskać mi wypadało.

Katunga jest ostatnią miejscowością, do której docierają od strony morza łodzie i parowczyki. Już kilka kilometrów dalej wgórę rzeki łożysko jej jeży się złomami granitów, rzuconych tu przepotężną siłą, a kilka wodospadów, z których największy nosi nazwę „Murchisson Falls“, zamykają zupełnie nawigację. Z tego to powodu towarzystwo „African Lakes Co“ (Efriken Lejks Kompeny) utworzyło tutaj stację dla utrzymania komunikacji między dolną a górną Szirą na drodze lądowej. Droga ta prowadzi przez góry, nazwane przez Anglików „Shire-highlands“ (Szir hajlends), w głębi których dyrekcja tego towarzystwa oraz misjona-

rze szkoccy, mają swoje siedziby. Miejscowość ta zwie się Blantyre.

Mając odbyć dalszą podróż pieszo, musiałem przedewszystkiem do tej osady się dostać, gdyż, jak mi opowiadano, łatwiej tam mogłem zebrać karawanę do przyszłej mej wyprawy, jak również znaleźć odpowiednich przewodników, znających okolicę górnej Sziry. Zresztą musiałem także zaznajomić się z tamtejszymi mieszkańcami, mając zamiar dłuższy czas w tych stronach zabawić, a w końcu nawet na stałe się tu osiedlić. Trzyletni pobyt nad rzeką przekonał mnie, aż nadto dobrze, że z malarją zżyć się niełatwo, o „Shire-highlandzie“ zaś słyszałem zawsze, jako o kraju względnie bardzo zdrowym.

CZĘŚĆ II.

W GÓRACH.

1. KRAJ, PRZYRODA I LUDZIE.

Przestrzeń, ochrzczona przez Anglików nazwą „Shire-highlands“, ogranicza się tylko do kilku łańcuchów górskich, wznoszących się na lewym brzegu Sziry.

Kilka różnej wysokości grzbietów, pomiędzy któremi wyróżnić należy jako osobne góry Zombę (2100 metrów) i Cziolo (1500 metrów), biegnie równolegle do koryta Sziry aż do Rua, gdzie urywają się w lekkich spadach, dopływem tej ostatniej rzeki przecięte. O ile stoki wschodnie są łagodne, o tyle z zachodu stromo spadają w dolinę Sziry, tworząc tym sposobem ścianę tego wschodnio-afrykańskiego wyżłobienia, przez które ta rzeka przelewa się z jeziora Njassa do Zambezy.

Jest to kraj przeważnie lesisty. Zaledwie tu i tam uderzy oko kilka nagich skał lub połonin, zresztą góry pokryte są jednym zwartym płaszczem lasu. Wprawdzie na niższych stokach po stronie wschodniej napotyka się dolinki moczarowate bezdrzewne, ale są one tak zarosłe trzcinami, że na pierwsze wejrzenie i owe miejsca wziąć można za lasy. Z mokradeł takich biorą początek wszystkie strumienie górskie, których liczba jest dość znaczna. Jedne wpadają do Sziry, inne do Rua, reszta zaś do jeziora Szirwy, gdzie kończą swój krótki żywot. Roślinność jest bardzo rozmaita i zmienia się w miarę podnoszenia się terenu. Jeżeli na niższych stokach i w głębi wąwozów widzi

się jeszcze zalesienie czysto podzwrotnikowe, z palmami, lianami i inną typową roślinnością nizin, to już na wysokości 900 do 1200 metrów, a w szczególności na płaskich częściach gór szata roślinna jest zupełnie odmienna i więcej do naszych lasów liściastych podobna. Możesz wprawdzie gdzie niegdzie nad strumieniem znaleźć drzewo lub krzew ze strefy niższej, ale można też o nich stanowczo twierdzić, że są to tylko intruzy, wiatrem lub ręką ludzką tu zaniesione. Zato bambusy, którym górskie powietrze bardzo sprzyja, rosną tak dobrze na niskich stokach, jak i na znacznej wysokości, o ile tylko znajdą dla siebie grunt dostatecznie wilgotny. Kilka bardzo charakterystycznych gatunków drzew, z których „masuku“ [1]) najliczniej występuje, tworzą tu jednolite zwarte zagajenia, pokrywające często bardzo znaczne obszary, i są przeciwstawieniem do lasów nizin, gdzie najrozmaitsze gatunki wegetują obok siebie. Te lasy dają krajobrazowi odrębny wygląd, a pojęcie „Shire-highlandu“ łączy się z pojęciem lasów „masuku“.

Wzniesienia ponad 1800 metrów nad poziomem morza są również porosłe, ale już karłowatemi okazami tych samych gatunków, nagie zaś szczyty są, jak to już pierwej zaznaczyłem, rzadkością.

Glebę z małemi wyjątkami stanowi czerwona glinka, już w nieznacznej głębokości nieprzepuszczalna, bardzo żelazista, z nadzwyczaj cienką warstwą próchnicy. Ziemia przeto byłaby bardzo nieurodzajna, gdyby nie częste opady atmosferyczne, które sprawiają, iż widzi się tu zawsze piękną zieloność i ogrody mieszkańców w każdej porze roku pełne warzywa.

Klimat tutejszy mimo ogromnej wilgotności jest zdrowszy od klimatu nadrzecznego. Już na pewnej wysokości gorąco nie jest tak dokuczliwe, a w strefie między 900 a 1200 metrami nad poziomem morza przeciętna temperatura roczna nie przewyższa $+23^0$ C.

[1]) Msuku, l. m. masuku = Uapaca Kirkiana.

Tam w porze zimowej są dnie często chłodne, co przy panującej wilgoci wydelikaconemu Europejczykowi dobrze się daje we znaki i wówczas bez ognia w chacie obejść się trudno.

Stąd też zdziwienie niejednego z nowych przybyszów, gdy ujrzy kominy na domkach tutejszych kolonistów, oswaja się jednak z tem szybko, gdy mu przyjdzie tu nocować podczas jednej z tych zimnych nocy.

Rozległy ten kraj jest bardzo słabo zaludniony. Zamieszkują go po części Mangandżowie (pierwotni mieszkańcy), po części plemię Jao lub Adżawa, które przywędrowało z północy i dawnych mieszkańców powoli z ich siedzib rugowało i ruguje. W chwili obecnej zamieszkują Mangandżowie stoki gór zachodnich, t. j. bliżej rzeki Sziry, Adżawowie zaś wnętrze gór, do których są poniekąd przywiązani, byli bowiem z pochodzenia także góralami. Język Adżawów, zwany „Czi-jao“, chociaż rdzennie tego samego, co i Mangandżów, pochodzenia, różni się tak dalece od tego ostatniego, że Europejczyk, władający nawet bardzo dobrze językiem Mangandżów, Adżawów niewiele rozumie. Także ich charaktery i usposobienia różnią się znacznie od siebie. Mangandża jest powolny, dobroduszny i spokojny, Jao — ducha kłótliwego, przedsiębiorczy i do wojny skory. Nie dziw więc, że Arabowie, którzy tu od wieków gospodarowali, żyli z Adżawami na przyjaznej stopie, używając ich jako powolnego narzędzia do łupienia słabszych plemion lub do wypraw po niewolników. Wielu Adżawów przyjęło Islam, a niektórzy z nich mienią się nawet być Arabami, chociaż bardzo mało krwi arabskiej w ich żyłach płynie.

Adżawowie robią na białym dodatnie wrażenie, jakkolwiek w ich wyrazie twarzy przebija charakter fałszywy i podstępny. Budowy ciała słabej, są rośli i smukli, o skórze dość jasnej. Pod względem inteligencji stoją wyżej od Mangandżów, co najdobitniej okazuje się w tutejszych stosunkach społecznych, bo żyjąc obok tych ostatnich, żyją

Widok stepu „Dabani“ i gór „Shire-highlands“.

Plantatorzy kawy i wojownicy Angonich.

niejako ich kosztem. I tak: niechętnie sami uprawiając rolę, posłużyli się w tem swymi sąsiadami. Spostrzegłszy, że kobiety Mangandżów są doskonałemi robotnicami, poczęli kojarzyć się z tem plemieniem, co im się udawało tem łatwiej, że byli dzielni i bogaci. Wnet pozostawił Jao cały ciężar gospodarstwa domowego kobiecie, oddając się tylko z zamiłowaniem myśliwstwu i handlowi.

Ale kojarzenie się z plemieniem spokojnem i przeważnie rolniczem nie pozostało bez skutków. Poczęli powoli przywykać do życia spokojniejszego, uprawiać rolę i hodować zwierzęta domowe. Z każdym rokiem zwiększał się obszar ziemi uprawnej w górach Sziry, a obecnie nawet większe przestrzenie uprawiane są przez Adżawów.

Mangandżowie byli i są rolnikami z zawodu i usposobienia. Uprawiają kukuruzę, sorgo, manjok, słodkie ziemniaki, a w miejscach, niżej położonych, ryż i fasolę. Hodują także owce i kozy, ale w małej liczbie dla braku odpowiednich pastwisk, a może przez wzgląd na liczne drapieżce, przed któremi uchronić stada byłoby dla nich bardzo trudno. Zato kurę domową widzi się tu wszędzie i niektóre wioski dostarczają drobiu setkami.

Mangandżowie trudnią się także przetapianiem żelaza. W miejscach, gdzie ruda żelazna występuje obficiej, spotyka się ich prymitywne huty niemal w każdej wiosce. Wyrabiają głównie motyki do uprawy roli, rzadziej zaś broń, jak groty do dzid i strzał, a to od czasu, gdy strzelba poczęła się rozpowszechniać w kraju.

Natomiast w handlu wodzą prym Adżawowie. Oni to na wzór Arabów urządzają dalekie wyprawy w głąb Afryki po kość słoniową i niewolnika. Z ościennemi plemionami stoją zawsze w stosunkach handlowych; nabywając od białych wyroby europejskie, wymieniają je na produkty krajowe, a następnie nabyte towary znowu z zyskiem odsprzedają. Są oni nieocenieni tam, gdzie dotarcie dla Europejczyka albo się nie opłaci, albo jest wprost niemożliwe.

Co do władzy, to powiedzieć można, że tu słucha każdy kogo chce, albo też nie słucha nikogo. Wprawdzie Makololowie rościli sobie prawo do zwierzchnictwa nad Mangandżami, zamieszkującymi te góry, ale nie mogąc praw tych silną poprzeć dłonią, musieli zadowolić się teoretycznem przyznaniem im tego zaszczytu przez ościenne szczepy. Kilkakrotnie próbowali przyjść z pomocą Mangandżom w walkach z Adżawami, nie wskórawszy jednak nic, musieli cofnąć się do rzeki, zostawiając Mangandżów ich losowi. To też ci ostatni, nie znalazłszy poparcia z tej strony, nie widzieli innej rady, jak pogodzić się ze swoimi sąsiadami.

Od tego czasu stosunek wspólnego pożycia tych dwóch plemion jako tako się ułożył, co jednak nie dowodzi, aby Mangandżowie sprzyjali Adżawom i naodwrót, mieszkańcy zaś nadrzeczni uważają ich zawsze za najgorszych swoich wrogów. Adżawowie też nie starali się nigdy zasłużyć u nich na miłość, bo gdy tylko sposobność się nadarzyła, łupili ich bez miłosierdzia, uprowadzając niewolnika w dalekie strony.

Jakkolwiek Adżawowie nie uznają tu żadnego zwierzchnika nad sobą, mają tę jedną dobrą stronę, że w razie niebezpieczeństwa stają pod rozkazami któregokolwiek, przez nich wybranego naczelnika, i tego już aż do ukończenia wojny słuchają. Zresztą rządzą się w gminach, gdzie im przoduje najstarszy albo najzamożniejszy.

2. TYDZIEŃ FEBRY.

W tym to kraju, setki kilometrów od brzegów oceanu, Indyjskiego, bez żadnej innej z nim komunikacji, jak najdziwaczniejszą rzeką w świecie, Zambezą, i dopływem jej, Szirą, pośród ludów, cywilizacją europejską nietkniętych, usadowili się pierwsi koloniści angielscy. Byli to misjonarze szkockiego pochodzenia, następcy Livingstona, który

im tę okolicę jako najodpowiedniejszą do kolonizacji zalecił. Wślad za nimi przybyła jedna i druga kompanja handlowa, bogaci sportsmeni oraz kilku młodych ludzi, szukających w tym nowoodkrytym kraju silniejszych wrażeń i fortuny.

Szkot jako góral, patrząc za siedliskiem, któreby mu przypominało kraj rodzinny, nie mógł lepszego zrobić wyboru. Wśród natury, trochę może ponurej, ale czysto górskiej, nad strumieniami o czystej wodzie i wpobliżu wielkich jezior, znalazł się, jak u siebie. I wnet urządził się tu po europejsku, bo gdy tylko komunikacja z morzem została uregulowana i dowóz z Anglji uprzystępniony, w pobudowanych na wzór ojczystych „cottages“ (kotedżes) zgromadził wszystko, co mu do prawdziwego komfortu potrzebne. Za tem poszedł sposób życia, możliwie zbliżony do zwykłych upodobań, i „sweet home“ (siuit houm) powstał teraz na ziemi afrykańskiej. Znikła też tęsknota za krajem, ta choroba, która każdego emigranta pożera i wszelką działalność paraliżuje, a z nią apatja, tak właściwa krajom gorącym. Poczęli pracować z energją europejską i, co zdziałali w tych niewielu latach, zdumiewać może nawet najgorszego pesymistę. A była to zaledwie garstka ludzi.

Anglja, której polityka kolonjalna nie zna przeszkód zbyt wielkich, ani nakładów nadzwyczajnych uznała ten kraj za godny zachodu. „Shire-highland“ posłużył jej za punkt wyjścia.

Stąd posunęła się początkowo nad jezioro Njassa, następnie nad Tanganikę i Bangweolo, badając obszary ziem dotąd nieznanych, zakładając nowe stacje i uprzystępniając komunikację tych oddalonych punktów z wybrzeżem. I tak otwarto w tym czasie nową drogę do Afryki podrównikowej, a to przez Zambezę i Szirę do jeziora Njassa, a stąd do Tanganiki, wyzyskując tu, o ile się dało, naturalny gościniec wodny. Szirę górną i dolną, przerwaną wodospadami Murchisona, oraz Njassę i Tanganikę, połączono drogami. Sprowadzono parowczyki, umyślnie do tutejszych

jezior i rzek zastosowane, i obecnie było ich już pięć w ruchu, po dwa na Zambezie i Njassie, a jeden na Tanganice.

Dziki ten kraj począł się teraz szybko rozwijać. Przyczyniła się do tego uprawa kawy, do której wzięto się w ostatnich latach z ogromną energją. Roślina ta, przeszczepiona tu przed dziesięciu laty przez misjonarzy, przyjęła się bardzo dobrze, a kilkuletnie próby wykazały, że wyprodukowany w tym klimacie gatunek posiadał cechy najlepszych kaw i nie ustępował wcale cejlońskiej.

Z chwilą, gdy skutkiem zarazy plantacje na Cejlonie zostały zniszczone, tutejsza kawa pojawiła się po raz pierwszy na targu londyńskim. Okoliczność ta, oraz sposób, w jaki tutejsi plantatorzy zabezpieczyli ziarno od utraty naturalnego zielonego koloru, zdobyły tej kawie miejsce między pierwszorzędnemi gatunkami i bardzo wysoką cenę. Od tego czasu zjawia się ona rok rocznie na targu światowym pod nazwę „African-plantations“ (Efriken plantejszens), ustalając sobie coraz więcej opinję i rozpowszechnienie w Europie.

Wydawszy tyle pieniędzy dla poznania tych krajów, oraz czując już pewniejszy grunt pod nogami, pomyślała teraz Anglja o ich zagarnięciu. Zrazu chodziło tylko o ogłoszenie protektoratu nad plemionami, z któremi ją łączyły bliższe stosunki, jak z Makololami i Adżawami, lecz i do tego należało znaleźć pretekst, bo Portugalczycy, chociaż noga ich tam nie postała, do krajów tych rościli sobie pretensje. Pretekst ten znalazł się wkrótce, a była nim wyprawa majora Serpa-Pinty przeciw Makololom. Nie uprzedzając jednak tych wypadków, powracam do mego opowiadania.

* * *

Jesteśmy już od kilku dni w Blantyre. Nie będę opisywał podróży naszej z Katungi do tego miejsca, bo niema w niej nic ciekawego, z wyjątkiem chyba, że szliśmy po drodze, wytrasowanej przez inżynierów angielskich, jedynej

tego rodzaju komunikacji, jaka się znajduje w całej Zambezji. Nie jest to wprawdzie droga, jaką sobie zwykle wyobrażamy, aleć zawsze lepsza od ścieżki murzyńskiej, poprowadzona przez stoki i mniejsze pochyłości, z przekopami i szkarpami tu i ówdzie. Mostów tu niema, ale że strumienie, przecinające drogę, są małe, więc ogromne kamienie, poukładane przez łożysko, pozwalają podróżnikowi przejść przez strumień suchą nogą.

Miejscowość ta leży na wysokości mniej więcej 1200 *m* n. p. m. i, aby się tam dostać, trzeba przebiec kilka stromych łańcuchów górskich. Odległość od rzeki wynosi prawie 50 *km*. Drogę tę można odbyć w jednym dniu, zwykle jednak rozkłada się taką podróż na dwa etapy z przystankiem we wsi Mbami, leżącej już wysoko w górach.

Nazwę Blantyre nosi tylko stacja misji szkockiej, którą ochrzczono tak na pamiątkę jej założyciela, misjonarza i podróżnika dra Livingstona, urodzonego w miejscowości tej nazwy. Dziś tak nazywają całą osadę, a tamtejsi czarni mieszkańcy wymawiają to słowo z całą precyzją.

Zanim się tu dostałem, trzeba było czekać w Katundze przeszło tydzień dla braku tragarzy. Nie potrzebowałem ich więcej nad czterdziestu, ale okazało się, że i o tę liczbę było trudno, gdyż mieszkańcy miejscowi nie byli skorzy do żadnej roboty. Dopiero gromadka Mangandżów, przybyła z gór dla zarobku, wybawiła mię z kłopotu, przenosząc moje manatki na miejsce przeznaczenia.

Nie posłużyła mi jednak ta podróż. Ostre powietrze górskie, czy też wogóle zmiana klimatu wywołały chorobę. Następnego dnia po przybyciu do Blantyre byłem już niezdrów, a wieczorem dostałem gorączki i musiałem się położyć. Cały tydzień przeleżałem w febrze; osłabłem bardzo i narazie nie było mowy o wyprawie. Ale w tem górskiem powietrzu rychło się do sił przychodzi. Kilka dni regularnego życia, trochę lepszej strawy i wina, oraz spora doza chininy, a co najbardziej, to dobre słowo poczciwej szkockiej

Lady (ledi), która przez męża swego misjonarza dowiadywała się o moje zdrowie, postawiło mnie znów na nogi. W końcu tygodnia byłem zupełnie zdrów, oczywiście o tyle, o ile Europejczyk w tym klimacie, zwłaszcza po silnej febrze zdrów być może.

Stary Czikunda imieniem Antonio, którego znałem z nad Zambezy, zgłosił się do mnie na służbę. Dostał tytuł kapitana i powierzyłem mu zwerbowanie ludzi do wyprawy. Stary był niedołęgą, ale że dłuższy czas między Portugalczykami się obracał i tym językiem władał, a wreszcie, że mu do pewnej granicy zaufać mogłem, był dla mnie cennym nabytkiem. Poza tem był zawsze z wielkiem uszanowaniem dla swego „muzunga“, a że sam dobrze zjeść lubił, więc czuwał, aby kuchnia pańska we wszystko obfitowała.

Po kilku dniach miałem już zapisanych około dwudziestu kilku ludzi.

Kilkanaście pakunków z towarami zamiennemi, skrzynka z moją amunicją, amunicja dla ludzi, namiot, naczynia i inne utensylja rozłożone zostały w tobołki, tak zwane „katunda“, w ten sposób, aby nie przewyższały wagą 50 funtów t. j. obliczone na najgorsze drogi w pogoni za słoniami. Dwa kosze krajowej roboty, uplecione z liści palmowych, t. zw. „ntanga“, z najpotrzebniejszemi prowiantami uzupełniały nasz przenośny magazyn.

Dziesięciu ludzi, którzy mieli mi być pomocni w polowaniu oraz mieli stanowić eskortę, uzbroiłem w wielkie karabiny kapslowe. Reszta dla własnej obrony lub wygody zabrać miała dzidy i noże. W ten sposób nasza karawana została przygotowana do drogi.

3. PRZEZ GÓRY ZNOWU DO SZIRY.

Piętnastego lipca opuściliśmy Blantyre. Dwudziestu kilku ludzi ruszyło gęsiego po dobrze utrzymanej drodze, za nimi ja, Antonio, mój służący z karabinem do zmiany i dwóch

starszych strzelców, zwanych tropicielami. Kucharz Martinio prowadził pochód.

Droga, którą kroczymy, skręca obok stacji misyjnej na północ i łączy się z gościńcem, wiodącym nad górną Szirę do miejscowości Matopi. Gościniec ten, również dzieło inżynierów angielskich, jest dalszym ciągiem odnogi z nad dolnej Sziry, łączącej tę rzekę na przestrzeni, gdzie rzeka zamknięta jest dla żeglugi kataraktami Murchisona.

Kiedyśmy przechodzili obok ogrodu misyjnego, wielu czarnych robotników zajętych było przy budowie kościoła. Wybiegli do wrót, aby się przypatrzeć karawanie białego i pożegnać znajomych.

Patrząc na ten zakątek, ma się wrażenie Europy. Domki o oszklonych drzwiach i oknach, ogrody ze ścieżkami czysto utrzymanemi, nawet niektóre nasze drzewa i warzywa. Opuszczając tę miejscowość na czas nieokreślony, mimowoli zadawałem sobie pytanie, czy ją kiedy jeszcze zobaczę? Zaraz poza stacją schodzimy wdół. Droga zniża się coraz bardziej, a przed nami otwiera się prześliczny widok na okolicę górnej Sziry i na łańcuchy gór, leżące po prawym jej brzegu.

Ciemno już było, gdyśmy stanęli na nocleg. Od południa nie mieliśmy ani razu przystanku. Obóz rozbito tuż przy drodze obok strumienia, noszącego nazwę Lunzu. Księżyc w pierwszej kwadrze wyjrzał dopiero po chwili z poza chmur i słabem światłem oświecił siedzących przy ogniach murzynów. Zajrzał i mnie w oczy i znów się schował za ciemne opony.

Bardzo cicho było w obozie. Spokój w naturze, przerywany zaledwie ćwierkaniem koników, przyczyniał się do poważnego nastroju umysłów. Prawdopodobnie każdy marzył o swoich, których zostawił w domu, i nie przerywał ogólnego milczenia, aż władca-sen poukładał jednego po drugim przy gasnących ogniskach. Ja sam tylko, nie mogąc usnąć, długo jeszcze siedziałem u wejścia do na-

miotu i rozmyślałem nad planami przyszłych polowań. Dopiero około północy zimny wiatr, wiejący od strumienia, zmusił mię do szukania przytułku pod wełnianemi kocami.

Nad ranem, gdy się obudziłem, byłem skostniały od zimna. Gęsta mgła napełniała atmosferę, a duże krople rosy pokrywały koce, odzienie i strzelby. Pokuleni murzyni siedzieli już koło ognisk, które dawały więcej dymu niż ciepła. Niektórzy na blaszanych talerzach prażyli ziarna kukuruzy.

Martinio, najważniejsza po kapitanie Antoniu figura w obozie, gotuje kawę na sposób turecki. Rozesłano matę z liści palmowych i podają śniadanie. Prócz stołu, który tu jest zastąpiony matą, wszystko jeszcze przypomina cywilizację. Naczynia z żelaza emaljowanego, puszka ze skondensowanem mlekiem, wyborne angielskie sucharki, jaja, pieprz, sól, wszystko we wzorowym porządku. Ale i nie można dziwić się temu, to dopiero pierwszy dzień wyprawy; nie tak wspaniale przedstawi się ten stół za miesiąc lub później.

Umyłem się w strumieniu i z apetytem, jaki przynosi noc, przespana pod gołem niebem, zabrałem się do śniadania.

Tymczasem Antonio wydał już rozkazy. Namiot złożono, pakunki oddano tragarzom; pakują jeszcze resztę naczyń do „ntangi“ [1]) — i ruszamy. Czarni, jeden za drugim, wymykają się na drogę, poczem znowu ja, strzelcy i Antonio zamykamy pochód.

Idziemy jeszcze ciągle po nieznacznej pochyłości wśród nędznych lasów. Trawy, dotąd niepopalone, nie pozwalają oku sięgać daleko w okolicę, więc zwierzynę dojrzeć trudno. Przy drodze zaledwie kilka śladów mniejszych antylop. Znalazłszy około południa wodę, stanęliśmy, aby się posilić i odpocząć. Miejsce to nosi nazwę „Czimwu“ od jeziora, w którem prawdopodobnie kiedyś zabito nadzwyczaj

[1]) Ntanga = kosz.

Na plantacji kawy.

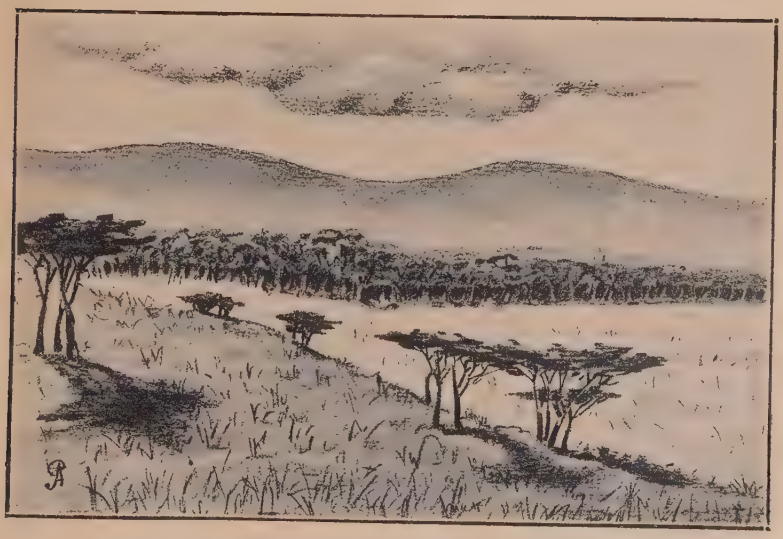

Pejzaż podgórski w kraju Angonich nad górną Szirą.

wielkiego hipopotama, „Czimwu“ bowiem oznacza: wielki hipopotam.

Okolica już więcej otwarta, lęcz prócz niezmiernych pól żółtej trawy i koron drzew gumowych, niczego dojrzeć nie można, bo nawet góry, które dotąd były na widoku, z tego miejsca nie są widzialne. Jeziorko, ukryte w trawach, jest jedynem miejscem napoju na kilka *km* w promieniu. Wszelka okoliczna zwierzyna zaspokaja tu swoje pragnienie, o czem świadczy wiele śladów po brzegach. Wyróżniają się między niemi ogromne ślady bawołów.

Trzy godziny leżeliśmy w cieniu drzew, nie mając odwagi ruszyć z miejsca dla nieznośnego gorąca. Dopiero gdy słońce chylić się poczęło, a Antonio kilka razy przypomniał, że do stacji Matopi jeszcze daleko, zdecydowałem się powstać. Na szczęście odległość, którą on nas straszył, nie była tak znaczna, bo nim się ściemniło, ujrzeliśmy wierzchołki dzikich palm, a po kwadransie byliśmy już na miejscu. Była to owa, wyżej wspomniana stacja, należąca również do towarzystwa African Lakes Co. Wioska murzyńska nosi nazwę Matopi.

Pośród ogromnych trzcin nadbrzeżnych widać dach słomiany i wysoki maszt, na którym powiewa flaga Wielkiej Brytanji. Nędzne obejście — otoczone jest płotem trzcinowym, który rozpadłszy się w kilku miejscach dozwalał ciekawym oczom oglądać szczególniejszy zbiór, wprawdzie nie starożytności, ale przedmiotów, leżących tu w zapomnieniu może jeszcze od czasów Livingstona. Wiele skrzyń rozbitych, próżne puszki z konserwów, stare naczynia, części maszyn, liny okrętowe i t. p. leżą tu obok siebie w przykładnej zgodzie. Tylko próżnych flaszek nie było pośród tej zbieraniny, co świadczyćby mogło o wstrzemięźliwości mieszkańców stacji.

Wszedłem na podwórze; tragarze moi zatrzymali się u wejścia. Jeszcze nie miałem czasu rozejrzeć się, gdzie jestem, gdy jakaś gruba ręka chwyciła moją dłoń i, trzęsąc

ją prawdziwie po wyspiarsku, witała słowami: „How are You?“ (Hau are ju?). Po chwili byłem już za stołem.

Znajomości w Afryce, szczególniej w tak odludnych stronach, robią się odrazu. Każdy czuje się szczęśliwym, gdy po długiem niewidzeniu białych znowu w ich towarzystwie się znajdzie... To też ku końcowi obiadu byłem już na najlepszej stopie z mistrem B., który gościnnością swoją starał się pobyt mój tam uprzyjemnić. Do późnej nocy rozprawialiśmy, a tematem były przeważnie anegdotki myśliwskie, wiadomości z nad Zambezy i t. p. Dopiero pierwszy kur zapędził nas do łóżek.

Zgraja moja spała na podwórzu. Tylko Antonio wymknął się do wsi, i wyszukawszy tam jakiegoś przyjaciela, czyli — jak go zwał — brata, przepędził z nim wesoło całą noc.

Jeszcze leżałem w łóżku, gdy moi ludzie już się do drogi gotowali. Postanowiłem jednak wyruszyć dopiero po śniadaniu. Raz, ponieważ miałem kupić ryżu i mąki dla ludzi, powtóre, że nie mogłem odmówić gościnnym zaproszeniom pana B., aby pozostać na śniadaniu.

Antonio — ku wielkiemu memu zdziwieniu — uporał się rychło z „marondą“, zwyczajnie bowiem targował się w nieskończoność, a gadatliwość jego była przysłowiowa. Śniadanie wkrótce dano, a posilony tak zwanem „oat-porridge“ [1]), potrawą, która nie może brakować na stole Szkota nawet w centrum Afryki, dałem znak do pochodu.

Idąc w kierunku północno-zachodnim, mamy Szirę po lewej ręce. Długie pasmo gór biegnie równolegle z rzeką, ale w pewnej od niej odległości — zakończone szczytem Zomba, którego wysokość obliczają na 2.100 *m* n. p. m. Z drugiej strony rzeki szarzeją lasy, a za niemi niebieskie linje gór, które już oglądaliśmy z pewnej wysokości w drodze do Matopi. Stepy przybrzeżne mają być wedle opowiadania bardzo bogate w zwierzynę wszelkiego rodzaju,

[1]) Oat-porridge (ot porydż) = lemieszka owsiana.

Antylopa „Mpojo“ (samica) *(Cervicapra arundinum).*

Droga wpobliżu Blantyre.

a nawet, jak twierdzą moi strzelcy, mają tu także słonie swoje stałe przechody.

Radzili mi, abym u podnóża gór rozbił obóz i najpierw na tych stokach słoni szukał, a dopiero, gdyby się to ukazało bezskutecznem, bym próbował szczęścia w kraju Angonich. Rada ta jednak nie przemawiała do mego przekonania, bo chociaż w lasku, którędy szliśmy, widziałem tropów mniejszej zwierzyny mnóstwo, jednak tropów słoni zaledwie kilka i to z pory deszczowej.

Ponieważ słońce było jeszcze wysoko i do najbliższej wsi mieliśmy nie więcej, jak dwie godziny drogi, a przytem nie można było myśleć o przeprawieniu się dziś przez rzekę, postanowiłem tu zapolować. Za laskiem otwiera się znowu wielka równina, na której skraju ma leżeć wieś Ngwaza, do której dążymy. Ze wzniesienia obejmowaliśmy wzrokiem całą tę przestrzeń, a rozglądając się dokoła, wypatrzyliśmy wnet stadko antylop „niakozwe".

Doskonały teren pozwolił podkraść się do nich na odległość stu kroków.

Antylopy te, zwykle dość ciężkie i niepodejrzliwe, wydały mi się w tej chwili jakoby zaalarmowane. Poczęły strzyc uszami, parskać i tupać nogami, co chwila się oglądając. Do starego kozła, który był najbliżej mnie, zwróciłem lufę karabinu, lecz nim miałem czas pociągnąć za cyngiel, całe stado, nagle w bok się rzuciwszy, w szybkim pędzie przedefilowało koło mnie. Zgorączkowany tym obrotem rzeczy spudłowałem najhaniebniej. „Niakozwe" wnet zniknęły w wysokich trawach.

Idąc w trop za niemi, wypłoszyłem jeszcze kilka innych tego samego gatunku antylop, oraz ślicznego „mpojo"[1]), do którego strzelałem dwa razy, również bez skutku.

Czarni, siedząc na pobliskim wzgórku, ze smutnemi minami przypatrywali się strzeleckim moim popisom. Pokazywali mi woddali jeszcze kilka głów antylop i zeber, ale

[1]) Mpojo — Cervicapra arundinum.

już nie miałem ochoty iść za niemi, obawiając się, aby i dalszy rezultat nie wypadł gorzej od poprzedniego.

Całe to zajście odbiło się tylko na moich rękach i nogach, które pokaleczyłem radykalnie o ostre trawiska trzciny, które tu tworzyły prawie nieprzebitą plecionkę, przez którą zaledwie siłą przebić się było można. Strudzony, co się zowie, dotarłem dopiero pod wieczór do wsi.

Wieś Ngwaza jest dobrze skryta w gęstwinie lasu, na jakie 900 metrów od Sziry. Otoczona jest żywopłotem z akacji kolczastej, której Anglicy dali nazwę „wait a bit“ (uejt e byt = czekaj troszkę) i dostać się można do jej wnętrza tylko przez wejście od strony rzeki, które w razie niebezpieczeństwa bywa zabarykadowane. Powietrze tu duszne. Ledwie kawałek nieba widny z pomiędzy koron olbrzymich drzew, rosnących w środku wsi i wkoło. Chat niewiele, lecz i te, które noszą to miano, prezentują się nędznie. Ich mieszkańcy tak samo. Widać, że lenistwo to główna ich cnota.

W nocy budziłem się kilkakrotnie. Kilka lwów dawało wpobliżu koncert nielada. Cisza nocy oraz echo lasu potęgowały jeszcze bardziej tę serenadę, która trwała do rana.

Koncert taki opisać trudno, ale ten, kto go raz słyszał zbliska, nie zapomni go już nigdy. Zapisuje się on na nerwach.

Z brzaskiem dnia ucichły lwy, ustępując miejsca mniejszym, lecz przyjemniejszym śpiewakom. Setki ptasząt z gatunku tkaczy świegotało między liśćmi palm „borassus“, w głębi lasu wabiły wilgi donośnym głosem. Rybitwy aż gdzieś z pod obłoków zasyłały nam swe pozdrowienie, zwiastując piękną pogodę.

4. W POSZUKIWANIU „NIAMY“.

Chłodno i wilgotno nam się zrobiło, gdyśmy ruszyli ze wsi. Należało przedzierać się przez gęste zarośla, a te były pełne rosy, ścieżka zaś, która tamtędy wiodła, była nader

wąska, prawdziwie murzyńska. I litość brała patrzeć na tych półnagich murzynów, których ciała drżały od zimna. Czuły to małpy, siedzące wysoko na drzewach i wygrzewające się do słońca, gdyż spoglądały na nas z politowaniem, niby sobie zadając pytanie: czego ci ludzie szukają po tych obrzydłych mokrych gęstwinach? Im tam na górze było sucho!

Na brzegu rzeki harmider, jak w dzień jarmarku. Właściciele „galawy“ [1]) targują się o cenę za przewóz, Antonio zaś chce oszczędzać i tłumaczy Mangandżom, że żądają za wiele. Wreszcie po długich „palawrach“ przekonują się, iż kapitan jest niewzruszony i przyjmują po „czirundo“ [2]) z dodatkiem czerwonych „czitalaka“ dla wioślarzy. I rozpoczęła się przeprawa.

Niebezpieczne to było przedsięwzięcie. Silny wiatr dął od wschodu, a łódka, prawdziwa łupina z drzewa, kołysała się w tak nerwowych ruchach na fali, iż zwątpiłem, czy nasze „ulendo“ cało na drugą stronę się przedostanie. Do tego snuło się po rzece mnóstwo hipopotamów, a trudno przypuścić, by tutejsze bestje były więcej cywilizowane niż na Zambezie. Należało również zapomnieć o krokodylach, bo myśl ta mogłaby sprowadzić zawrót głowy, a o kąpiel wtedy nietrudno. Najcenniejszy pakunek, t. j. karabin na słonie, przywiązaliśmy do łodzi. W ten sposób zaasekurowaliśmy się niejako przed stratą, gdyż nawet w razie wywrócenia się łodzi, możnaby go wyłowić. Dla pasażerów natomiast nie zostało nic innego, jak tylko poddać się losowi i czekać, co nastąpi.

Na szczęście, obeszło się bez wypadku; po długich korowodach wylądowaliśmy „na sucho“ na brzegu przeciwnym.

Jesteśmy już teraz na terytorjum Angonich, w kraju Ngoni. Tutejsi Kafrowie, zamieszkujący brzegi, są jeszcze ci sami Mangandżowie, ale już nie pod władzą Makololów,

[1]) Galawa = czółno (w języku mangandża).

[2]) Czirundo = dwa jardy (jard = 3 stopy = 90 *cm*).

lecz Angonich. Szczep ten przywędrował z południa i, zająwszy ten kraj, wprowadził swoje prawa i zwyczaje. Są oni pochodzenia zuluskiego.

Maszerując wzdłuż brzegów Sziry w kierunku północnym, trzymamy się ścieżki, widocznie niewiele uczęszczanej. Co chwila wyrywają się z pod nóg stada pantarek, a okoliczność ta gniewa mię niezmiernie, gdyż, gdybym miał strzelbę śrutową, mógłbym je strzelać tuzinami.

W jednem miejscu, gdzie Szira zakreśla wielki łuk i tworzy rodzaj basenu, widzimy znowu wodę. Dotąd były brzegi tak zarosłe trzcinami, że dostęp do niej zdawał się być niemożliwy.

Tu woda głęboka i czysta jak kryształ. Sprawia to widocznie wielką uciechę hipopotamom, gdyż harcują po powierzchni, a dobry ich humor poznać po donośnym basowym ryku, który się rozlega po okolicy.

Po naszej i po przeciwnej stronie kępy bananów wskazują, że wsie są już niedaleko. Na wschodzie widać doskonale szczyt Zomby, jej skaliste urwiska i przepaście. Chociaż odległość w linji powietrznej wynosi 28 *km*, zdaje się, że mamy górę tuż przed nami. Okoliczność ta da się wyjaśnić nadzwyczajną czystością tutejszej atmosfery, co już niejednokrotnie zostało stwierdzone przez podróżników i myśliwych.

Gdyśmy się zbliżali do wsi, ludzie moi dostrzegli na horyzoncie stado sępów, krążących nad jednym punktem. Jedni twierdzili, że tam leży zabity bawół, drudzy, że słoń, i rozpoczęli z tego powodu sprzeczkę. Byłoby niechybnie przyszło do bójki między dwoma zapaleńcami, gdybym był wczas nie wkroczył i do porządku ich nie przyprowadził.

Wieś tutejszą reprezentują trzy, czy cztery nędzne chaty. Przedstawiciele męscy, których tu na wstępie widzimy, równie nędzni, jak ich domostwa, wyciągnięci na matach, oddają się słodkiemu „dolce fare niente“ (słodkie „nierób-stwo“). Kilka kobiet z dziećmi, uwiązanemi na plecach,

klęcząc nad kamieniami, które im służą za młynek, skrobią mąkę. Za naszem zjawieniem się, umykają do chat, zostawiając mężom przyjęcie białego gościa.

Manjok, sorgo i słodkie kartofle uprawiają tu poddostatkiem, a trzcina cukrowa buja na brzegach do kolosalnych rozmiarów. Za kilka sznurów, grubej „czitalaki“ [1]), których widok wywabił kobiety z ukrycia, kupiłem dostateczną ilość tych delikatesów dla siebie i swoich ludzi.

Podczas tego Antonio rozłożył „ulendo“. Siedzenie moje urządził w cieniu bananów i, kazawszy kucharzowi gotować obiad, przyszedł oznajmić, że tu będziemy nocowali. Nie miałem nic przeciw temu, bo i sam byłem zmęczony, i ludzie niebardzo chętni do dalszego marszu. Zresztą była to ostatnia wieś między rzeką a Utali, wody zaś nigdzie po drodze. Kazałem zatem rozdać racje ludziom i sam zabrałem się do drzemki.

W godzinę obiad był gotów; kukuruziana lemieszka, tak zwana „nsima“, smakowała wybornie, chociaż wyznaję, że zapach jej nie był wcale zachęcający. Mazarczycy, a szczególnie stary Antonio, twierdzili, że „nsima“ ta dobra jest dla Mangandżów, którzy nigdy w życiu nie jedli nic lepszego, i wzdychali za „mapirą“, ryżem i „kisawi“. Zapewniałem ich, że na „kisawi“ im zbywać nie będzie, ale najpierw musimy upolować słonia, bo przecież po to przybyliśmy tutaj, po drodze zaś zwierzyny niewiele, i ta bardzo płochliwa.

— A czyż tu braknie „niamy“? [2]) — rzecze Martinio, patrząc zpodełba — trzeba tylko przed wieczorem pójść do lasu.

— „Nswala“ to doskonałe mięso — mówił drugi — nie mówić już o „mpojo“ lub „niati“.

— U nas, nad rzeką, to przynajmniej człowiek ma rybę, a tu u Mangandżów to nic, tylko „czimanga“ i „czimanga“ [3])

[1]) Czitalaka = paciorki czerwone z białem oczkiem.
[2]) Niama = mięso, zwierzyna.
[3]) Czimanga = kukuruza.

aż do obrzydzenia, i jeśli nasz „muzungu“ czego nie upoluje, to przyjdzie nam umrzeć z głodu...

Tak dowodził Domingo, z przyciskiem wymawiając każde słowo, aby i mnie coś się z tego dostało.

Przysłuchiwałem się tym uwagom, udając, że ich nie słyszę, w duszy jednak byłem zły na moich Mazarczyków, że już teraz skarżyć się zaczynają; co to dopiero będzie po miesiącu prawdziwego głodu i niewygód!

Tak spędziłem całe popołudnie; pod wieczór ruszyłem do lasu.

Z powodu posuchy, która tu widocznie wcześniej, niż nad dolną Zambezą się rozpoczęła, trawy były już zupełnie wypalone.

Pożar, idąc poprzez rzadko rozstawione drzewa i krzewy, zaledwie je osmalił, ogołocił natomiast z liści, tak, że obecnie cały las świecił konarami sczerniałych pni i gałęzi. Na zeschniętej, prawie nagiej ziemi, którą wichry omiotły, widnieją nie setki, ale tysiące tropów zwierzyny, przeważnie zaś „nswali“, jednej z najpospolitszych a zarazem najzgrabniejszych antylop środkowej Afryki.

Mimo to w ciągu godzinnej przechadzki nic mi się pod strzał nie nawinęło. Dopiero kiedy przechodziłem przez wyschnięte łożysko strumienia, kilka sztuk „nswali“ przemknęło wśród krzaków.

Długie, wyciągnięte formy ich ciał znikły mi wkrótce z oczu, ale gdy schylony patrzyłem ostrożnie za śladami, silne parsknięcie zwróciło moją uwagę w inną stronę.

Zwrócony ku mnie głowami, rudel zeber obserwował moje ruchy. Kontury ich ciał ledwie były widoczne poza gmatwaniną gałęzi i gałązek, tak, iż strzelać z tej pozycji nie mogłem.

Należało się przeto schylić, aby strzelić popod gałęzie. A więc z wszelką ostrożnością starałem się przyklęknąć. Ale zebry w jednej chwili ruszyły z kopyta. Nie poszły jednak daleko. Na najbliższej polance przystanęły, jakby

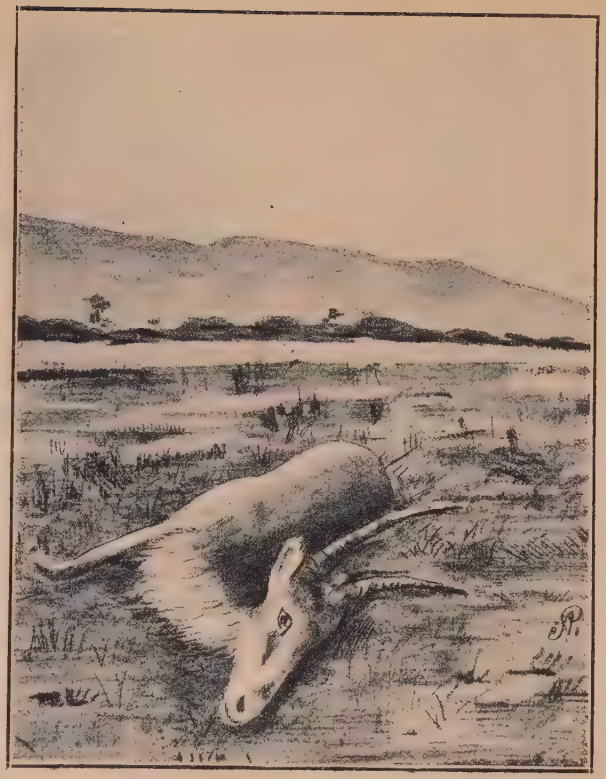

Antylopa „Niakozwe“ *(Cobus elipsiprimnus).*

Zebra.

mi chciały w ten sposób dać sposobność do strzału. I ta chwila wystarczała, aby zmierzyć dokładnie i wypalić do najbliższej sztuki.

Po strzale dym zasłonił widok i, gdy odskoczyłem trochę na bok, zobaczyłem, że zebry umykają w najlepsze. Nie spuszczałem ich już z oka, starając się pod osłoną krzaków podejść je jak najbliżej. Gdym je znowu dostał na strzał i już złożyć się chciałem, spostrzegłem tuż pod krzakiem leżącą sztukę, przeze mnie ustrzeloną. Była już nieżywa.

Ponieważ użyłem dziś po raz pierwszy kul wybuchowych, kazałem zaraz ludziom ją obielić i rozćwiartować, aby się przekonać jakie spustoszenia ta kula w ciele zwierza zrobiła. Strzał nie był bardzo trafny, gdyż pocisk uderzył za daleko wtył, między płuca i żołądek, ale że wewnątrz pękł, a strzępy jej rozdarły płuco i jakieś ośrodki nerwowe, zwierz uszedł zaledwie kilkadziesiąt kroków od miejsca strzału. Postanowiłem od tego czasu używać ładunków z pociskami wybuchowemi (dum-dum).

Dawszy zlecenie jednemu z ludzi, aby pilnował łupu, wysłałem drugiego po pomoc do obozu, sam zaś powoli posuwałem się brzegiem lasu w nadziei, że jeszcze coś upoluję.

Tymczasem słońce schowało się już za góry. Długie cienie rzucały drzewa, co wskazywało, że noc się zbliża. Zaniechałem więc dalszych poszukiwań, zawracając na ścieżkę, która, jak mi się zdawało, prowadziła do rzeki.

Nie uszedłem jednak daleko, gdy już całkiem się ściemniło.

Ścieżka zatarła się wkrótce i chwilowo byłem w obawie, że ją zagubię. I byłoby się tak stało niezawodnie, gdyby nie księżyc, który, jakoby litując się nade mną, wypłynął na niebo i oświecił okolicę.

Późno w noc wrócili ludzie z mięsem. Idąc z lasu śpiewali głośno, jak to zwykle czynią dla dodania sobie odwagi, a obcy, któryby to słyszał, miałby wrażenie, że ludzie

ci wracają z wesela, a nie z polowania. W obozie radość wielka, bo doczekali się upragnionego „kisawi“.

Rankiem ubiłem jeszcze jedną „nswalę“, a więc mięsa mnóstwo. Ludzie krają je w długie pasy i umocowują na wierzchu swoich tobołków. Cały plac ma wygląd rzeźni. Tylne ćwiartki antylopy zaasekurowałem dla siebie, oddając je pod opiekę Antonia, ten zaś przywiązał je do lufy karabinu i powiesił przez plecy. Był to dobry znak; mogłem już być pewny, iż inni do tego mięsa się nie dobiorą, gdyż umiał pilnować tego, na czem mu również zależało.

Wyruszyliśmy w drogę dopiero w czasie najgorszej spieki i tylko z powodu mięsa, którego nie umiano zabrać, zostawić zaś część żal było. Prowadziłem dziś sam karawanę, gdyż strzelec Namondi, który zwykle chadzał na przodzie, tak był objuczony mięsiwem, że pozostał daleko wtyle; do Utali doszliśmy dopiero pod wieczór. Zamierzając w tem miejscu pozostać czas dłuższy, musieliśmy przedewszystkiem wynaleźć odpowiednie miejsce wpobliżu wody, aby tam założyć wygodne obozowisko czyli „msasę“.

Utali, to duża wieś, jakkolwiek na pierwszy rzut oka tego się nie spostrzega, gdyż chaty rozrzucone są na wielkiej przestrzeni wśród lasu. Dobrze uprawione pola, położone są przeważnie wzdłuż brzegów strumienia Riwi-Riwi, w którym podczas posuchy letniej wody prawie niema.

Dość szerokie jego łożysko świeci teraz żółtym piaskiem i tylko tu i tam widać zagłębienia, w których mieszkańcy zbierają wodę.

Po brzegach rosną olbrzymie trzciny, tworząc płot nie do przebycia, i gdyby nie noga słonia i bawoła, które tędy drogi swe wydeptały, dostanie się do środka bez pomocy siekiery byłoby bardzo trudne.

Gdzie niegdzie w ogrodach widzisz dziwnego rodzaju budowle, a mianowicie, minjaturowe domki słomiane, wysoko na palach umieszczone. Są to strażnice dla ludzi, pilnujących ogrodów.

Ostrożność ta jest konieczna, inaczej stada bawołów, które tu zachodzą nocą, zniszczyłyby plon do szczętu.

We wsi cisza, jakgdyby wszystko spało. Zaledwie czasem przemknie jakiś dzieciak z chaty do chaty, lub kobieta, wracająca z wodą od strumienia. Mężczyzn całkiem nie widać.

Zatrzymałem się przede wsią, bo nieobecność Angonich wydała mi się podejrzaną. Wieś murzyńska nie zostaje nigdy bez opieki silniejszej połowy, chyba podczas wojny, a wtedy dzieci i kobiety bywają ulokowane w miejscu bezpiecznem. Wysłałem tedy kucharza na zwiady.

Powrócił wkrótce z miną wesołą i oświadczył, że ludność męska poszła na zarobek do plantacji w Zomba i nie powróci, aż z nowym księżycem.

Kobiety i dzieci, które zrazu pochowały się po chatach i w trawy, poczęły teraz wyłazić z ukrycia. Widok białego już ich nie przestraszał; dowiedzieli się od Martinia, że to jest „ingleze“[1]) i przychodzi na łowy. Pokazała się też „maronda“, a plac, któryśmy tymczasem zajęli pod drzewem, zamienił się w jednej chwili w targowisko.

Kobiety starsze z dziećmi na plecach, dziewczęta, któreby u nas nosiły miano „na wydaniu“, oraz liczna drużyna wyrostków płci obojga, okoliła nas czarnym pasem. „Maronda“ pchała się nawet do namiotu, a właściciele jej przypatrywali mi się zbliska, robiąc sobie uwagi całkiem nie pocichu.

Prawie wszystkie dziewczęta i kobiety miały na sobie skórki z małych zwierząt. Rzadko widać było fartuszki z łyka drzewnego, a tylko dwie lub trzy posiadały spódniczki europejskiego wyrobu. Nic więc dziwnego, że z pewną zazdrością spoglądały na moich chłopaków, których zdobiły kolorowe chustki w kwiaty i zwierzęta. Najbardziej musiał im imponować sam Antonio, gdyż był odziany w wełnianą koszulę i filcowy kapelusz, na którym, niby welon, powiewał kawał czerwonego perkalu.

[1]) Anglik.

5. OBÓZ NAD RIWI-RIWI.

Nazajutrz przenosimy naszą „msasę“ (obóz) na inne miejsce, nad samo Riwi-Riwi, na odległość kilka kilometrów od Utali. Ocieniony wysokiemi drzewami brzeg nadał się doskonale do założenia obozu. Trzcin dokoła nie było, a woda sączyła się łożyskiem; nie trzeba jej było zatem zbierać w doły, ani też szukać w zagłębieniach pod skałami. Śladów mniejszej zwierzyny mnóstwo, a nawet jeden dość świeży ślad stopy słoniowej, nadto bawoły, których tu w okolicy jest bardzo wiele, w to miejsce, zdaje się, przychodzą w nocy.

Jeszcze słońce nie doszło do zenitu, a byliśmy już urządzeni na naszem nowem śmietnisku. Plac dokoła oczyszczono z traw, tu i tam obarykadowano gałęziami, ustawiono w środku namiot, oraz małą chatkę na bagaże. Martinio znalazł też doskonałą dla swej kuchni kryjówkę pomiędzy korzeniami jakiegoś bawełnika-staruszka — i wkrótce podał obiad, jakiego dawno już nie jadłem. Potrawka z „nswali“, zaprawiona pomidorami i tutejszą papryką, zwaną „piri-piri“, była doskonała, jak również harbuzy, które, jak podejrzewałem, skradziono z ogrodów w Utali.

O ryżu też wspomnieć się godzi, gdyż udał się znakomicie, a nie jest rzeczą łatwą ugotować tę strawę, jak należy. W specjalności tej są tylko kucharze indyjscy mistrzami.

Od dziś obowiązują nowe prawa obozowe. Kafrzy, którzy już w wyprawach łowieckich brali udział, znają je dobrze, niezawsze jednak chcą się do nich stosować. Należało im przeto przepisy te przypomnieć, co wykonał Antonio z wielkiem namaszczeniem.

I tak, nie wolno było żadnemu z ludzi samowolnie wydalać się z obozu, w razie zaś koniecznej potrzeby mieli wychodzić we dwóch lub trzech i w uzbrojeniu.

Nie wolno nikomu bez specjalnego zezwolenia iść do

do wsi, dla kupna zapasów żywności wybierać miał ludzi „muzungu“. Posłańcom takim musiała towarzyszyć także eskorta uzbrojona.

Ani w dzień, ani w nocy nie wolno było śpiewać w obozie, rozmowy zaś mogły być prowadzone tylko półgłosem.

Broń, przeznaczona dla eskorty, musiała być czysto utrzymana i nabita, a zapasowe ładunki przechowane w ładownicach obok strzelb zdala od ognisk.

Wewnątrz obozu winna być utrzymana czystość, a przedewszystkiem wszystkie odpadki mięsa miały być wynoszone daleko od obozu, aby nie zarażały powietrza i nie zwabiały drapieżców.

W razie niezastosowania się do tych przepisów miały następować kary, a więc dla starszych potrącenia z zapłaty, dla młodszych kara cielesna.

Nad wykonaniem tych przepisów miał czuwać kapitan karawany.

Po południu strzelcy moi poszli na zwiady; ja pozostałem w obozie, gotując nogi na dzień jutrzejszy.

Wieczorem odbierałem raporty. Namondi opowiadał o bawołach, które widział nad jeziorem, Kaniole o stadach „nswali“, inny o zebrach i dzikach, a Antonio, smakosz, o pantarkach, które — jak twierdził — same się proszą, aby je strzelać. Zdaniem jego jest to najlepsza zwierzyna, nawet smaczniejsza od koziny, którą w jego kraju uważają za szczyt doskonałości.

Tylko o słoniach nic się dowiedzieć nie mogłem, i to mnie całkiem nie pocieszało. Mimo zapewnień obu strzelców i Antonia, że je z pewnością znajdziemy, gdy tylko o dobrych przewodników się postaram, nie miałem wielkiej nadziei, że tak się stanie. Należało w każdym razie wyczekiwać, bo spodziewani przewodnicy Angoni, mieli przyjść dopiero następnego dnia.

Nazajutrz ku memu zdziwieniu, dwaj przewodnicy Angoni zjawili się w obozie jeszcze przed wschodem słońca.

Mogło być około godziny 6-tej. Ranek był mglisty i chłodny. Zanim wszystko do drogi przygotowano, t. j. zanim Namondi rozdał broń młodszym strzelcom, zanim poodmierzał ładunki, zanim zjedli naprędce zgotowaną lemieszkę, upłynęło dwie godziny. Potem rzuciwszy nieco mąki „Muzimowi“ [1]) dla zażegnania możliwych czarów, ruszyliśmy brzegiem z biegiem Riwi-Riwi.

Po drugiej stronie palą się trawy. Ognia wprawdzie nie widać, ale strzępy spalonych liści i traw padają nam na głowę i twarze, a zapach dymu napełnia powietrze. Słońce bardzo podobne do księżyca, spogląda na ziemię żółtem okiem, rzekłbyś — przez szkła okopcone. W całej atmosferze rozpływa się jakaś świetlistość niepewnego koloru, nieprzyjemna dla oka i przygniatająca.

Droga, którą wybrali Angoni, była fatalna. Zrazu szliśmy wzdłuż strumienia, lub jego łożyskiem, o ile to było możliwe — po godzinie jednak marszu opuściliśmy tę dróżkę i, kierując się ku północy, weszliśmy w gęste krzaki. Tu doprawdy brała rozpacz. Traw wprawdzie nie było, bo krzaki zanadto były ściśnięte, ale też i dla nas niewiele pozostawało miejsca, aby się przez nie przecisnąć. Zginaliśmy się we dwoje i w takiej pozycji przesuwaliśmy się popod dzierżącemi się w objęciach kolczastemi zaroślami. Od czasu do czasu i to okazywało się niewykonalnem, musieliśmy albo raczkować, albo sunąć na brzuchach.

Jak długo trwał ten pochód, oznaczyć trudno, ale gdym się wyprostował, wylazłszy z zarośli na wolne miejsce, miałem wrażenie, jakgdyby mi ktoś pałką stos pacierzowy przetrącił.

Miejsce, na którem znaleźliśmy się obecnie, było ogromną doliną. Zamknięta dokoła lasami, świeciła powierzchnia małego jeziora, nad którem rosły lasy trzcin i papyrusów, Przestrzeń między trzcinami a lasem była zupełnie wydeptana, a tropów nie setki, ale całe tysiące widniało na

[1]) „Muzimu“ = duch opiekuńczy.

miękkim gruncie. Miejsce to wyglądało jak zagroda, z której niedawno wypuszczono bydło. Niestety, narazie nie dostrzegliśmy żadnego zwierza.

Angoni, zmęczeni, czy też gwoli zażycia tabaki, zatrzymali się na skraju zarośli, i usiadłszy w kuczki, wydobywać jęli z tykwowych tabakierek ukryty tam specjał. Nacieranie nosa zabrało sporo czasu, bo aby zażyć tabakę wedle recepty miejscowej, należało tabakę dokładnie w nos wetrzeć, robili zaś to z takiem namaszczeniem, jakgdyby losy naszej wyprawy od wypełnienia tego aktu zależały. Potem podnieśli się z godnością i oświadczyli, że możemy iść dalej.

Kiedyśmy ruszyli z miejsca, wiatr zawiał z poza pleców, i przekonał nas, iż obraliśmy fałszywy kierunek. Gdyby jaka zwierzyna była w trzcinach, mogła nas łacno zwietrzyć — i umknęłaby, zanimbyśmy się na odległość strzału zbliżyli. I tak się stało.

Podczas gdy jeden ze strzelców, sypiąc piasek z dłoni, sprawdzał kierunek wiatru, z łoskotem wypadła z trzcin gromadka bawołów i przegalopowała w nieładzie przed nami w odległości kilkuset kroków. Tuż za nią pomknęły jeszcze dwa dziki, zwane „ndżiri“, gatunek, który tu po raz pierwszy obserwowałem.

Do bawołów strzelać nie mogłem z powodu odległości, zostawiłem więc je w spokoju, chociaż wyznam, że mię do tego wielka chętka brała. Trzeba było oprzeć się pokusie, i zachować spokojnie, zwłaszcza że się wybrałem na słonie. Powędrowaliśmy dalej w cichości, obchodząc jezioro wielkiem półkolem z zamiarem dostania się na przeciwną stronę.

Około południa byliśmy już na drugim brzegu. W tym czasie odnaleźliśmy pojedyńczy trop słonia, który nam mówił, że gruboskórzec ten zaspokajał tu swe pragnienie. W braku świeższych tropów poszliśmy za tym śladem.

Zaprowadził on nas daleko. Najpierw w bagno, potem

w trzciny, następnie w las, gdzie znowu dostaliśmy się w kolczaste gąszcza i musieliśmy raczkować, jak za dobrych czasów naszego dzieciństwa. Ale wkońcu odkryliśmy ślad świeższy.

Z pięciu sztuk złożona gromadka słoni przecięła dotychczasową naszą drogę. Tropy były tak widoczne, że i ja, chociaż nowicjusz, uznać musiałem, iż zwierz przeszedł tędy niedawno. To odkrycie dodało mi nowej otuchy. Dotąd wlokłem się zamyślony, niewiele zwracając uwagi na to, co było koło nas, teraz najmniejszy szczegół, bardzo mię zajmował. Po tak namacalnych dowodach, jak niedojedzone gałązki, świeżo odarta kora, której łyko jeszcze nie ściemniało, lub wyrwane z korzonkami drzewka i dymiący gnój, nabrałem przekonania, że słonie muszą być gdzieś wpobliżu. Teraz cała moja uwaga skupiła się w oku i w uchu, a chłopak, niosący „gruby kaliber“, dostał rozkaz postępować za mną krok w krok.

Nie szliśmy już, ale prawie biegliśmy, ile sił starczyło. Porwany nadzieją rychłego ujrzenia słoni, dla których tak daleko się wlokłem, zapomniałem zupełnie o zmęczeniu i głodzie. Nawet duszne powietrze z powodu spieki i dymów wydało mi się teraz znośniejsze. I kłusowałem szybko za Namondim, prawie mu następując na pięty.

Tak goniliśmy godzinę jedną, drugą, — słoni nie widać.

Znaleźliśmy się wreszcie nad jakiemś bagienkiem. Tu grunt miękki zachował dokładnie odciski naszych zbiegów w kształcie ogromnych dziur, głębokich na stopę lub dwie. Gdym się im przypatrywał i zastanawiał, jak te ciężkie zwierzęta w tak grząskim gruncie swobodnie poruszać się mogły, Namondi robił mi mały wykład o tropieniu. Pokazywał mi, jak można odróżnić ślady samców od śladów krów, oraz oznaczyć kierunek ich pochodu na terenie nieporosłym. Naturalnie, że narazie z tego wszystkiego niewiele zrozumiałem, i utkwiły mi w pamięci tylko ogromne formy odcisków, mniejszych i większych.

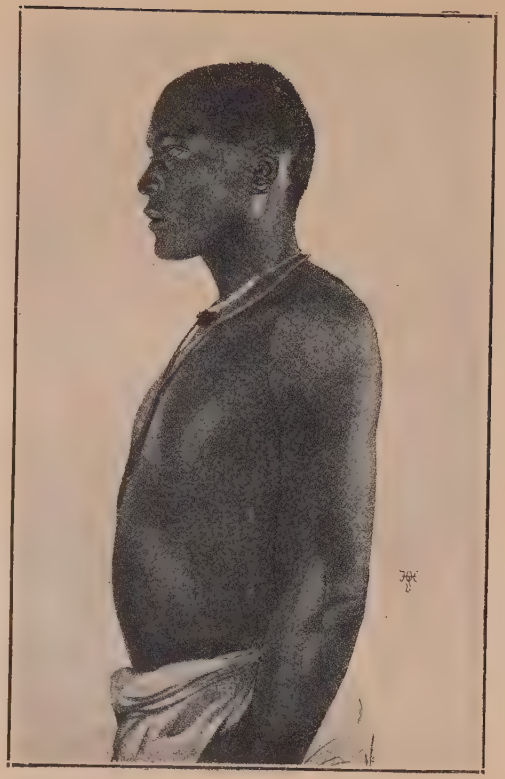

Angończyk.

Typ Mangandży.

Jeszcze godzinę wlokłem się po tropie; nareszcie sił zabrakło i postanowiłem wracać. Głód począł także dokuczać, słońce zaś chyliło się ku zachodowi. Zostawiwszy więc strzelca i kilku chłopaków, aby dalej prowadzili robotę, wziąłem się do odwrotu.

Dopiero późną nocą stanęliśmy w „msasie“, i to dzięki Angonim, którzy chyba węszyli kierunek, gdyż oczami posługiwać się w tej gęstwinie nie mogli. Całą drogę najedliśmy się strachu niemało, gdyż błądząc wśród gąszczy mogliśmy łatwo zetknąć się z lwami, spotkanie zaś takie przy lichem oświetleniu księżycowem nie byłoby bardzo bezpieczne.

Skutkiem zmęczenia miałem niepokojące sny. Całą noc polowałem to na słonie, to na lwy, a sytuacje, w których się znajdowałem, nie były pozazdroszczenia godne.

I dziwne, że gdy wśród tych majaczeń się obudziłem, usłyszałem najwyraźniej ryk lwa, zamierający wpośród ciszy nocnej. Wybity ze snu, długo jeszcze usnąć nie mogłem, aż zimno, zapowiadające ranek, uśpiło mię powtórnie.

Nastał spokojny, jasny dzień. Mgła wcześnie opadła i dymy z wczorajszych ognisk się rozeszły. Powietrze zdawało się być więcej przezroczyste, niż zwyczajnie. Cisza panowała dokoła, gdyż wiatr zamarł gdzieś wśród puszczy, a drzewa stały nieruchome, niby skamieniałe. Ani śpiewu ptasząt, ani gruchania turkawek, ani szczekania rybitew — głucho, jakgdyby śmierć położyła rękę na całej okolicy. Czasami tylko dochodziło stłumione hukanie sępa-indora, ale było tak dalekie i niewyraźne, że wydać się mogło wkońcu złudzeniem.

Ranek spędziłem w obozie oczekując powrotu ludzi, których wczoraj zostawiłem na tropie słoni. Minęło południe — nie wrócili...

Po obiedzie wybrałem się w las za mniejszą zwierzyną, a rezultatem były trzy sztuki „nswali“[1]), które do obozu

[1]) Nswala = Aepiceros melampus.

przyniosłem. Przy tej sposobności przekonałem się, że mój półekspress „Martini Henry“, lubo do polowania zastosowany, strzela za wysoko tak, że pierwsze trzy strzały, na dość bliską odległość poszły w krzaki. Dopiero po długiem uganianiu się za stadkiem, dopadłem je na otwartej polance, a strzelając na sto pięćdziesiąt lub sto ośmdziesiąt kroków do trzech kozłów, ubiłem wszystkie trzy pojedyńczemi strzałami.

Pod wieczór mięso było już w obozie, a Mangandżowie zabrali się z całą werwą do krajania i jedzenia. Wszystkie części środkowe gotowano na zupę, mięso lepsze pieczono na patykach, części zaś boczne pocięto w długie pasy i suszono nad ogniem. Ja preparowałem rogi, które, nawiasem mówiąc, są prześliczne. Skórkami miał się zająć Antonio, ale dopiero nazajutrz, bo do tego trzeba było słońca, a dzisiejsze — już na zachodzie. Tymczasem wisiały sobie spokojnie na gałęziach, wabiąc do obozu miljony much, którym trzeba się było bezustannie opędzać.

6. SZUKANIE SŁONI.

Nadeszła noc i obóz zajaśniał światłem licznych ognisk. Gromadka moja znów obsiadła garnki, i rozpoczęła się na chwilę rozmowa namiętna i krzykliwa. Nawet Antonio dał się wciągnąć do niej, i z dumą opowiadał młodszym adeptom sztuki myśliwskiej o swoich triumfach łowieckich. Między innemi opowiadał o wypadku z życia niejakiego p. Rhodesa, dawnego swego chlebodawcy, z którym przed laty kilku polował na słonie w kraju Makololów.

Opowiadanie to zaintrygowało mię, więc słuchałem uważnie, a spodziewając się, że i innych zajmie, powtarzam je tutaj, o ile spamiętałem. Rzecz tak się miała:

Razu pewnego, gdy polowali na słonie nad dolną Szirą, właśnie na owych wyżej wzmiankowanych „Elephant-Marches“, p. Rhodes postrzelił ogromnego samca. Słoń ten, który już samą wielkością swoją przewyższał wszystkie do-

tąd widziane egzemplarze, posiadał kły, jakich Antonio nigdy przedtem nie widział, i jakich nigdy więcej w życiu oglądać nie miał. Zdaniem jego, kły te grubością swoją przewyższały grubość zwykłego człowieka, sięgały aż do ziemi, i były czarne od starości. Słoń ten po strzale umknął do lasu i tam zniknął z oczu, prawdopodobnie tyle sobie robiąc z kulki p. Rhodesa, co z ukąszenia muchy. Nie mieli też nadziei, że go jeszcze obaczą. Wpadłszy w las, zatrzymał się jednak w gęstwinie, oczekując przeciwników. Ci wkrótce się tam zjawili.

Rhodes, który się ogromnie zapalił do tego słonia, gonił jak opętany; Antonio był tuż za nim. Ledwie się znaleźli w krzakach i nanic niebaczni jęli szukać śladów, wypadło z gąszczy słonisko, z trąbą naprzód wyciągniętą, z uszami nastawionemi i ogonem podniesionym. Prawdopodobnie już ich był dawno zwietrzył, gdyż wprost na nich uderzył. Rhodes, który był bliżej słonia, stracił głowę. Zamiast strzelić, rzucił karabin i zaczął uciekać. Potknął się jednak na korzeniu i jak długi runął na ziemię. Słoń zgłupiał. Miał już prawie chwycić zbiega, gdy mu ten raptownie zniknął z przed trąby. Zatrzymał się w biegu; pozycja teraz wytworzyła się taka: pan Rhodes leży plackiem przed słoniem, przednie stopy słonia prawie go dotykają, kły zaczepiają o wełniany kaftan, trąba zaś, która porusza się w nerwowych ruchach ponad głową, zdaje się go szukać.

Rhodes nie dawał znaku życia. Czy umarł? Antonio tego w tej chwili nie wiedział. Siedząc w pewnej odległości za drzewem, drżał o swoje życie i nie przychodziło mu do głowy strzelać.

Tak minęła minuta, dwie, trzy, słoń ciągle stoi. Ale stanie i słoniowi sprzykrzyć się może. Począł więc tupać nogami i kwiczeć jak prosię. Następnie, zerwawszy kilka krzaczków z pobliża, rzucił pod nogi, tupnął raz jeszcze, i myśląc prawdopodobnie, że już zgniótł napastnika, zabrał się do odwrotu. Wkrótce znikł w gęstwinie.

Teraz dopiero odetchnął Antonio. Żal mu się zrobiło „muzunga“, bo przecież nie był to najgorszy z białych, i robił sobie wyrzuty, że nie odpędził słonia strzałem. Ale „jak chcecie“ — tłumaczył się przed gromadą — „do „muzima“ przecież strzelać nie mogłem. Pana zaś swego nie spodziewałem się ujrzeć żywym“.

Na szczęście, słoń nie nadepnął Rhodesa. Znalazł go Antonio tylko omdlałym, pod warstwą liści i gałęzi, pod któremi słoń go pogrzebał.

Całe to zajście miało tylko tę niefortunną stronę, że u karabinu pękła kolba i p. Rhodes nie mógł dalej polować, z czego Antonio był nader kontent, gdyż powrócili zaraz do obozu, a nazajutrz do wsi.

Wielokrotnem: aaa! zakończyli słuchacze to ciekawe opowiadanie, poczem każdy klasnął raz lub dwa razy w dłonie, dziękując tym sposobem opowiadającemu.

Życie w obozie ma wiele powabu i, gdyby był towarzysz, z którymby można się dzielić odebranemi wrażeniami, czas schodziłby bardzo przyjemnie. Niestety, dobry towarzysz w polu, to ptak bardzo rzadki. Trudno znaleźć człowieka, któryby niewygody, przeciwności i niebezpieczeństwa zawsze z równym znosił umysłem, jeszcze trudniej o takiego, któryby lubił polowanie w każdej formie. Wszelkie gderania i krytyki prowadzą do sporów, następuje rozdwojenie, a życie pod jednym namiotem staje się niemożliwem. Prawdziwy przeto myśliwy poluje sam ze swoimi murzynami.

Kilka dni nic nie notowałem w dzienniku, gdyż owładnęła mną jakaś dziwna apatja; nie byłem zdolny do żadnej innej pracy, jak tylko do łażenia za słoniami, które już także w głębi serca przeklinałem. Każdego poranku jeszcze przed wschodem słońca mnie budzono, a Martinio wsuwając głowę do namiotu i ciągnąc za koniec koca, recytował:

— Muzungu namukani, kufi umala![1]).

---

[1]) Biały, wstawaj, kawa gotowa!

Napoły zmarzły, napoły zmęczony, wyłaziłem z pod ciepłych koców i uskuteczniałem operację ubierania się i mycia w atmosferze niezbyt ogrzanej. Wprawdzie ognie były na podorędziu, ale nie było czasu na wygrzanie się, bo świt się robił, i trzeba było ruszać w drogę. Śniadanie było przygotowane, a strzelcy i przewodnicy czekali na mnie.

W czasie tego kilkudniowego uganiania się po tropach słoni nabrałem ogromnego respektu dla tych stworzeń. Trudno było nie zauważyć ich przezorności, cechującej wielką inteligencję, oraz sposobu życia, który mówił dokładnie, że stoją wyżej od innych zwierząt. Należało tylko czas dłuższy iść jedną z tych dróg, które one wydeptują, aby się przekonać, jak zdolni są z nich inżynierzy. Drogi takie — to prawdziwe gościńce, szersze od zwykłej ścieżki murzyńskiej, zupełnie z trawy wydeptane, a prowadzące przez najlepsze przesmyki i najodpowiedniejsze brody serpentyną pod górę, a na górach najrówniejszemi grzbietami.

Słoń, który tylko w człowieku ma nieprzyjaciela, (lwy bowiem rzadko go zaczepiają, nosorożec zaś niewiele ma szans zwycięstwa), jego się obawia i z nim się tylko liczy. Od czasu, gdy broń palna rozeszła się po całej Afryce i dała czarnym możność łatwiejszego zabijania grubszej zwierzyny, spokój dla słonia minął bezpowrotnie. Dawniej, jak mi starsi czarni opowiadali, słoń kładł się do spoczynku, jak każde inne zwierzę, jak nosorożec lub hipopotam. Odkąd go jednak zaczęli prześladować dla zysku, nie śpi inaczej, jak tylko w postawie stojącej, co najwyżej, oparty czołem o pień drzewa lub skałę. Ale i podczas najgłębszej drzemki czuwa ciągle; trąba jego jest zawsze na straży. Najlżejszy powiew wiatru chwytany bywa w te ruchome nozdrza, zazwyczaj ponad głową spoczywające, i obecność człowieka odczuwa na ogromną odległość. Po stwierdzeniu niebezpieczeństwa, już nie zostaje na miejscu. Jeśli był w stadzie, w jednej chwili całe towarzystwo jest zaalarmowane i wynosi się

co prędzej. Umieją też maszerować doskonale, czego doświadczyłem na własnych nogach.

Polowanie na słonia, od czasu, gdy go tak prześladują, nie należy do zadań zbyt łatwych. Spotkanie się na oko jest tylko dziełem przypadku. Zazwyczaj trzeba go tropić, łazić za nim dniami, przebywać okolice i zaułki, któremi się on przekrada, dopóki się go na strzał nie dostanie. Spłoszony nie wybiera drogi, nie szuka gościńców wygodnych, ale przeciwnie wymyka się do najniedostępniejszych miejsc, przez wąwozy, stoki gór, zarośla i bagna. Tym sposobem stara się odstraszyć swego przeciwnika, lub go tak zmęczyć, że ten wreszcie, upadając na siłach, zaprzestaje gonitwy.

Ale i w zwykłych warunkach podróżuje ciągle. Zmieniając miejsce pobytu, czy to dla fantazji, czy to gwoli wyszukania odpowiedniejszych pastwisk i delikatnych owoców albo poidła, przebiega ogromne obszary kraju.

Ponieważ zmysł powonienia jest u niego nader rozwinięty, i umie nim, jak zauważyłem, doskonale się posługiwać, dotarcie doń jest tylko możliwe przy bardzo sprzyjającym wietrze. Wtedy, jeśli teren na to pozwoli, a odwagi ci nie braknie, podsuniesz się pod niego na kilkanaście kroków, a nawet bliżej, bo wzrok ma mieć tępy i widzi tylko przed sobą. Tak mówią murzyni; ja jednakowoż nie ufałbym wiele temu kolosowi, bo słyszałem o wypadkach, gdzie, lubo nie zaczepiony, atakował zbliżających się ludzi na znaczną odległość.

Aby tropić słonia z dobrym skutkiem, należy mieć długoletnią wprawę. Rozpoznawanie jego tropów nie jest rzeczą łatwą. Racice antylop i bawołów, kopyta zebry, palce nosorożca i hipopotama uwydatniają się znacznie lepiej na twardym gruncie, aniżeli stopa słonia, która będąc nieco wypukła, tylko samym środkiem dotyka ziemi. Nadto słoń stąpa delikatnie i na twardym a niezarosłym gruncie prawie żadnych znaków po sobie nie zostawia.

Inna rzecz w trawach. Tutaj udeptuje ścieżkę, gniotąc ją kolosalnemi swojemi stopami, ta zaś kładzie się w kierunku, w którym dąży. Ścieżka taka jest już zdaleka widoczna i służy często za gościniec tutejszym mieszkańcom. Jedna tylko zachodzi trudność; oznaczyć porę, kiedy słoń tę ścieżkę wydeptał, gdyż trawa w porze zimowej jest prawie sucha, a ułamana lub zgnieciona nie traci więcej barwy i nie różni się od dokoła stojącej.

Z trawą świeżą, jest rzecz łatwiejsza, zwłaszcza gdy wśród niej rosną małe krzaki i drzewka. Te pokazują na swych złamaniach, jak długo schły, i w ten sposób pozwalają oznaczyć porę, kiedy zostały naruszone. Naturalnie, że w każdym wypadku trzeba się liczyć z ciepłotą dnia lub dni poprzednich, oraz z naturą gruntu; oczywista bowiem, że na moczarach roślina złamana dłużej zatrzyma wilgoć, niż na piaskach lub skałach.

Czarni myśliwi mają do tego zmysł prawdziwie zwierzęcy. Z całą dokładnością oznaczają porę, w której słoń przechodził; „dżana“ — przedwczoraj, „dżulu“ — wczoraj, „lero“ — dziś i „sapanu“ — dopiero co. W śladach z dnia dzisiejszego umieją też rozróżnić, czy był rano czy później, a wskazując ręką na „dzua“ — słońce, oznaczają wedle jego nachylenia godzinę przejścia zwierza.

Ślad słonia na miękkim gruncie przedstawia się jako dziura okrągła (stopa nogi przedniej), lub owalna (stopa nogi tylnej), o średnicy 25 do 35 *cm*. Widziałem jednakowoż ślady, które po zmierzeniu wykazywały 45 *cm*. Musiały to być egzemplarze bardzo stare, a więc bardzo rzadkie.

Z wielkości śladu można sądzić o wielkości słonia, z tego zaś o wielkości kłów, jakie nosi. Według zapewnień niektórych myśliwych obwód stopy przedniej potrójnie wzięty daje wysokość w łopatce. Jest to bardzo prawdopodobne, bo przyjąwszy np. obwód śladu, średniej wielkości słonia o 90 *cm*, otrzymalibyśmy wysokość w łopatce 2 *m* 70 *cm*,

co jest zwykłą miarą młodych samców lub krów. Wyrośnięty samiec mierzy do $3^1/_2$, a nawet więcej metrów.

Słonie afrykańskie, tak samiec, jak i samica, uzbrojone są kłami, różnią się zatem od swych współbraci z Indyj, gdzie tylko przedstawiciele męscy tę broń noszą. Para kłów starego samca dochodzi od 50 do 100, a nawet 150 *kg* wagi, zaś krów, czyli samic, ledwie 13 do 18 *kg*. W r. 1886, oglądałem w Kilimane parę zębów, ważących 116 *kg*. Pojedyńczy kieł mierzył przeszło 2 *m* długości, a u nasady był gruby jak udo tęgiego mężczyzny...

Tego samego wieczora, kiedy ognie poczęły przygasać, a pomęczeni ludzie po większej części już spali, zawołałem Antonia na konferencję. Chodziło mi o porozumienie się z nim, jaką drogę na przyszłość obrać należy, aby zetknąć się ze słoniami. Tu nie mieliśmy co dłużej szukać. Brak wody i dzikich owoców były niechybnie powodem, że gruboskórcy okolic tych unikały; te zaś, które się tędy czasami przemknęły, były tylko rozbitkami z trzód, gdzieindziej strzelanych.

Antonio radził, aby dzień lub dwa jeszcze tu pozostać, następnie wypocząwszy, iść w kierunku Zomby, gdzie na stokach tych gór, lub wpobliżu jeziora Szirwy słonie znajdować się powinny.

Wywody tego rodzaju nie były przekonywujące, ale jako nowicjusz w takich wyprawach i pierwszy raz tu polujący, na wszystko zgodzić się musiałem. Pozostać nad Riwi-Riwi nie miało celu, o czem przekonałem się, łażąc za tropami już dni kilka. Należało próbować szczęścia w innych stronach. Postanowiłem zatem dzień jeszcze przeczekać — i dzień ten poświęcić na wypoczynek.

W obozie niby święto. Ludzie oddają się słodkiemu „dolce far niente“ — i nic nie robią. Tylko ja nie mam spokoju. Dręczy mnie myśl, że już tyle dni zmarnowałem, tyle innej zwierzyny mimo siebie puściłem tylko dla tych wymarzonych słoni, a jednak ich nie widziałem. Tłumaczył

mi wprawdzie Antonio, że się to zmieni, skoro opuścimy te okolice, był bowiem pewny, że niepowodzenie nasze spowodowane było czarami jakiegoś zazdrosnego strzelca. Po przybyciu do Blantyre miał się postarać o odpowiednią „medycynę“ [1]), która niezawodnie ten szkodliwy wpływ usunąć powinna.

Musiałem udawać, że wierzę jego zapewnieniom, w rzeczywistości jednak nie byłem bardzo wesół. Mały atak febry odebrał mi humor i apetyt; czułem się osłabionym fizycznie i moralnie.

Taki stan umysłu nie pozwalał na bezczynność. Chociaż dzień dzisiejszy na wypoczynek przeznaczyłem, chociaż pocięte trawami nogi upominały się o wytchnienie, nie mogłem wysiedzieć w obozie. Kiedy usłyszałem wołanie pantarek nad strumieniem, chwyciłem za karabin i wybiegłem za niemi.

Do „msasy“ (obozu) powróciłem bardzo późno. Pantarek wprawdzie nie dostałem, zabiłem natomiast dwie „nswale“, przy których, odpędzając sępy, zabawiłem do zachodu słońca...

7. „BUNT“ TRAGARZY.

Stoimy gotowi do drogi. Namiot związano i kosze popakowane. Reszta pakunków jeszcze wczoraj była przygotowana; czekamy tylko na tragarzy, którzy rozdzielają mięso pomiędzy siebie.

Miejsce, gdzie było nasze obozowisko, smutnie się teraz przedstawia. Ogniska wygasły, stalugi służące do suszenia mięsa, rozleciały się, a domek, który krył bagaże, umyślnie zburzono. Miejsca legowisk świecą teraz łysinami. Koło obozu śmiecie, suche gałęzie, napół ogryzione kości, kawały skór i ohydne czaszki zabitych wczoraj antylop. Robi to wszystko wrażenie cmentarzyska, a potęguje je jeszcze

[1]) „Medycyna“ (z portug.) = talizman.

obecność sępów, tych grabarzy afrykańskich, które obsiadły gromadnie sąsiednie drzewa i czekają, aż się wyniesiemy.

Ruszamy ku Szirze. Drogą naszą jest łożysko Riwi-Riwi, kręte, o miałkim piasku i czasem tak ściśnięte rosnącemi po brzegach trzcinami, że powietrze tu zdaje się być zagrzane. Wody jakby nie było, bo ta, co się gdzie niegdzie w zagłębieniach przechowała, cuchnie i nie można jej pić bez obawy febry. To też, zanim dotarliśmy do rzeki, co trwało dobrych pięć godzin, byłem tak zmęczony, iż ledwie wlokłem nogi za sobą.

Przez cały ciąg naszego marszu niewiele widzieliśmy zwierzyny. Kilka sztuk „nswali“, zeber i pantarek przesunęło się koło nas. Śladów słoni ani na pokaz. Czułem się więc zadowolony, że opuszczamy tę okolicę, gdzie moje uganianie się za temi zwierzętami było daremne.

Stanęliśmy nad Szirą około drugiej popołudniu. Przeprawa zabrała dużo czasu, gdyż musieliśmy rokować z Mangandżami, mieszkającymi po przeciwnej stronie, którzy dopiero po godzinie zdecydowali się przyjechać po nas jakąś nędzną „galawą“ [1]).

Deszcz począł rosić w tym czasie, a następnie lunął na dobre i zmoczył nas należycie. Nie szkodziło to wiele murzynom, którzy oprócz swej skóry nie mieli nic do zmoczenia, ale ja, w wełnianej koszuli, nasiąkniętej wodą, drżałem z zimna. Wyobrazić więc sobie można, jak byłem szczęśliwy, gdy się już znalazłem po przeciwnej stronie i mogłem się ogrzać przy ogniu oraz zdjąć zmoczone odzienie. Wkrótce potem byłem już w łóżku w namiocie, który mi ustawiono w środku wsi.

Ludzie spali na polu, a chociaż deszcz padał całą noc, mieli się znakomicie. Nad ranem ulewa ustała, ale niebo miało wygląd bardzo ponury. Gęste mgły unosiły się nisko nad ziemią i kłębiły się po rzece lub wzdłuż jej brzegów.

---

[1]) Galawa = almandja = łódź z jednego pnia drzewa.

Czasem zdawało się nam, iż unosimy się gdzieś między chmurami, bo stóp naszych prawie nie było widać.

Stan ten jednakowoż nie trwał długo. Zerwał się silny wiatr i podmuchem ze wschodu porozścielał te mokre płachty po lasach i stokach gór, gdzie się trzymały jeszcze do południa.

We wsi zabawiłem dłużej, niż należało. Miałem kupić żywność dla ludzi, tutejsi zaś mieszkańcy nie byli skorzy do pertraktacyj handlowych. Dopiero Antonio potrafił ich roznamiętnić do „marondy“, pokazując z naszych zapasów coraz to piękniejsze koraliki, aż kupił dostateczną ilość mąki i ryżu na dwa dni. Pokazało się jednakowoż później że przepłacił wszystko, a to skutkiem pojawienia się miejscowych kobiet, które wmięszały się do handlu. Antonio miał zawsze dla płci pięknej serce z masła...

Marsz dzisiejszy był bardzo uciążliwy. Z początku szliśmy po równi przez mokre trawiska, ale zawsze jaką taką ścieżką. Potem ścieżkę zgubiono i trzeba się było przedzierać naprzełaj przez zarośla i krzaki. Ubranie moje przemokło do nitki, febra wygrywała marsza na zębach. Musiałem wkrótce stanąć, bo byłbym upadł na ziemię, tak mi kolana dygotały z zimna. Widziałem, że i czarni się pomęczyli i tylko widząc mnie idącego wlekli się za mną.

W południe wyjrzało słońce. Powitałem je z całego serca.

Zastało nas ono wypoczywających nad brzegiem jakiegoś strumyka, gdzie gotowaliśmy obiad, korzystając z wody. Mieliśmy tym sposobem zaopatrzyć się w nowe siły. Niestety, obiad nie odpowiedział swemu zadaniu, gdyż mięso popsuło się skutkiem gorąca i wilgoci, samej zaś lemieszki przez gardło przecisnąć nie mogłem. Byłem zatem zmuszony poprzestać na filiżance herbaty i kilku ziarnach prażonej kukuruzy, takie zaś jadło niebardzo może dodać sił do forsownych marszów.

Wkrótce znów byliśmy w drodze.

Lasy, któremi idziemy, są dość nędzne skutkiem corocznego palenia traw. Tylko tu i ówdzie dostrzega się jakiś pokaźniejszy okaz baobabu lub bawełnika. Czasem uwięzi oko dziwna forma kaktusów lub euforlji, ale uciekasz od nich natychmiast, wiedząc, że sąsiedztwo tych kolczastych roślin jest niebezpieczne dla delikatnej skóry ludzkiej, gdyż ukłucia ich igieł powodują silny ból i opuchnięcia. Z niewiększą otuchą gonisz w gęstwiny, zarastające wąwozy lub brzegi strumienia, a zwane „kalango“, nie mając chęci wystawić się na ataki moskitów, które zamieszkują te ciemne miejsca. A wreszcie te „kalangi“ są często nie do przebycia. Owinięte ljanami i roślinnością pnącą, podszyte kolczastemi krzakami, zabarykadowane wielkiemi pniami zwalonych drzew i połamanych konarów, przedstawiają ścianę prawie jednolitą. W środku panuje ciemność; promienie słońca tam nie dochodzą. Wilgoć i wyziewy zgnilizny czuć dokoła. Niema tu ani ptaków, ani małp, ani innych zwierząt — cicho i smutno. Tylko słoń i nosorożec lubi te schroniska, dokąd umyka przed palącem słońcem i — gorszem od tego — okiem myśliwego.

Im dalej w góry, tem gorzej. Trawy wprawdzie już nie tak gęste i kolące, jak nad brzegiem, ale tak samo hamują nogi swemi silnemi łodygami i zniewalają do mimowolnych ukłonów. Co kilka kroków musisz się zatrzymać, aby odplątać chwast jakiś, który się przyczepił do nóg, co chwila uderzasz o pnie spalonych krzaków, a takie karambole nie dodają dobrego humoru. Nadto trawa, na końcach opalona, dybie na oczy, a trudno, maszerując wśród puszczy, trzymać je spuszczone ku ziemi.

Zwierzyny spotykamy bardzo mało. Tych kilka mniejszych antylop, które mi się na drodze ukazały, nie dostałem do strzału. Zato śladów słoni mnóstwo, ale wszystkie z pory deszczowej, ze stycznia lub lutego, t. j. z pory, gdy tu dojrzewają „mfula“ (rodzaj jabłka, ulubiony przysmak słoni) i „masuku“ (również owoc dziki o kilku ziarnkach

ze słodkiem mięsem, które pokrywa owe ziarnka), a owoce ich leżą kupami po ziemi. Nabieram przekonania, że i w te strony naprożno się włokłem — słonie widocznie powędrowały do innych okolic.

Nocujemy w jednym z takich „kalangów“. Nastrój w obozie melancholijny.

Dzień następny smutno się zaczął, gdyż od łajania ludzi. Jeszcze nie miałem czasu się ubrać, kiedy ukazała się przed namiotem deputacja, złożona z Antonia, strzelca Namondi i dwóch, czy trzech chłopaków z oświadczeniem, że są zmęczeni i radziliby już do Blantyre powrócić. Jeden z nich nawet dał mi do zrozumienia, że niegłupi są tak łazić bez celu, i jeśli nie wrócę zaraz, to sami beze mnie wrócą.

Nowina taka, szczególnie uwaga ostatnia, wyprowadziła mię z równowagi.

Zawrzało we mnie. Gdybym się był nie powstrzymał, mowca zarobiłby dobrego szturchańca. Udałem jednak, że pojmuję ich żądania, że jest całkiem naturalne i że skoro są zmęczeni, trzeba wracać. Oświadczyłem więc, że nazajutrz wybierzemy się zpowrotem.

Ale tajony we mnie gniew znalazł wkrótce ujście. Ofiarą stał się Dominga, mój mały lokaj, który po tem zajściu pierwszy pod rękę się nawinął. Podejrzewałem go, że on tę myśl innym poddał, gdyż nigdy się z tem nie krył, że życia obozowego nie lubi, i gdy tylko wróci do Mazaro, porzuci u mnie służbę.

Drugim był Antonio, który przyszedł uniewinniać Domingę.

Ten wprawdzie nie dostał po karku ze względu na swój podeszły wiek, ale usłyszał kazanie, które może gorsze było, niż obicie kijem. Po chwili cały obóz wiedział, że Muzungu zły, i to zły naprawdę.

Ze smutnemi minami rozpoczęliśmy pochód; ja naprzód, reszta za mną. Nawet stary strzelec, którego zawsze wyróżnić się starałem, nie śmiał pokazać się na oczy i cią-

gnął ztyłu zachmurzony i milczący. Zdawałoby się, że to idzie pochód pogrzebowy.

Nie znając drogi, skierowałem się ku zachodowi, pewny, że, idąc w tym kierunku, niedługo dostaniemy się do rzeki. Maszerując przez zarosłe parowy, przedzierając się przez krzaki bambusowe i trawiska, pokaleczyłem mocno twarz, ręce i nogi. Rana koło kostki była najboleśniejsza i musiałem ją obandażować; ale zaledwie dowlekliśmy się do wsi, noga spuchła i musiałem stanąć.

Jesteśmy więc znowu nad Szirą. Leżę w hamaku i używam wypoczynku. Po nocy rana dolega jeszcze, ale nie tak bardzo, jak dnia wczorajszego. Próbowałem nawet chodzić, ale nie idzie sporo, wątpię zatem, czy będziemy mogli stąd jutro wyruszyć. Tymczasem opatruję puchlinę odwarem z dzikiej malwy, które to lekarstwo zalecił mi nadworny lekarz — Antonio.

Wieś tutejsza to zaledwie kilka chat, ale chat dziwnej roboty. Nie są to owe ule słomiane lub bambusowe mieszkańców dolnej Sziry, ani też lepianki, jakie się widzi po górach, ale prawdziwe kosze, wyplecione z trzciny, ze słomianą nakrywką w formie dachu. Wewnątrz wprawdzie są ściany wylepione, ale tego nie widać z pola, zatem wrażenie kosza pozostaje. Każdy domek ma swój płotek, w półkole go otaczający, a to od strony, skąd przeważnie wiatr wieje. Podobne, tylko o wiele mniejsze, kosze stoją dokoła i służą za magazyny na zboże.

Tutejsi mieszkańcy niewiele sieją zboża, zapewne z obawy przed Angonimi, którzy, ciągnąc przez okolicę, kradną, co pod rękę wpadnie. Ale bieda im nie dokucza, nie wyglądają ani mizerniej, ani nędzniej od reszty ludu nadrzecznego. Już sama przyroda postarała się, aby im głodno nie było, dając im rzekę, pełną ryb, a okolicę nader bogatą w zwierzynę rozmaitego rodzaju.

Rzeka, na którą mam widok z hamaku, roi się od hipopotamów, a krokodyle wygrzewają się na słońcu. Widocz-

nie klimat służy im doskonale, gdyż powyrastały do kolosalnych rozmiarów, co już i Antonio skonstatował, i radził mi spróbować na nich mego Martini-Henry'ego.

Nocą wybrało się kilku ludzi na zasadzkę. Przy słabem świetle księżyca wytropili jakiegoś spóźnionego hipopotama w nadbrzeżnych trzcinach i powitali straszną kanonadą. Ale hipopotam jakoś długo nie chciał się poddać, gdyż strzelano doń prawie godzinę, budząc ze snu całą wieś. Pośród ciszy nocnej huk karabinów rozchodził się zdwojonem echem po okolicy, a my, cośmy bliżej spali, mieliśmy wrażenie nocnej potyczki.

Nad ranem zaczęto znosić mięso; były tego całe stosy. Składano je na kupki, rozbierano i sortowano. „Mfumo“ wioski dostał w podarunku całą tylną nogę, a ta okazała danina wywołała liczne kwestje między jego dostojnemi małżonkami. Było też krzyków coniemiara. Do hałasów kobiecych przyłączył się także pisk dzieciaków, które, nie mogąc doczekać się podziału, rwały staremu mięso z pod ręki.

Twarze moich ludzi rozjaśniły się. Widok znacznej ilości mięsiwa podziałał zbawiennie na humory, cieszyli się jak dzieciaki, skakali i klaskali w dłonie. Zdawałoby się, że mięso hipopotama jest specjałem nielada, lub że jedzą je po raz pierwszy w życiu. Ale w tem tkwiła inna przyczyna. Serdeczne to ich zadowolenie przypisać należało temu, iż tego zwierza sami ubili, że sami go mogli spożyć, nie zdając rachunku „muzungowi“, który czasami lubił gderać, lub wydzielał za małe racje. Prócz tego byli pewni, iż znaczniejszą część jego ze sobą do Blantyre zabiorą, a łup taki w oczach ich żon miałby wartość nieoszacowaną. O wczorajszem zajściu zapomniano zupełnie; teraźniejszość uśmiechała się im w całej pełni.

Aby jednak transportować mięso podczas spieki, należało je pierwej wysuszyć. Mięso świeże, zwłaszcza mięso hipopotama, psuje się nader szybko, a chociaż czarny za-

paszkiem dziczyzny się nie brzydzi, woli mięso mieć w stanie suchym. Zresztą mięso świeże waży więcej, zatem nie zdołanoby unieść tyle, co mięsa suszonego. Okoliczność ta sprzyjała moim planom; postanowiłem ją wykorzystać.

Skoro więc przyszli do mnie z prośbą, bym pozwolił im jeszcze dzień tu pozostać gwoli wysuszenia mięsa, odpowiedziałem, iż chętnie na to się zgodzę, ale pod warunkiem, jeżeli mi nadal zechcą służyć i pozostaną tak długo ze mną, jak długo tego będę żądał.

Nie spodziewając się takiej alternatywy, nie wiedzieli, co powiedzieć. Patrzyli osłupiali jeden na drugiego, trącali się łokciami. Ale kupki mięsa, które szczęśliwym trafem tuż obok leżały, podziałały na ich postanowienie. Przyrzekli mi, iż do końca księżyca ze mną pozostaną i na wypadek, gdybym miał iść nad Lisungwe, będą mi towarzyszyć.

Tak zapewniłem sobie ich pomoc jeszcze na dwa tygodnie i postanowiłem poświęcić je na zwiedzenie okolic, nad rzeczką Lisungwe leżących. Przez jutro zostajemy we wsi.

Strumień, o którym wspomniałem, wpada do Sziry z prawej strony. Wypływa w kraju Angonich z łańcucha gór, zwanych przez Anglików „Kirk-range“, przepływa okolice prawie niezamieszkałe, a że nie wysycha w ciągu roku, jak inne tej wielkości strumienie, mam nadzieję, że tam nareszcie ze słoniami się zobaczę.

8. I ZNOWU BEZSKUTECZNE POSZUKIWANIA.

Piszę to już we wsi Injamuli, położonej nad owym strumieniem, dokąd przybyliśmy przed dwoma dniami. Nazwa wioski pochodzi od imienia obecnego „mfuma“ i prawdopodobnie zniknie z jego śmiercią, jak wszystkie tego rodzaju nazwy tamtejszych miejscowości, a przyszły podróżnik, gdyby się chciał kierować temi wskazówkami, znalazłby się w niemałym kłopocie.

Po zawojowaniu tutejszego kraju przez Angonich, dostał się Injamula pod ich panowanie. Sprawuje on dotychczas urząd przełożonego wsi lub wójta, ale pod dozorem dwóch dodanych mu „indunów“, czyli starszych ze szczepu zuluskiego. Dostojników tych łatwo odróżnić od reszty Mangandżów. Noszą szczególniejszego rodzaju fryzurę w kształcie grubego krążka, który okala głowę i wpleciony jest we włosy.

Wieś niewielka, rozrzucona na zrębach lasu. Otaczają ją zewsząd ogrody, zniżające się aż nad brzeg strumienia, a cierniste płoty bronią przystępu bawołom i innym nieproszonym gościom, któreby pragnęły nakarmić się plonem rąk ludzkich. Zdziwiły mię tylko tu i tam otworem pozostawione wejścia; dowiedziałem się później, że w przejściach tych są doły, do których wpada zwierzyna, chcąc się dostać do ogrodów. Doły te, misternie u góry nakryte, podobne są do dołów na hipopotamy, może troszkę mniejsze, i zwane tu „buna“.

Już dwa dni siedzę we wsi, a ludzie moi na tyle jeszcze nie wypoczęli, aby móc wyruszyć w góry. Stary Injamula, dostawszy podarunek, składający się z ośmiu metrów perkalu i czerwonego szala, jest bardzo dobrze dla nas uspobiony i obiecał dać dwóch ludzi za przewodników.

Nie mając nic do roboty, wziąłem się wkońcu do przeglądania dziennika, którego już od dni kilku nie miałem w ręku. Ostatnią datą był pierwszy sierpnia; od tego czasu nawet dni nie zanotowałem. Zachodziła obawa, że zgubiłem rachubę dat; ale przy pomocy Antonia, który robił znaczki na swej kolbie, wyliczyliśmy, że dziś czwartek, a zatem 7 sierpnia czyli trzy tygodnie od opuszczenia Blantyre. Lukę tę postanowiłem wypełnić.

* * *

Po opuszczeniu zatem wioski (nazwy nie pamiętam), gdzie suszyliśmy naszego nieboszczyka hipopotama, przeprawi-

liśmy się ponownie za prawy brzeg Sziry. Celem naszym było zbadanie gór, szarzejących na zachodzie, skąd wypływa Lisungwe, a które stanowią dział wód między Zambezą a Szirą.

Chciałem tam wprost maszerować, ale przekonany przez Namondiego o trudnościach, jakiebyśmy mieli, włócząc się z całą bandą i pakunkami po tych wysokościach, postanowiłem założyć obóz u stóp góry, że zaś jedyną miejscowością w tych stronach była wieś Injamuli, podążyliśmy do niej.

Droga z początku prowadziła brzegiem Sziry. Lasy i doliny, doliny i lasy, to ciągłe nasze widoki. Drzewostan bardzo lichy, przeważnie gatunki drzew twardych, których nazwy kaferskie wypadły mi z pamięci. Kraj płaski, bezbarwny i ponury. Trawy już wszędzie popalone, a białe popioły leżą jeszcze tu i ówdzie po gałęziach i w szczelinach gruntu lub pomiędzy niedopalonemi źdźbłami trzcin.

Tragarze i strzelcy, objuczeni mięsem, które nie wyschło dobrze, zatrzymywali się co chwila dla wypoczynku. Zmuszała do tego i atmosfera gorąca i parna. Wlekliśmy się powoli długim sznurem, który to się rozrywał, to wiązał — stosownie do terenu, jakim nam iść wypadało.

Przedpołudniem, żegnając już po raz ostatni Szirę, aby się zapuścić w krzaki, usłyszeliśmy dziwny jakiś szmer. Był to jakoby daleki turkot koła młyńskiego, lub uderzenia śruby parowca. Czarni przystanęli nad brzegiem, aby się przekonać, skąd ten szmer pochodzi. Zaciekawiony i ja uczyniłem to samo; niestety, do żadnego wniosku przyjść nie mogliśmy. Młynów w tym kraju jeszcze nie było, a parowiec, który pływał po tutejszych wodach, był podówczas na jeziorze Njassa.

Szum ten, jak się to później od Kaniolego Mangandży dowiedziałem, pochodził od wodospadów Murchisona. Ale narazie nikomu do głowy nie przyszło, by głos tak daleko mógł wędrować, gdyż wodospad oddalony był od

tego miejsca o blisko 10 *km*. I napróżno łamaliśmy sobie głowy, gdyż Kaniole, który na nasze rozmaite uwagi tylko się uśmiechał, nie objaśnił nikogo, lecz wytrzymał nas w takiej niepewności aż do wieczora.

Dobrze przed zachodem słońca zatrzymaliśmy się na skraju lasu, skąd roztaczał się rozległy widok na wypalony step. Byliśmy znowu wpobliżu Sziry. Z jednej strony zieleniła się obszerna kotlina, widocznie mokra, która, zachowawszy swoją zieloną szatę, wyglądała jak oaza na szarem tle otaczającego ją gruntu; z drugiej strony sterczał mały pagórek, ocieniony kilku drzewami, i ten panował nad całą okolicą. Tam postanowiłem rozłożyć się na nocleg.

Na dolinie pełno zwierza. Czarne, szare i czerwone postacie zaobserwowałem już zdaleka, a zbliżywszy się do tego miejsca na kilkaset kroków, rozpoznałem w nich: „miakozwe“, „nswale“, zebry i dziki, zwane „ndżiri“. Różnobarwny ten orszak maszerował brzegiem kotliny. Gdyśmy się wysunęli z poza krzaków, spostrzegły nas. Zatrzymały się na chwilę, potem ruszyły lekkim kłusem i, zataczając półkole, dążyły ku zaroślom.

Jak od jednego rzutu oka ocenić mogłem, było tam do trzystu głów zwierza. Antylopy pomknęły przodem, za niemi dziki, na tyle zaś, zebry — powoli, jakby im żal było opuścić to wyborne pastwisko. I tak, gdy jedna ich część znikła już w lesie, inne były jeszcze w dolinie, szczypiąc trawę od czasu do czasu.

Była teraz najstosowniejsza chwila do strzału. Podsunąwszy się jeszcze ze sto kroków naprzód, wybrałem sztukę, najbliżej stojącą, i posłałem jej kulkę. Padła po strzale, jakby rażona piorunem, gdyż pocisk, jak później stwierdziłem, przerwał główną arterję serca, sprowadzając raptowny skutek.

Po strzale opustoszała dolina. W tumanie kurzu, który wzbił się na stepie, znikła w najbliższych krzakach reszta zeber.

Chcąc zachować skórę, poszedłem obejrzeć swoją zdobycz. Przy tej sposobności, przywoławszy jednego z chłopaków, dałem mu wskazówki, jak ma ściągnąć skórę. Najtrudniejsze jest ściągnięcie skóry z głowy. Murzyni nie chcąc się zbytnio trudzić, obcinają ją całkowicie, przez co wygląd skóry wiele traci.

W tym czasie reszta ludzi zajęła się urządzeniem obozu. Kiedy do nich wróciłem, już się ściemniło. Zastałem tam „marondę“, z którą przybyli zwabieni strzałem jacyś Mangandżowie z drugiej strony rzeki.

Targ szedł ciężko, kłóciło się naraz czterech z kapitanem, używając w polemice całego zasobu mimiki, tak właściwej ludom pierwotnym. Otoczywszy biednego Antonia tłumaczyli mu, iż odmierza za małe „kwamby“ [1]), i chcieli koniecznie sami naciągać „nguo“ [2]) ku wielkiemu zgorszeniu reszty mej drużyny, która, wydrwiwając ich, dawała poznać, iż podobny sposób handlowania nawet u „Mabzitów“ [3]) byłby niemożliwy.

Wśród tego gwaru i szarpania perkalu, który kolejno przechodził z rąk do rąk, odmierzany przez każdego z Mangandżów, nie zauważyłem narazie niepokaźnej postaci, siedzącej ztyłu z koszami mąki. Spostrzegłem ją dopiero, gdy się wszystko uspokoiło, a strony handlujące w zgodzie usiadły naprzeciw siebie.

Była to młoda dziewczyna, może w wieku lat dziesięciu lub dwunastu. Sądząc po jej drobnych dłoniach i stopach, na co też nasamprzód zwróciłem uwagę, nie wziąłbym jej nigdy za dorosłą kobietę. A przecież taką była. Była to jedna z najpiękniejszych murzynek, jakie tu w ciągu mego pobytu widzieć miałem sposobność. Cerę miała gładką, jaśniejszą, niż zazwyczaj mają Kafrowie. Na policzkach miała wytatuowane gwiazdki, co nietylko jej nie szpeciło, ale

[1]) Kwamba = 2 jardy = 60 *cm.*

[2]) Nguo = perkal.

[3]) Mawiti lub Mabziti = Zulusi środkowej Afryki.

owszem dodawało powabu. Były to jakby plasterki piękności w guście afrykańskim. Twarz może zanadto okrągła, ale rysy dość regularne, usta małe, a wargi, chociaż przekłute, żadnym jednak dodatkiem nie obciążone. Oczy miała ogromne, świecące i oczywista czarne, jak węgiel.

Takiego dziwnego wzroku chyba tu nie spotyka się często. Jeżeli on miał być zwierciadłem duszy, jak to my określamy, to dusza ta musiała być całkiem odmienna od dusz reszty współbraci hebanowych. Patrzyła na świat tak smutnie i przenikliwie, iż wyznaję tu ze skruchą, o mało nie padłem ich ofiarą. Była to niewolnica jednego z przybyłych Mangandżów, prawdopodobnie najstarszego wiekiem, ohydnego potwora, gdyż klęczała właśnie za nim ztyłu i odbierała próżne kosze po skończonym handlu. Spoglądała przytem to na nas, to na swego właściciela z pewnym wyrazem trwogi, jakby się obawiała, że ją sprzedadzą jakim ludożercom. Czy i mnie miała za takiego? — nie dowiedziałem się nigdy, ale zdawało się, że nie, bo w oczach, które często spotykały się z mojemi, prawie wyczytałem odezwę: „Rycerzu biały! Zlituj się nade mną i wybaw z niewoli". I w chwili tej żałowałem, że nie byłem czarny, jak smoła, bym bez ujmy dla swej godności mógł skruszyć kopję w jej obronie. Ale szlachetny ten poryw musiałem stłumić w sobie i pogrzebać na dnie serca, bo don-kiszoterja w czasach obecnych nawet w Afryce byłaby śmieszna.

Tej samej nocy ogromnego strachu napędziły nam lwy. Zwabione zapachem mięsa, a może resztkami, które nieoględnie zostawiliśmy w dolince, podsunęły się pod sam obóz. Tu poczęły się żreć między sobą, następnie ryczeć tak przeraźliwie, że jeden z chłopaków napół we śnie, nie wiedząc, co się dzieje, chciał umykać z obozu. Na szczęście, zatrzymano go wczas i przyprowadzono do przytomności.

Ja również, zbudzony nagle z głębokiego snu, nie mogłem sobie narazie z tego wszystkiego zdać sprawy. Ryk lwów mieszał się z hałasem murzynów. Dopiero po chwili

zrozumiałem o co chodzi, gdy umocowawszy na sobie tę część ubrania, której w zwykłych warunkach do łóżka się nie bierze, wyjrzałem z namiotu.

Powitała mnie na wstępie wystraszona twarz Antonia. „Mikangu pafupi panu!“ [1]) z siebie wycedził i, drżąc jak liść osiki — chciałem powiedzieć bananu — wskazywał palcem w kierunku, gdzie lwy się miały znajdować.

Postąpiłem bliżej ku ognisku; tu oparci na karabinach stali wszyscy moi strzelcy w pogotowiu. Zwróceni głowami ku dolinie szeptali coś między sobą. Prawdopodobnie rozróżniali tam sylwety lwów, ale trzeba też mieć oczy murzyńskie, aby dojrzeć cokolwiek w takim pomroku. Księżyc w ostatniej kwadrze niewiele dawał światła, a podnosząca się mgła czyniła przedmioty jeszcze mniej wyrazistemi.

Lwy nie miały chęci nas niepokoić i poprzestały na resztkach, jakieśmy im zostawili, my zaś byliśmy im wdzięczni za to, i nie zaczepialiśmy ich także. Pilnując obozu, siedzieliśmy około ognisk i oczekiwaliśmy ranka.

Z brzaskiem dnia znikły lwy z dolinki, ale stękania ich słyszeliśmy jeszcze czas długi, aż wreszcie zgubiły się gdzieś woddali — pośród gąszczy bez echa.

Cudowny poranek zapowiadał się tego dnia, chociaż zimno było dojmujące. Dolina, którąśmy mieli u stóp naszych, wyglądała teraz jak jezioro. Mgły przytulone do jej wilgotnego łona, zasłoniły dno, dając tylko widzieć brzegi i rosnące na nich krzewy. Wiatr, który dął w nocy, uspokoił się, głosy nocy umilkły. I głucha cisza zapanowała w puszczy. Cisza taka, która towarzyszy obudzeniu się poranka, jest imponująca. Czuje się ją nie zmysłami, ale duszą. Zdawało się, że cała przyroda zatrzymała się w biegu i wypoczywa. Wszystko, co dotąd wrzało życiem, układa się do snu, to, co ma rozpocząć pracę dzienną, jeszcze drzemie. Milczenie jest wszechwładne — bezgraniczne...

---

[1]) Mikangu pafupi panu = lwy tu blisko!

Na Europejczyka, żyjącego wśród tej przyrody, spokój taki musi wywrzeć silne wrażenie. Odczuwa on go instynktownie i ulega mu. Umysł zapada w rodzaj półświadomości, zapomina na chwilę, co się dzieje naokół — rzekłbym — drzemie także.

A jeżeli myśl jaka niespokojna zakłóci przypadkiem ten półsen moralny, to wraca rychło do punktu, skąd wyszła, upokorzona ogromem rozlicznych zagadek, dla których nie znajduje rozwiązania.

Ukazało się wkrótce pożądane słońce; w obozie nastał gwar. Jedni, pomęczeni nocnem czuwaniem, grzali się przy ogniskach, inni pakowali naczynia, łóżko i namiot. Piłem właśnie kawę i ze stołka polowego oglądałem miejsce nocnego koncertu. Wypłoszona obecnością lwów zwierzyna zaczęła znowu ściągać na paszę. Zrazu ukazał się samotny koziołek, później stadka kóz i grupy zeber, a wkońcu i dziki zjawiły się w dolince. Gdyśmy się zabierali do odejścia, znowu tam wrzało życie. Na horyzoncie posuwała się długa czarna linja bawołów, wracających od wody...

W dniu dzisiejszym, który mi się dobrze wbił w pamięć, ucierpieliśmy wiele od spieki. Dopóki szliśmy wzdłuż rzeki i mieliśmy wodę pod ręką, nikomu nie śniło się o piciu. Kiedyśmy jednak zboczyli w las, zostawiając rzekę za sobą, wszystko pożądało wody — wody za każdą cenę. Ale skądże jej dostać? Wracać było niepodobieństwem, źródła zaś, na któreśmy liczyli, mogły być dopiero koło wioski, dokąd dążyliśmy, a ta, nie wiedzieć jak daleko leżała. Wprawdzie Kaniole twierdził, że ścieżka, którąśmy szli, do tej wsi napewno prowadzi, ale oznaczyć nie umiał, czy tam zajdziemy w południe, czy pod zachód słońca, czy też później.

Ale cierpliwości! Kto chce polować w Afryce środkowej i zwłaszcza polować na słonie, musi być przygotowany na wszystko. W wypadkach, gdzie potrzeba całej siły woli, by nie upaść pod ciężarem przeciwności i trudów fizycznych, powinniśmy tłumaczyć sobie, że położenie nasze nie

jest jeszcze tak rozpaczliwe, że mogłoby być gorzej, i filozofji tej trzymać się należy uparcie. Najmniejszy cień zwątpienia sprowadza nostalgję, ta zaś może zniszczyć najlepsze plany i postanowienia.

9. ZBŁĄKANI BEZ WODY.

Otóż wytrzymaliśmy i my tę próbę. Z wyschniętemi gardłami i okryci pyłem, doszliśmy nareszcie do wioski „Msweza“. Woda, której tak pożądaliśmy i spodziewaliśmy się znaleźć w strumieniu, nie istniała. Za cały zdrój służyło bagienko pod skałami, dokąd nas zaprowadzono. Ach, cóż to była za woda — pożal się Boże! Sama jej woń była już odrażająca, kolor zaś ciemno-bronzowy. Jeżeli słowa „żur“ używa się na oznaczenie czegoś mętnego, to woda ta była żurem w pojęciu najzupełniejszem. Ale jakżeż mogło być inaczej, gdy w tym małym i bagnistym basenie pluskało się kilka murzynek i tyleż maminych pociech, płci obojga.

Niespodziane nasze zjawienie się w miejscu kąpieli, sprawiło zamieszanie wśród kąpiących się. Po chwili już nikogo w wodzie nie było.

Zostawszy panami sytuacji, czekaliśmy chwilkę, aż się woda ustała; potem uklękliśmy nad brzegiem i czerpaliśmy w dłonie tę zupę, gasząc nią pragnienie. Mimo wszystkie swoje strony ujemne, woda ta była nieoszacowana.

Chcąc dzisiaj jeszcze dalej maszerować, kazałem natychmiast gotować obiad. Gdy się z tem uporano, nakazałem wymarsz ze wsi. Czarni jednak jakoś leniwie zabierali swoje tłumoczki, a Antonio ani rusz nie mógł ukończyć „marondy“, kręcił się po wsi i po chatach. Były to jego zwykłe manewry, obliczone na to, ażeby czas strawić do zachodu słońca i tem samem uniemożliwić wyjście ze wsi. Przeszkodziłem jednak temu, gdyż wprost wyciągnąłem go z jakiejś chaty i kazałem natychmiast maszerować na przodzie.

Kiedy nasze „ulendo“ znalazło się w lesie, zwrócił się do mnie Namondi i oświadczył, że nie zna drogi do Iniamuli.

— To znasz do Lisungwe, a stamtąd łatwo dostać się do wsi, gdyż leży nad brzegiem tego strumienia.

— Nie znam i do Lisungwe! — hardo odpowiedział.

Wskazałem więc ręką na zachód i rzekłem z naciskiem:

— Tam jest Lisungwe! a skoro nie wiesz, to ja ci drogę pokażę!

I nie czekając na żadną już odpowiedź, ruszyłem naprzód. Reszta pociągnęła za mną. I szliśmy tak, nie mówiąc do siebie, aż do wieczora. Kierunek wskazywało słońce, które, jakgdyby chcąc mi przyjść z pomocą, do ostatniej chwili przeglądało przez konary drzew czerwonemi promieniami, aż wkońcu skryło się za wzgórek, zatrzymując w ten sposób nasz pochód.

Obozu nie rozkładano; rozbito tylko namiot dla mnie. Całe towarzystwo miało nastrój ponury. Nie gotowano również, bo nie było na czem, i tylko jedno ognisko oświecało nasze legowisko. Strzelcy i tragarze byli chmurni, „muzungu“ zły.

Od rana rozpoczęła się wędrówka naoślep. Skonstatowawszy podług kompasu kierunek zachodni, prowadziłem tam karawanę. Przez krzaki, cierniste zarośla, trawy lub wypalone golizny wlekliśmy się, jak stado zbłąkanych owiec.

Czarni nie odzywali się do mnie, więc i ja do nich nic nie mówiłem, ale maszerowałem prędkim krokiem, udając że znam drogę. Wody nie znaleźliśmy nigdzie, bo łożyska strumieni, które przekraczaliśmy, były suche oddawna.

Po południu naprężony nasz stosunek poprawił się nieco. Antonio, widząc, że nic nie mówię, lecz idę naprzód bez wytchnienia, zrobił uwagę, iż wartoby spocząć. I rzeczywiście był czas po temu. Dzisiejszy nasz pochód trwał przeszło sześć godzin bez wody i odpoczynku. Słońce doku-

czało straszliwie, a upał potęgowało jeszcze odbicie promieni od skał, wśród których przechodziliśmy. Chociaż zarośli mnóstwo, cienia mało, gdyż drzewa, pozbawione liści, nie mogły wstrzymać potopu światła, padającego jeszcze ciągle prawie prostopadle. Twarze moich ludzi nabrały wyrazu idjotyzmu, czy zmęczenia, powiedziałbym, wychudły i ponaciągały się raptownie. Ja sam czułem, że daleko już nie zajdę. Owładnęła mną dziwna ociężałość, a w oczach robiło się ciemno. Na mózgu czułem ciśnienie centnarów.

I karabin zaczął mi się wydawać potwornie ciężkim. Przekładając go z ramienia na ramię, otarłem skórę do żywego mięsa. Wlokłem się jednak uparcie, jak automat.

Dopiero około trzeciej popołudniu zatrzymałem pochód, spowodowany do tego zjawieniem się stadka wielkich antylop „ngondo“, które przebiegły po naszej drodze. Mimowoli rozpocząłem do nich kanonadę, a że w defiladzie na niewielkiej odległości przesuwały się przed nami, zabiłem trzy sztuki. Czarni, jakby zelektryzowani tym wypadkiem, powitali mnie głośnemi okrzykami. Słowo „makoniola“ usłyszałem powtarzane z ust do ust, a oznacza ono w ich dialekcie doskonałego strzelca. I nazwa ta pozostała mi tak długo, jak długo w tych okolicach polowałem.

„Ngondo“ (Acelaphus Caama), jedna z tych trzech odmian, które w tym kraju są znane, jest potężnem zwierzęciem. Wielkości krowy, ma część przednią ciała nieco podniesioną, przez co wydaje się garbatą. Sierść jej jest koloru brunatno-czerwonawego z jaśniejszym odcieniem na brzuchu, brzuch zaś biały. Ogon dość długi, podobnie jak u naszego bydła domowego, głowa wydłużona, a fizjognomja bardzo głupia. Rogi zaś są już chyba najkomiczniejsze. Krótkie, w połowie swej długości zgięte (pod kątem 90 stopni) i ku tyłowi zwrócone, a w stosunku do wielkości głowy całkiem nieproporcjonalne. Mięso smaczne, przypomina bardzo wołowinę.

Antonio, który miał zmysł kulinarny bardzo rozwinięty,

żałował, że wszystkiego mięsa ze sobą zabrać nie możemy, zabrał jednak sporą ilość, obładowując niem tragarzy, o ile to się tylko dało. Murzyni, znużeni drogą, zaspokajali tymczasem głód, czy też pragnienie, wysysając sok z żołądków zabitych zwierząt. Rozćwiartowali też wszystkie trzy sztuki, ale oprócz polędwic i udźców, które zaraz wycięto, reszta została dla lwów i hien. Przykro mi było, że tyle mięsa się zmarnuje, ale strzelając do stadka, nie przypuszczałem, że wszystkie ranione sztuki padną.

Aby zagłuszyć wyrzuty sumienia, ruszyłem zaraz naprzód, myśląc, że wypocząwszy trochę, będę mógł iść jeszcze daleko. Tymczasem nogi odmówiły posłuszeństwa. Po godzinie musiałem stanąć. Byliśmy teraz na grzbiecie jednego z tych wzgórz, których dzisiaj przekroczyliśmy, już nie wiem ile.

Było nieco wyższe od innych i daleki widok roztaczał się przed nami. Na zachodzie o jakie pół dnia marszu, widniało wysokie pasmo gór „Kirk-range“, a między niem a nami kilka czy kilkanaście pasm mniejszych, biegnących równolegle do siebie i pokrytych lasami. Wielki wąwóz, głęboki i zarośnięty, otwierał się u naszych stóp.

— Tu gdzieś musi być Lisungwe — myślałem — w każdym razie z tej strony gór; tak było oznaczone na mapie. — Ale czy można wierzyć mapom, gdy chodzi o małą rzeczkę górską w środkowej Afryce? A wkońcu czy i to pewne, że te góry, które widzę, są owem Kirk-range?...

Rozmaite myśli nasuwały mi się do głowy, a wszystkie niewesołe.

— Jeżeli do jutra nie znajdziemy wody — myślałem — kto wie, czy doczekamy drugiego wieczora; pragnienie zabija prędko podróżującego podczas spieki.

Zaczęło mi się robić ciemno w oczach, więc oparłem się na karabinie. Patrzyłem przed siebie, ale nic nie widziałem. Ludzie coś mówili, ale nie rozumiałem, o co chodzi. Czułem, że nogi ledwie utrzymują mój ciężar, i że

lada chwila upaść mogę. Tylko siłą woli utrzymałem się w postawie stojącej. Popękane od słońca wargi dokuczały mi straszliwie a policzki pałały ogniem...

Pośród tej ciszy, w której wszystko mówiło o śmierci, szum jakiś dał się słyszeć od zachodu. Lekki powiew wiatru musnął moją twarz spieczoną, i w chwili tej zdawało mi się, że znowu szmer jakiś zdala dolatuje. W przypuszczeniu, że pochodzi od przelatującego roju pszczół, których tu mnóstwo, mimowoli się oglądnąłem.

— Co to jest? — zapytałem Kaniolego, który stał za mną. — „Kaja“[1]), może Lisungwe, ale Namondi powinien lepiej wiedzieć, polował już dawniej w tych stronach; pójdę go spytać.

I poszedł za Namondim, zostawiając mnie samego.

Gdym się obejrzał po raz wtóry, oczekując wysłańca, już go nie było wpobliżu. Schodził wraz z resztą ku wąwozowi z widocznym pośpiechem. Powlokłem się za nimi.

Im bliżej ku dołowi, tem szmer wyraźniejszy dochodził mych uszu. Już nie było wątpliwości, że to woda; wkrótce i plusk jej było można rozróżnić.

Jeszcze kilka minut drogi dzieliło nas od zdroju. Woda! Co za niewymowna rozkosz! Odkrycie miny złota nie byłoby na nas wywarło takiego wrażenia, jak pewność, że pić będziemy. Ja, biały, o mało nie wyskakiwałem z radości. Do ludzi moich nie miałem już więcej urazy, byłbym ich ściskał z zadowolenia.

Z jaką skwapliwością przedzieraliśmy się przez ostatnie gąszcze, dzielące nas od strumienia, ten tylko pojmie, kto podróżował po Afryce i w podobnem był położeniu.

Wreszcie stanęliśmy nad brzegiem Lisungwe. Tu woda spadała pośród granitów ze stopnia na stopień, czyniąc szum, któryśmy zdala słyszeli. Po brzegach rosły wspaniałe drzewa, i panował orzeźwiający chłód. Woda była prawie niebieska,

---

[1]) Kaja = nie wiem.

czysta, jak kryształ, i zimna. Baseny, które się w rozlicznych zagłębieniach potworzyły, zachęcały do kąpieli. Krokodyli nie potrzebowaliśmy się obawiać, gdyż nie było nigdzie większej głębi; dno zaś było widoczne, a miejsc takich te płazy unikają.

Gromadka moja była już przy robocie. Rzuciwszy manatki byle gdzie, piła wodę, czerpiąc ją w dłonie lub wprost do ust — jedni bowiem oddawali się tej operacji klęcząc, inni leżąc na brzuchach. Kilku poszło nawet jeszcze dalej w swoim zapale; wlazłszy w wodę, kąpali się i pili równocześnie. Poszedłem i ja za przykładem tych ostatnich i w ten sposób gasiłem pragnienie.

Noc przepędziliśmy nad brzegiem pod olbrzymim figowcem. Dobra wieczerza i noc, spokojnie przespana, pokrzepiły nas na nowo i dodały animuszu do dalszych trudów tak, iż z brzaskiem dnia podążyliśmy dalej.

Zachodziła teraz trudność, jak wynaleść najkrótszą drogę do Iniamuli, i nie narażać się na takie same niebezpieczeństwa jak wczoraj, odszedłszy od strumienia. Namondi ciągle jeszcze twierdził, iż drogi nie zna, ale temu nie wierzyłem. Kaniole zaś wprost mu oświadczył, że kłamie. Musiałem jednak udawać, że nie słyszę tego, gdyż nie było sposobu zmusić krnąbrnego murzyna do powiedzenia prawdy, narażać się zaś na bunt otwarty było niebezpieczne.

W obawie, abyśmy naprawdę nie zbłądzili, szukając drogi naprzełaj, nakazałem trzymać się strumienia. Tak idąc, musieliśmy dojść do celu, chyba, że rzeka ta nie była Lisungwe, a góry, któreśmy wczoraj oglądali, nie były owemi Kirkrange, jak to oznaczono na mapie. A wtedy niech giną kartografowie i wydawcy map!

Lisungwe, które wczoraj błogosławiłem, miałem dzisiaj w pogardzie. Wiodło ono nas przez takie manowce, iż nie człowiekowi, ale i słoniowi trudnoby było tamtędy się przedrzeć. Brodząc z brzegu na brzeg, i to czasem kilka razy na godzinę, obijaliśmy stopy o bloki granitowe, któremi dno

było wyścielone, a że były gładkie i jakimś mchem porosłe, wywracaliśmy się co niemiara. Ja sam, chociaż najczęściej na karku murzyna odbywałem tę drogę, zmoczyłem się porządnie, i tylko litościwe słońce południowe suszyło moją garderobę.

Najtrudniejsze przeprawy mieliśmy pośród gąszczy ciernistych, bo te odbywały się na czworakach. Jak tragarze tamtędy się przedzierali, jak się czołgali popod gałęziami z kilkudziesięciofuntowym pakunkiem na głowie i karabinem w ręku, trudne jest do pojęcia. Nato trzeba zaiste karku i wytrwałości murzyńskiej. Częstokroć droga nasza tak była zatarasowana skałami i zarosła kolczastą roślinnością, wijącą się i gęstą, że zdawało się, iż bez siekiery i noża dalej kroku nie zrobimy. Tymczasem jedno spojrzenie Kafra wynajdywało przejście, wprawdzie dotkliwe dla twarzy i rąk, ale zawsze przejście naturalne, któregobym ja pewnie nie dostrzegł.

W wędrówce tej oglądałem nad strumieniem kilka wielkich drzew, a jeden baobab grubością swoją prawdziwie mi zaimponował. Jak go na oko ocenić mogłem, miał około 6 metrów średnicy. Korona, całkiem z liści obnażona i niepokaźna, dawała mu wygląd olbrzymiego buraka, posadzonego naodwrót. Prócz baobabów i nielicznych bawełników reszta drzew jest karłowata i nie zasługuje na wzmiankę. Są to przeważnie krzaki o ostrych kolcach, małe akacje, euforbje, i jakiś gatunek wijącego się kaktusa, który niby czyha nato, aby człowieka tamtędy przechodzącego poczęstować swym zjadliwym kolcem.

Ileśmy tego dnia kilometrów uszli, oznaczyć trudno. Przedzieranie się przez krzaki zabiera wiele czasu; posuwaliśmy się więc powoli naprzód. Na czele pochodu szedł znów Namondi, potem ja, za mną chłopak z wielkim karabinem i ładunkami, dalej gęsiego reszta tragarzy z Antoniem, zamykającym pochód. Orszak ten musiał rozciągać się w długą linję, gdyż od czasu do czasu trzeba było czekać dobry kwadrans

na połączenie się z resztą, idącą wtyle. Niekiedy nawet gubiliśmy się w zaroślach, i dopiero gwizdem i nawoływaniem odnajdywali jedni drugich.

Namondi, który w ostatniej chwili nabrał więcej animuszu, pokazywał mi po drodze dawne drogi słoni i zapewniał, że te wiodą w góry i że je tam odnajdziemy. Świeżych tropów jednakowoż nie było, zato napotkaliśmy kilka odcisków nosorożców, czyli jak ich tam zwą „czipembere“, z wyraźnemi śladami ich złego humoru. Tropów bawolich było także wiele, zwłaszcza w miejscach gdzie trzcina zachowała swą zieloność, t. j. na moczarach i nad strumieniem. Zato zwierząt samych nie widziałem wcale, z antylop zaś tylko samotnego kozła „Ngomy“ [1]), do z którego w pośpiechu chybiłem. Dopiero pod wieczór, gdyśmy już stanęli na nocleg, udało mi się wypatrzeć stado pantarek, którego ubiłem trzy sztuki ze strzelby murzyńskiej naładowanej siekańcami.

Miejsce, gdzie rozbito namiot, było prawdopodobnie dawnem obozowiskiem innych myśliwych. Świadczyły o tem resztki kości, rogów i ogromna czaszka bawoła, o tyle jeszcze świeża, że trzeba ją było jak najdalej odrzucić.

Te ślady bytności ludzkiej w tak odległych stronach, nie podobały mi się wcale. Przypuszczać mogłem, że i ci, co to miejsce opuścili, prawdopodobnie polowali na słonie, a przy tak mizernym stanie zwierza, nie była to pożądana konkurencja.

Następnego dnia byliśmy już we wsi Injamuli, gdzie ulokowałem nasze „ulendo“ na dłuższy postój.

10. NARESZCIE NA ŚWIEŻYCH TROPACH SŁONI.

Noc dzisiejszą przespałem źle z powodu bliskości bawołów, które się kręciły po ogrodach, i to wpobliżu mego namiotu. Kilkakrotnie wyglądałem za niemi, strzelać jednak nie mogłem, gdyż noc była ciemna, a w tym labiryncie chat

[1]) Strepoiceros Kudu.

i krzaków chybiwszy bawoła, mogłem łatwo kogoś we wsi poczęstować kulą.

Już od świtu krzątali się nasi, czyniąc przygotowania do wymarszu. Antonio, kilku najmłodszych tragarzy, oraz pakunki pozostają we wsi; towarzyszą mi tylko wszyscy strzelcy, Kaniole i dwóch przewodników, z tutejszej miejscowości. Z żywności zabraliśmy bardzo mało zapasów, spodziewam się bowiem ubić zwierzynę jaką po drodze, objuczać zaś zbytnio ludzi, znaczyłoby skrócić sobie pobyt w górach.

Strzelcy są dobrze usposobieni. Stary Injamula wywróżył im, rzucając kości, szczęśliwą podróż, a że „muzimu“ [1]) tej miejscowości dostał również mąkę na tę samą intencję, zatem wszystko powinno pójść dobrze.

Około południa byliśmy już na wysokości 900 metrów n. p. m. Drapiąc się po pochyłościach skalistych i śliskich, już na pierwszej terasie zatrzymaliśmy się dla wypoczynku.

Orzeźwiający wiatr powiewał od wschodu. W tej wysokości powietrze jest rzadsze, a płuca silniej pracują, wzdymając się szeroko, chwytają pełnemi haustami ten nieoszacowany balsam. Członki stają się elastyczniejsze, a głowa lżejsza. I byłem gotów wierzyć, że biały, żyjąc tutaj, czułby się o wiele zdrowszym i energiczniejszym, niż w dusznej i febrycznej atmosferze dolin.

Oglądając panoramę, jaka się przed nami teraz otwierała, sięgałem wzrokiem — to na północ ku Njassie, to na wschód, gdzie szarzały w niebieskim mroku pasma gór Zomba — to na południe w dolinę Sziry, którędy wiła się ta rzeka srebrnym pasem.

Zapomocą szkieł rozpoznawałem w dole mniejsze przedmioty dość dokładnie. U stóp góry dostrzegłem nawet dwa wspaniałe kozły „ngomy“, pasące się najspokojniej na leśnej polance. Widziałem także wioskę Injamuli, której

[1]) Muzimu = duch dobry, opiekuńczy.

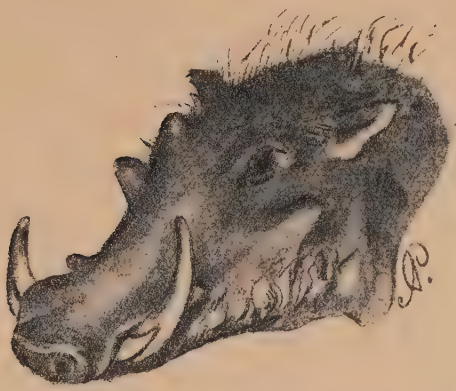

Dzik „Ndżiri" *(Phacochoerus aethiopicus).*

„Ngoma" *(Strepsiceros kudu).*

Czaszka antylopy „Ngondo" *(Acelaphus-caama).*

chaty wyglądały jak kupki suchej słomy, rozrzucone pośród krzaków.

Dawszy płucom chwilę wytchnienia, ruszyliśmy znowu pod górę i, nie wypoczywając już nigdzie, po dwóch godzinach stanęliśmy na szczycie. Stąd widok jeszcze piękniejszy. Wprawdzie szczegóły w dolinie mniej wyraźne, bo szarą jakąś pomroką osłonięte, ale zato widnokrąg szeroki, jasny i prawie bez końca. To też znów wzrok swój puściłem nad Njassę. Patrzyłem w te mgły, które z ziemi robiły niebo, łącząc ją z niem, i w ten przestwór powietrzny, który się rozścielał przede mną, a wiódł ku północy, gdzie okiem wyobraźni zdawało mi się, że dostrzegam kraj mój rodzinny. I w tej chwili nie istniałem dla Afryki, duszą byłem pomiędzy swoimi...

Z tej zadumy wyprowadzili mię wnet czarni. Ciągnąc za rękaw, dawali poznać, że należało spieszyć, mieliśmy bowiem wynaleźć i wodę, i odpowiednie na nocleg miejsce. Poszliśmy więc znowu raz wdół, to znowu wgórę, aż odnalazłszy strumień, stanęliśmy nad jego brzegiem. Był to „Mukuru-madżi“, wpadający do Sziry.

Noc całą dygotałem z zimna, na które wcale się nie przygotowałem. Namiotu z sobą nie wziąłem, a śpiąc tuż przy wodzie, całą rosę ranną zebrałem na koce. Wszystko na mnie było wilgotne. Wątpię, czy temperatura wynosiła więcej nad $+6^{0}$ C.

Już mieliśmy wyruszać, gdy mi zameldowano słonie. Jeden z ludzi Injamuli odkrył w trzcinach świeże ich ślady i zaalarmował obóz. Stado mogło się składać z kilku sztuk dorosłych i pary cielaków. Między niemi były dwa okazy bardzo stare, których ślady poodmierzał Kaniole na swojem „dodo“ [1]) i przyniósł na pokaz. Stare te słonie trzymały się na boku od reszty towarzystwa, jakgdyby się go wstydziły, a w ciągu dnia tylko raz z gromadą się połączyły, aby

[1]) Dodo = laska, kij.

wkrótce znów się rozłączyć. Historję tę czytaliśmy wyraźnie ze śladów.

Nieszczęsne to były słonie, nie mieliśmy ich nigdy oglądać. Prowadziły one nas daleko, i mimo że bez wytchnienia maszerowaliśmy do zachodu słońca, przestrzeń między nami a stadem stale się nie zmniejszała. Ile pasm górskich przekroczyliśmy dzisiaj, ileśmy razy brodzili przez strumienie i bagna, ile razy przedzieraliśmy się przez „kalangi", tego już powiedzieć nie umiem. Wiedziały o tem nogi, bo ku wieczorowi posuwały się już bez żadnej energji. Wreszcie ustały. W tym czasie noc zapadła. Czy tak, czy owak, iść dalej nie było można. Zasnęliśmy, można powiedzieć, na tropie.

Było jeszcze ciemno, gdy się obudziłem. Lubo zziębnięty i głodny, nie czekałem na herbatę, ale kazałem wyruszać. Słonie podczas nocy musiały już zajść daleko, a jeżeli gdzie przystanęły dla spoczynku lub jadła, to z pewnością przed świtem były znów w drodze. Każda stracona chwila oddzielała nas bardziej od nich.

Nie pomogły jednakowoż moje gderania. Ludzie byli pomarznięci i musieli się ogrzać. Należała się im ta odrobina ciepła. Prawie nadzy, bo okryci tylko tym fartuszkiem, który im we dnie służył za ubranie, szczękali zębami i drżeli jak w febrze. To też z zapałem rozdmuchiwali ogień i, siadłszy dokoła wielkiego ogniska, wyczekiwali wschodu słońca.

Zrobił się wreszcie dzień. Słońce wyjrzało, ale zimno było jak przedtem. Ruszyliśmy. Ciężka rosa wisiała na krzakach i zaroślach, a spadając na nasze głowy i karki, ziębiła doreszty. Goniliśmy zato, jak można najprędzej. zostawiając kulejącego Kaniolego daleko za sobą.

Ze znaków, które tylko Namondi odczytać potrafił, dowiedzieliśmy się, że słonie dziś nie staną. Aby ich dopędzić, musieliśmy wytężyć wszystkie siły i nie spocząć ani na chwilę. Ale skąd nabrać tyle mocy, gdy i tak tylko

ostatnim wysiłkiem woli się wleczemy? A słonie gonią jak opętane.

Ledwieśmy się wdarli na wierzch jednego z tych wysokich łańcuchów, myśląc, że tam przychwycimy stado, musieliśmy wnet wędrować nadół, po spadzistościach, grożących złamaniem karku, lub conajmniej wykręceniem nogi. Znowu na dole, pewni, że one są tu gdzieś w trzcinach nad strumieniem, przekonywaliśmy się ku naszej zgrozie, że napowrót poszły wgórę. Przez cały ten czas nie przystanęły ani na chwilę, a żywiąc się podczas drogi zerwanemi liśćmi lub gałązkami, które obnażały z kory, niejako chciały nam powiedzieć, że im się spieszy.

Tak pędząc strawiliśmy znowu dzień cały bez nadziei dogonienia stada. Pozostało ono przed nami na tej samej co wczoraj odległości.

Dzień po dniu schodził, a żaden nie przynosił nam nic nowego; zwątpiłem, czy gonitwa nasza na co się przyda. Wprawdzie w „bango“ [1]), którędy przechodziliśmy zaraz zrana, odkryto miejsce, gdzie słonie nocowały, ale zanim odnaleziono wśród tej gmatwaniny właściwą ich drogę, upłynęło sporo czasu.

Były jednak momenty, w których miałem wrażenie, że lada chwila ujrzę słonie. Dwukrotnie nawet wdziewałem pas z ładunkami grubego kalibru, tak byłem pewny, że już są gdzieś w bliskości. Ale oczekiwania te skończyły się, jak zwykle, rozczarowaniem. Stawaliśmy, egzaminowaliśmy ślady, lub nadsłuchiwaliśmy, czy nie dojdzie nas jaki głos podejrzany. Nie usłyszawszy nic, szliśmy dalej.

Nareszcie znudziła mię ta bezmyślna gonitwa. Wyrzucałem sobie, żem się dał tym słoniom wieść tak daleko, i żem nie poszedł za innemi śladami, których widzieliśmy wiele podczas naszego dwudniowego marszu. O zabiciu jakiejkolwiek zwierzyny nie pomyślałem także, a to z obawy

[1]) Bango = zarośla trzcinowe na bagnach, dżungla.

spłoszenia stada. Wprawdzie spotykałem tylko nieliczne antylopy mniejszych gatunków, lecz i te byłyby się nam przydały. Żywność nasza ograniczała się już do trochę mąki kukurydzianej i soli.

To też przyszedłszy nad strumień Kondezi i przekonawszy się, że słonie dalej poszły, zatrzymałem „ulendo". Posunęliśmy się już za daleko na zachód. Przeszło dwa dni drogi oddzielało nas od obozu, a żywności nie wystarczy na dłużej, jak na dzień. Należało koniecznie wracać.

W tym czasie wygłodzona moja gromadka zabrała się do gotowania „nsimy"[1]). Ogień wnet zapłonął, i kociołek znalazł się nad ogniem. Nie upłynęło pół godziny, a obiad był gotów: „Nsima" — w kształcie kotła, z którego wyszła, dymiła się na półmisku, ułożonym z liści.

Dla mnie zgotowano herbatę. Kawałek „nsimy", jaki mi na talerzu przyniósł Martinio, nie znalazł łaskawego przyjęcia. Wiedziałem, że jej nie przełknę, więc wolałem nie tykać, udając sytego. Zato w głębi duszy zazdrościłem Kafrom ich żołądków, w których — jak w czeluściach — cała ta góra „nsimy" wkrótce zniknęła.

* * *

Nad „Kondezi" rosną wspaniałe palmy z gatunku Raphia. Są one chyba właściwe tylko okolicom górskim, gdyż w dolinach nigdy ich dotychczas nie widziałem. Rosną rzędami wzdłuż strumieni, a widok, jaki dają przechodniowi, nie jest do pogardzenia. Rzadko kiedy posiadają pnie wysokie, liście zaś, bardzo podobne do liści kokosu, obejmują krótką podstawę i wznoszą się wgórę na 9 *m* i wyżej, tworząc rozłożysty pióropusz. Kolor liści jest także niezwykły, bo niebieskawo-zielony, ze srebrzystym odcieniem od spodu, co uwidocznia się jasnemi błyskami podczas wiatru.

Owoce tych palm przypominają z wejrzenia szyszki. Są jednak orzechami o ziarnie początkowo miękkiem i kle-

[1]) Nsima = mamałyga.

istem, które zczasem twardnieje na podobieństwo kości słoniowej. Byłby to niezgorszy materjał do drobnych wyrobów, jak np. guziki, mogący zastąpić prawdziwą kość słoniową i inne produkty, wprowadzone do handlu, a zwane roślinną kością słoniową.

Po obiedzie zarządziłem odwrót. Kilka szyszek tej palmy zabrałem z sobą, aby je pokazać Anglikom w Blantyre.

Nazajutrz wpadliśmy znowu na dość świeży trop słoni, a że biegł w kierunku, którym nam iść wypadało, trzymaliśmy się go aż do wieczora. Dopiero pod zachód słońca widząc, że ze słoniami nie tak łatwa sprawa, i że, aby je dopędzić, należało tygodniami jednego i tego samego tropu się trzymać, dałem za wygraną i przy pierwszej wodzie stanąłem na nocleg.

11. POWROTNA DROGA.

Obóz rozłożyliśmy na spalonej polance nad przepaścią, w której sączył się mały strumyk. „Msasy“ [1]) nie urządzano, bo teren nie nadawał się do tego i ludzie byli zanadto pomęczeni, by ich jeszcze tą robotą obarczać. Musieli i tak naznosić paliwa, a w miejscu tem niełatwo o to było. Gdy jedni rozbiegli się za paliwem, a Kaniole z Martiniem krzątali się, aby urządzić legowisko dla „muzunga“, wdrapałem się na pobliską skałę i obserwowałem zachód słońca. Słoneczna tarcza, kryjąc się za chmurę, która niby wyrosła z ziemi, wywołała najcudniejszą grę barw. Część dolna chmury, dotykając nieboskłonu, ściemniała; zrazu purpurowa, wkrótce stała się brunatną, a wreszcie całkiem czarną, natomiast brzegi jej pozostały purpurowe i przejrzyste, jak leciuchne koronki, misternie ułożone w ząbki. W tej chwili na tle nieba, które było niezwykle jasne, wystrzeliły promienne drogi, sięgające zenitu. Zrobiło się jasno, cały świat nabrał jakiegoś przyjemnego odblasku, wypiękniał. Po

[1]) Msasa = obóz.

przeciwnej stronie, jakby dla kontrastu, niebo było ciemnoszafirowe.

Gdym podziwiał to zjawisko i w jakimś zachwycie zapomniał o otoczeniu, o Afryce i słoniach, lekkie nawoływanie Mangandżów przywołało mnie do przytomności.

— „Niati! Niati“![1])

Bawoły pasły się w sąsiednim parowie. Chłopak, co tę nowinę przyniósł, naliczył ich do stu głów. Mową i gestami starał się przedstawić, że są tłuste i że mięso ich musi być wyborne. Nie potrzebował mnie jednak zachęcać, byłbym i tak poszedł. Wystarczało, że to były bawoły, a myśmy łaknęli mięsa. Szczęścia w każdym razie należało spróbować. A więc z kilku nabojami w kieszeni i „ósemką“ w ręce wybiegłem za murzynem. Wkrótce byłem na miejscu, skąd mogłem widzieć bawoły.

Dokoła rosły trzciny, a tu i tam świeciły małe bagienka, przeważnie trawą zarosłe. Z obu stron wznosiły się wzgórza, albo nagie, bo wypalone, albo porosłe małemi krzaczkami, które mogły dać pewną osłonę. Z brzegu górki, gdzie się zatrzymałem, objąłem wzrokiem całą sytuację. Stado składało się najwyżej z 30 głów, pasło się po brzegach doliny właśnie pod wzgórzem, na którem stałem. Między mną a stadem ciągnął się szeroki pas trzcin gęstych, ale niewysokich. Wiatr wiał od północy — od zwierząt; czułem go na policzkach, wszelkie więc szanse powodzenia były po mojej stronie.

Podkradłem się aż do trzcin; tu sprawa była już trudniejsza. Nie mogąc widzieć, co się przede mną dzieje, musiałem posuwać się naprzód bardzo powoli. Najmniejszy szelest mógł obudzić podejrzenie w bawołach, a wtedy zbliżenie się na strzał byłoby niemożliwe. Przekradałem się więc jak tygrys wśród zarośli. Głuche porykiwania dowódcy stada przekonywały mnie, że jednak nic nie podejrzewają.

---

[1]) Niati = bawół.

Doszedłem nareszcie na skraj zarośli. Tu już tylko cienka przegroda łodyg zasłaniała moją osobę, stąd widziałem dokładnie zwierzęta, nie byłem od nich bowiem dalej, jak na trzydzieści kilka kroków. Kiedy bawół, najbliżej mnie stojący, podniósł głowę, zdawało mi się, że na mnie patrzy. Widocznie jednak tak nie było, gdyż zaczął paść się dalej. Zatrzymałem więc oddech w sobie, aby się nie zdradzić.

Teraz należało tylko podnieść karabin i zmierzyć się. Wziąłem na cel krowę, niebardzo młodą, co widać było po rogach, ale gładką i tłustą. Mierząc poza łopatkę, wypaliłem.

Tuż za mną zagrzmiał karabin Namondiego. Wypatrzył on już pierwej jakąś sztukę dla siebie, ale czekał na mnie i nie strzelał.

Po huku, którego echo odbiło się wielokrotnie o skały i lasy, pierzchła gromada w największym nieładzie. Zarośla oraz dym, jaki się uniósł z luf naszych, nie pozwolił rozeznać narazie, co się dzieje przed nami. Tylko łomot i szum w trzcinach dowodził, że się stado oddala. Wreszcie wszystko ucichło; dym opadł i mogliśmy pójść naprzód.

Dwóch chłopaków z karabinami przyłączyło się teraz do nas. Oni wypatrzyli już pierwej zbiegów i pokazywali na nich palcami.

„Uku! Uku!“ [1]) — wołali, a my myśląc, że bawoły są gdzieś wpobliżu, wodziliśmy dokoła siebie oczami. Dopiero po chwili poznaliśmy naszą omyłkę, gdyż bawoły były już po drugiej stronie doliny w odległości kilkuset kroków. Mrok zapadał i o powtórnem strzelaniu nie można było myśleć. Postanowiliśmy powrócić do obozu, a o rezultacie naszych strzałów przekonać się nazajutrz.

Rozpoczął się odwrót pod górę. Ponieważ pochyłość była znaczna, a kamienie leżały luźnie na ziemi, szliśmy żółwim krokiem, ciągle się potykając.

---

[1]) Uku! = tu!

Co kilka chwil stawaliśmy, aby zaczerpnąć powietrza, i zwracaliśmy głowę ku dolinie, nadsłuchując.

Nie mogliśmy się pogodzić z myślą, że oba nasze strzały na tak małą odległość chybiły.

Ledwie stanęliśmy na górze, doszedł naszych uszu jakiś cichy bek. Bek najwyraźniej powtórzył się po raz drugi.

— „Nafa! Niati nafa!“ — krzyknęli jak na komendę wszyscy trzej czarni. — Bawół ubity! Trafiony! Bawół nasz! Będzie „kisawi!“ — wrzeszczeli.

Po beku wnioskowali, że bawół otrzymał postrzał śmiertelny.

Jak się później przekonałem, bek taki nigdy nie zawodzi. Jest to śpiew łabędzi ginącego zwierza. Bek taki jest długi i żałosny, a wydaje go bawół tylko w chwili, gdy padł pod strzałem i już podnieść się nie może.

Staliśmy tak jeszcze kilka minut, ale już beku nie usłyszeliśmy więcej.

Namondi z pieśnią na ustach wyskakiwał po drodze i zachęcał innych do śpiewu. I wnet zaintonowali jakiś marsz triumfalny, w którym słyszałem nieustannie: Muzungu, Namondi i Niati. Prawdopodobnie ja, tropiciel i bawoły byliśmy bohaterami tej improwizacji.

Gdyśmy stanęli w obozie, było już całkiem ciemno. Ludzie rozweselili się nowiną o bawole, a to dlatego, że jutro będzie „kisawi“.

Około północy obudziły mnie dalekie grzmoty. Dziwiłem się, dlaczego grzmi, gdyż niebo było gwiaździste i ani jednej chmurki na widnokręgu. Zaledwie jednak usnąłem, zagrzmiało znowu i deszcz lunął jak z cebra. Przekonałem się, że nie grzmiało bez przyczyny.

Wobec strasznej zlewy oraz ciemności, powstałej przez zagaszenie ognisk, trudno było nawet pomyśleć o jakiemś narazie schronieniu. Ludzie rozproszyli się we wszystkie strony, ja sam, wlazłszy w „fumbę“ [1]) i schowawszy tam

[1]) Fumba = mata w kształcie worka.

także karabiny z nabojami, oczekiwałem świtu. Z brzaskiem ucichła burza, a niebo uśmiechnęło się znowu do nas wróżbą stałej pogody. Ludzie, którzy resztę nocy przepędzili pod skałami wąwozu, suszyli się teraz przy ognisku, rozprawiając wesoło o mającej nastąpić uczcie, tak byli przekonani, że bawół został na placu boju.

Nie zawiedli się. Gdyśmy się znaleźli w trzcinach i po stratowanym trakcie postąpiliśmy w głąb moczaru, zobaczyliśmy obfite ślady krwi, po których maszerując, natrafiliśmy na wczorajszą zdobycz.

Była to zabita przeze mnie krowa. Bawół, do którego strzelał Namondi, został również raniony, ale że niewiele farbował, a trop jego wkrótce się zatarł, pozostawiliśmy go jego losowi. Narazie mięso z jednej sztuki wystarczyło zupełnie.

Przy sekcji sam asystowałem. Pilno mi było przekonać się, jakie spustoszenie zrobiła kula z ósemki, ważąca 120 gramów. Znaleziono ją w dole brzusznym, dokąd się ześlizgnęła po przebiciu łopatki, żebra i płuc. Ślady gwintu zachowały się na niej doskonale, więc wątpić nie mogłem, że wyszła z mojej lufy, a chodziło mi bardzo o tę pewność, gdyż był to pierwszy bawół, przeze mnie zabity.

Zaasekurowawszy ozór i polędwicę dla swojego stołu, ogon zaś jako trofeum (czaszki i rogów bowiem dla znacznego ciężaru zabrać nie mogłem), wróciłem do obozu, zostawiając czarnym dalszą robotę, do której się wzięli z chciwością zgłodniałych hien. Zdaleka jeszcze dochodziły mnie ich namiętne krzyki, śpiewy i klaskania w dłonie.

Z bawoła nie pozostało nic oprócz szkieletu. Wszystko mięso zniesiono do „msasy“, a reszta dnia zeszła na krajaniu połci i suszeniu.

Bawolina niezwykle musi smakować moim Kafrom, bo jedzą bez przerwy, śmieją się i dowcipkują. Ja tylko nie mogę jej strawić i pozostaję nadal na herbacianej diecie. Pozostało mi wprawdzie jeszcze nieco kakao, ale zwilgot-

niało, a małe mróweczki, zrozumiawszy, iż niebardzo dbam o ten artykuł, umieściły się w niem na stałe. Wychudłem też ogromnie w tych ostatnich dniach. Mogę śmiało powiedzieć, że niema na mnie nic tłuszczu. Skóra, kości i muskuły — to moja osoba.

I znowu jeden dzień przeszedł niepostrzeżenie bez żadnej przygody. Maszerowaliśmy od świtu do wieczora, zanim doszliśmy do równin, a stamtąd do Lisungwe. Czarni, którzy pozostali we wsi, usłyszawszy śpiew moich ludzi, wybiegli nad rzekę, aby powitać swoich i ulżyć im ciężaru, biorąc ich pakunki na swoje głowy. Antonio z niekłamaną radością przyjmował mnie u wejścia do wsi, obawiał się bowiem o nas, gdyż słyszał iż „Mawiti“ [1]) są na wycieczce zbójeckiej i mogą na nas napaść w tych odludnych miejscach.

Zmęczony i głodny ledwie miałem czas na rozbicie namiotu, gdy lunął znowu gwałtowny deszcz i trwał do północy. Hieny, zwabione mięsem, które nasi przynieśli, kręciły się dokoła i wyły tak przeraźliwie, jakgdyby cała ich kolonja na ten koncert się zebrała. Pomagał im i lew w tej serenadzie, tylko potężny ten władca nie mieszał się w tłum służalców i trzymał się w przyzwoitej odległości od naszego obozu.

Gdy zaświtało, kazałem zbierać manatki; idziemy zpowrotem do Blantyre. Spieszy mi się do domu, bo chciałbym jak najprędzej zebrać nową karawanę — i iść nad dolną Szirę.

Pakunki nasze zmniejszyły się nie do poznania. Co było jadalnego, zjadło się w ciągu miesiąca, z perkali zaś i paciorków została ledwie połowa skutkiem hojności mego administratora Antonia. Mogliby się z tego cieszyć tragarze, gdyby im nie przyszła ochota objuczyć się mięsem, które pakują do koszów, lub umocowują na wierzchu tobołków. Ale trudno im odmówić tej satysfakcji, zwłaszcza, gdy twier-

[1]) Mawiti = Zulusi.

dzą sami, iż jadło wcale nie cięży i nie utrudnia nigdy pochodu. Może mają rację?...

Drogę ku Szirze mamy równą i wychodzoną, ale od promieni słońca jest rozpalona jak żelazo.

Skaczą tedy moi murzyni to w bok, to naprzód, stosownie do tego, gdzie zoczą jaką kępkę niedopalonych traw, na której mogą choć na chwilkę ochłodzić poparzone podeszwy.

Niebo cudownie pogodne. Ani jedna chmurka nie zasłania ciemnego błękitu. Tysiące świerszczy napełnia powietrze dziwnem jakiemś drganiem, które nas głuszy i pozostawia przez czas dłuższy w uszach nieprzyjemny szum. Ku południowi spieka się zwiększa i staje się niemożliwą. Jakaś ciężkość zawisła w powietrzu, co uwidocznia się w fizjognomjach tragarzy, którzy pomimo pewności, że wkrótce do rzeki się dostaną, są posępni i milczący. Nawet zwierzyna, przebiegająca nam drogę, zdaje się patrzeć na nas okiem znużenia.

Dopiero kiedy od rzeki zawiał wiatr, ocuciła się gromadka. Rozpoczęły się znowu gadania, dowcipy i śpiewy. Około czwartej stanęliśmy nad brzegiem Sziry.

Znaleźliśmy się tuż obok wodospadów Murchisona, naprzeciw wyspy, na której nam wypadnie zanocować. Huk wodospadów jest imponujący. Wszędzie czuć wilgoć; powietrze chłodne i orzeźwiające.

Tutejsi mieszkańcy, którzy w chwili naszego przybycia zastawiali po tej stronie więcierze, zabrali nas z sobą na wyspę w dwóch łodziach. Tam znaleźliśmy gościnne przyjęcie, a „mfumo“ [1]) wioski obdarzył nas podarunkiem, składającym się z ogromnego garnka piwa, dwóch koszów mąki i całego stosu trzciny cukrowej, na co ludzie moi natychmiast się rzucili. Dobroduszny ten człeczyna chciał tym sposobem zaskarbić sobie łaskę „muzunga“ — i dopiął celu.

---

[1]) Mfumo = naczelnik.

Wyłudził też ode mnie mnóstwo rzeczy: pół baryłki prochu, kapsle i kule, oraz wiele innych drobnostek. Hojność jego opłaciła mu się sowicie.

Spałem pod gołem niebem pośród chat i ogrodów. Huk wody, który mi się wydawał we dnie potężnym, był w nocy wprost zatrważający. W ciszy nocnej grzmot następował po grzmocie, mieszając się z szumem i rykiem rozbitych bałwanów. Wyspa drżała w swoich posadach; zdawało się, że lada chwila usunie się z miejsca i polecimy z nią razem w przepaść wodną.

Nic dziwnego, że wśród takiego hałasu i drżenia ziemi, które się także i moim nerwom udzielało, długo zasnąć nie mogłem, a gdym się na chwilę zdrzemnął, budziłem się natychmiast. Wkońcu i oczom się znudziło i nie skleiły się więcej. Czuwałem zatem, leżąc na pościeli, i oczekiwałem ranka. Rozważałem, jak się dostaniemy na ląd, gdyż przeprawa, na jaką się zanosiło, wcale nie była bezpieczną. Między wyspą a lewym brzegiem rzeki sterczy z dna mnóstwo skał, prąd zaś jest bardzo silny i dla tutejszych łódek, prawdziwych łupin z drzewa, lawirowanie pośród tych przeszkód nie należy do przedsięwzięć łatwych. Łódka, zahaczywszy się o skałę, może się wywrócić, porwana zaś prądem poza wyspę poleci z pasażerami w otchłań wodospadu.

Zaświtało. Trzeba było wstawać, gdyż „ulendo“ moje było już u brzegu i czekało na przewoźników. Ja sam miałem przejechać ostatni, chciałem bowiem widzieć wszystkich ludzi moich po drugiej stronie i nie czekać na nich. Pilnując tedy, aby który nie pozostał we wsi, chodziłem pomiędzy chatami i po ogrodach, przyczem mogłem podziwiać piękne położenie tej wysepki.

Uroczy to zakątek; z jednej strony, którędy droga wiedzie do Blantyre, wznoszą się góry o lekkiej pochyłości z gajami, dolinami i skalnemi urwiskami, a wszystko to razem leży jak w ramach, ogrodzone pasmami lasów, które ciągną się po bokach gór. Z drugiej strony ogromne drzewa

osłaniają brzeg zielenią rozłożystych koron, a rzucając cień na wodę, malują jej powierzchnię najpiękniejszą barwą szmaragdu. Od południowego cypla wysepki wrzynają się ostre skały w koryto i sterczą nagiemi konturami ponad fale, podczas gdy północna jej część jest schowana w gąszczu bananów, mandioku i innej roślinności.

Środek wyspy tworzy małe wzniesienie. Tu stoją rozrzucone dość niedbałej konstrukcji chaty Kafrów. Rosną tu także dwa ogromne baobaby, jedyne okazy, pozbawione liści, tutejsza bowiem flora, dzięki ustawicznej wilgoci, tworzącej się z rozbicia wód, zawsze jest w zieleni. Jak mnie mieszkańcy wyspy zapewniali, kukuruza dojrzewa tu trzy razy do roku.

Tutejsze wodospady, które się ciągną kilka kilometrów, i tworzą liczne, mniejsze i większe katarakty, zwą się w języku Mangandżów „matiti“. Słowo to oznacza spadek wody w ogólności, tutaj zaś rozciągnięto tę nazwę na kraj po obu brzegach leżący. Spady te zwiedzane były po raz pierwszy przez Livingstona w roku 1859. Największą kataraktę ochrzcił mianem „Murchisonfalls“ na pamiątkę protektora ówczesnej wyprawy, Sir Murchisona.

Znajduje się ona tuż za wyspą. Ogromne bloki granitów, zwalone w nieładzie, przegradzają koryto i z pomiędzy nich Szira wyrywa się w gwałtownym pędzie kilku strumieniami. Z hukiem spada woda na pierwsze stopnie, i rozbiwszy się tu o rozliczne nierówności, spieniona i szumiąca goni po dnie pochyłem do dolnego koryta.

Wieczna mgła z grubych perełek wypełnia powietrze. Służą one za pryzmat promieniom słońca, które padając na nie, łamią się w różnobarwny łuk tuż ponad skałami. Koryto rzeki, już i tak wąskie, wydaje się jakgdyby ściśnięte gęstą wegetacją na obu brzegach. Wspaniałe drzewa chylą się nad wodę, a liany i inne wijące się rośliny — spadają w długich festonach z kwiatów i zieleni. Tu dziki daktyl, pierzastym liściem wabi oko, tam porywa wysmukła palma

„borassus“, wystrzeliwszy bujną koroną wysoko ponad inne drzewa.

Ponieważ ryb jest mnóstwo, więc i ptactwo wodne widzisz wszędzie. Siedzi ono po skałach i gałęziach, pluszcze się w wodzie lub trzepocze nad jej zwierciadłem. Górą szybują ogromne rybitwy ze śnieżną piersią, dołem ciągną kormorany i wężogłowy o cienkich szyjkach, a małe zimorodki o upierzeniu szafirowem, z dzióbkiem jak krwawnik, siedzące na zwieszających się nad wodą gałązkach, z chciwością wypatrują żeru w głębinie.

Hipopotamów tylko nie widać, ale głosy ich słychać zdaleka. Znajdują się one powyżej wyspy, gdzie rzeka jest szersza, a prąd słabszy. Żałosnym basem odzywają się jeden za drugim, jakgdyby chciały pożegnać nasze „ulendo“, które właśnie opuszcza brzeg rzeki, aby wejść na ścieżkę, wiodącą w góry.

Nadszedł ostatni dzień naszej podróży; wieczorem staniemy w Blantyre.

Ludzie moi ogromnie się cieszą z powrotu do domów, ale przyznać trzeba, że trudy tej wyprawy odbiły się na nich aż nadto widocznie. Ciała wychudły, policzki pozapadały się, a żebra sterczą z pod lśniącej skóry. Są jednak zdrowi. Oczy im się świecą ochotą, a że niosą sporo mięsa suszonego, są weseli i krzykliwi. Uśmiecha im się życie, jakie ich czeka przy rodzinie lub żonach, i w mowach ich słyszy się często wyrazy: „mamanga, baryjanga, mkazanga“, co oznacza: moja matka, mój brat, moja dziewczyna. Stosunki rodzinne zatem nie są im obojętne; dowód, że i oni kochać zdolni.

Wieczór był, gdyśmy ujrzeli domki misyjne w Blantyre. Słońce już zaszło i tylko czerwona linja na zachodzie oświecała niepewnem światłem szczyty lasów i gór. Gwar powracających z plantacyj Kafrów dolatywał zdaleka, a w alei, wiodącej do wsi, powitały nas psy głośnem szczekaniem. Im bliżej chat, tem większy hałas. Tu gwarzą lub kłócą się

przed domami, tam śpiewają i klaszczą w dłonie, ówdzie biją w bębny i tańczą zapamiętale. Słychać też od czasu do czasu wystrzał karabinowy; to oznaka najwyższej uciechy.

Stanąłem wreszcie u wrót mego domostwa. W tej chwili odezwał się dzwonek z kaplicy misyjnej, wzywający pobożnych na modlitwy wieczorne. Głos ten, który tyle razy przedtem słyszałem, a nigdy nań szczególniejszej nie zwracałem uwagi, wydał mi się teraz nadzwyczaj wdzięczny i przyjemny. Po tylu dniach, przeżytych w puszczy, był zwiastunem wypoczynku, pozdrowieniem cywilizacji. Przypominał mi, że mieszkają tu ludzie, pokrewnej mi rasy, idej i zwyczajów, i że pośród nich będę mógł znowu zakosztować przyjemności życia europejskiego.

CZĘŚĆ III.

NA STEPIE I W DŻUNGLI.

1. PRZYGOTOWANIA DO WYPRAWY.

W Blantyre i najbliższej okolicy budują czarni domy czworoboczne o dość wysokich ścianach, co widocznie przejęli od Europejczyków, tu osiadłych. Jest tu nawet kilku dobrych cieśli tubylców, którzy podejmują się budowy tymczasowych domów dla białych, oczywiście, jeśli wymagania tych ostatnich co do stylu nie są zbyt wygórowane.

Taki dom, tylko trochę obszerniejszy, kazałem sobie wybudować, idąc nad górną Szirę, a teraz po powrocie objąłem go w posiadanie.

Ścianka bambusowa dzieliła dom na dwie nierówne części, z których jedna służyć miała za sypialnię, druga za skład towarów zamiennych i różnych bagaży.

Ogromny okap ze spadającej strzechy tworzył dokoła przestronną werandę i dawał doskonałe schronisko w czasie największych upałów; służyła mi ona również za jadalnię, oraz za salę recepcyjną w razie potrzeby.

Dla pomieszczenia kuchni i służby wystawiono dwa podobne domki tuż obok.

Zagroda moja oddalona była o pięćset kroków od stacji misyjnej i tyleż od zabudowań Towarzystwa African Lakes Co na miejscu, gdzie jeszcze przed dwoma miesiącami porastał dziewiczy las. Z dawnej gmatwaniny drzew i krzewów pozostawiono tylko kilka okazalszych drzew „masuku [1])“,

[1]) Msuku, pl. Masuku = Uapaca Kirkiana.

przez co powstała kilkumorgowa świetlista polana, dająca widok na górę Ndirandi i na domy African Lakes Co, leżące po drugiej stronie głębokiego jaru.

Niski płot bambusowy w rodzaju sztachet otaczał całą zagrodę i jasnym swym kolorem wdzięcznie odbijał od zielonego tła gęstego lasu.

Rozpuściwszy do domów tragarzy i strzelców i mając własny dach nad głową, mogłem dopiero teraz pomyśleć o wypoczynku i leczeniu ran, jakie sobie z ostatniej wyprawy przyniosłem.

Wyciągnięty w hamaku, z prześliczną panoramą na otaczające góry i lasy, i przy możliwej, jak na tę porę, temperaturze, spędzałem całe dnie na czytaniu listów i gazet, jakie tu dla mnie z ojczyzny w tym czasie nadeszły.

Kilka numerów warszawskiego „Wędrowca“ oraz kilkanaście numerów „Słowa Polskiego“, jakkolwiek z datą z przed trzech miesięcy, stanowiły lekturę tak łakomą, że tylko głód, lub sen niezmożony mogły mię oderwać od tego zajęcia.

Potem przychodziła kolej na pisanie listów. Czynność ta już jest mniej w Afryce uprawiana i mniej lubiana. I nie należy dziwić się, gdyż z nią połączone jest ciągłe ocieranie pocącej się ręki i opędzanie się muchom, które z wielką sumiennością kontrolują piszącego, robiąc swoje poprawki na liście.

Dokuczliwe ranki, spowodowane ostremi trawami, poczęły się goić. Wpłynęła na to bezsprzecznie i zmiana trybu życia, a przedewszystkiem wypoczynek i jadło o większej ilości jarzyn i owoców. Twierdzą wprawdzie starzy „Afrykanderzy“, że tego rodzaju jątrzące się ranki są naturalnym odpływem złej krwi i chronią od nowych ataków malarji, nie mniej jednak są niebezpieczne, szczególnie w czasie pochodów, gdyż jakie takie zanieczyszczenie może sprowadzić zakażenie wcale poważnej natury.

Ludzi z wybrzeża zająłem robotą dokoła obejścia. Ro-

biono ścieżki i klomby, sadzono banany i ananasy, oraz przygotowywano kilka grządek pod sadzonki kawy, których mi obiecali dostarczyć misjonarze.

Najwięcej czasu zabierały przygotowania do nowej wyprawy łowieckiej.

Przy pomocy jednak moich Mazarczyków w ciągu kilku dni przygotowałem większą część tobołków. Towary zamienne odpowiednio posortowane, zaszywano w skrawki mat, a następnie sam je znaczyłem numerami, spisując w notatce zawartość każdego pakunku, aby je później rozdać pomiędzy tragarzy, pod temi numerami zapisanych.

Wyprawa miała trwać conajmniej dwa miesiące i z tego względu, oraz ze względu na konieczność odwiedzenia Malauriego, od którego należało uzyskać pozwolenie polowania na słonie, musiałem tym razem zabrać ze sobą więcej strzelb i grubego prochu na opłacenie się temu królikowi, gdyż żadna transakcja, gdy chodzi o kość słoniową, bez tych artykułów się nie powiedzie.

Jest zwyczaj w kraju Makololów, że jeden kieł ubitego słonia zwraca się królikowi, t. zw. „kieł dolny“ albo „gruntowy“. Ponieważ nie znają prywatnej własności ziemskiej, wszystka ziemia z tem, co się na niej znajduje, należy do króla, więc i część mięsa i kieł zabitego zwierza, które z gruntem się stykają, są jego własnością.

Od myśliwego Europejczyka rzadko kiedy żąda królik zwrotu „kła dolnego“, tem mniej oddania mu części mięsa, którego tu mają poddostatkiem. Wymaga jednak zgodnie z prawem, by mu go okazano i odpowiednio zań zapłacono.

Od fantazji takiego władcy zależy, co ci za ten kieł zaśpiewa. Jeśliś mu w czem uchybił, to miej się, Europejczyku, na ostrożności, bo wtedy wymagania jego będą tak wygórowane, że chętniebyś z tego trofeum zrezygnował, gdyby nie obawa wywołania zatargu, który mógłby się dla ciebie skończyć najfatalniej.

Dlatego każdy biały, polujący w tym kraju, stara się

usposobić dla siebie królika jak najlepiej, bo, mając jego względy, może bez obawy podróżować i polować w całem jego dominjum.

Pomyliłby się jednak ten, któryby się chciał od zaspokojenia żądań królewskich uchylić, lub w ten czy inny sposób go oszukać. Policja tutejsza jest nadzwyczaj czujna. Zanim dostałeś się do rezydencji panującego, już cię oglądnęli ze wszystkich stron. Przeliczyli tobołki, które niesiesz ze sobą i rysiem okiem przeniknęli ich zawartość. Z chwilą twego ukazania się przed obliczem czarnego władcy, już ma on najdoskonalszy raport o twojej osobie, wie, z kim ma do czynienia i jak cię ma przyjąć.

Otaksowują cię z liczby ludzi, jakich masz w karawanie i ilości towarów zamiennych, przedstawiających tu monetę obiegową. To legitymacja twego znaczenia i zamożności.

Najważniejszą, zarazem najtrudniejszą sprawę — zebranie tragarzy zostawiłem na sam koniec. Nieostrożność nie do darowania. Nadto Antonio ulotnił mi się w ostatnich dniach i, jak mówiono, załatwiał ze swym teściem dawny spór o oddanie mu żony. Bez niego nie mogłem liczyć na dobre rezultaty werbunkowe, gdyż reszta Mazarczyków, jako mało tu znani, nie mieli wielkiej powagi pośród Mangandżów. Nie posiadali też tej, co Antonio, wymowy, środka pierwszorzędnego, aby Kafra zachęcić do dłuższej i bądź co bądź ryzykownej wyprawy. Pora również była już nieco spóźniona, zbliżał się bowiem okres robót polnych, a w tym czasie tutejszy mieszkaniec nierad się z domu rusza.

Antonio więc był nie do zastąpienia. Sam kilka razy słyszałem jego przemówień, w których Muzunga swego przedstawiał w oświetleniu wprost imponującem. Już samo uczestnictwo w wyprawie pod komendą Muzunga, każdemu zaszczyt przynosić musiało, a co dopiero mówić o korzyściach i przyjemnościach, jakie tam czekały najmarniejszego nawet tragarza.

Koloryzował jak najwprawniejszy agitator. Widocznie i w Afryce argumenty tego rodzaju trafiają najlepiej do przekonania bezkrytycznych nieboraków.

Zjawił się Antonio dopiero po tygodniu nieobecności, zbiedzony i niepewny siebie.

Nawymyślawszy mu od „niewolników“, dałem się jakoby przebłagać i darowałem winę.

Otrzymał kilka sztuk perkalu na zadatki dla tragarzy i rozkaz, aby ludzi przyprowadził za kilka dni. Bez nich nie miał się pokazywać w Blantyre.

Podczas nieobecności Antonia złożyłem wizytę tutejszym misjonarzom. Pewnego dnia byłem u dra Scotta, przełożonego stacji misyjnej, drugiego, na popołudniowej herbatce u lekarza misyjnego, dra Bowie. Jednemu i drugiemu należało podziękować za okazaną mi pomoc w czasie choroby, zaś pani B. za wyborną marmeladę z tutejszego agrestu, jaki mi wówczas przysłała.

Z wizyt tych wyniosłem jak najmilsze wspomnienie. Poznałem ludzi nietylko wysoko wykształconych, ale także dżentlemenów w każdym calu. Poznałem również obie gospodynie domu, miłe i uprzejme, a choć może nie tak gościnne (przesadnie), jak to u nas często bywa, ale umiejące gościowi pobyt pod ich dachem uprzyjemnić w sposób bardzo zręczny.

W ich przyjemnem towarzystwie zwiedziłem całą stację misyjną.

Jest to poprostu miniaturowe miasteczko, położone wśród olbrzymiego parku, może czterdziestomorgowego.

Przed laty rósł tu gęsty las, po którym zostały tylko nieliczne wysokie drzewa; zresztą wszystko ręką ludzką sadzone. A więc z flory miejscowej — pewne gatunki palm, agawy, rododendrony i draceny, następnie drzewa i krzewy europejskie, między któremi mile witasz naszą — choć nieco karłowatą — sosnę. Dalej piękne, a co więcej użyteczne drzewa Indyj, Australji i Ameryki, między któremi

imponują olbrzymie, jak na ich wiek, eukaliptusy, mające posiadać właściwości antyfebryczne.

Poza tem wszędzie mnóstwo kwiatów: na klombach, koło domków i wzdłuż małego sztucznego strumyka, który, płynąc tędy, dostarcza wody do picia i irygacji.

W samym środku parku obszerny plac; kończyli tam właśnie budowę świątyni, która już jest pod dachem. Budową kieruje sam dr. Scott przy pomocy dwóch zawodowych rzemieślników, będących równocześnie nauczycielami rzemiosł dla tubylców.

Dzięki uprzejmości dra S. obejrzałem tę — bądź co bądź — wspaniałą budowlę. Dr. S. objaśniał mi szczegóły, kładąc nacisk na to, co dokonane zostało wyłącznie rękami czarnych. Chwalił ich zręczność w ręcznej pracy.

Ale wracam jeszcze do domów mieszkalnych. Są one wszystkie z niepalonej cegły i kryte słomą, a jednak zasługują na specjalną wzmiankę.

Przedewszystkiem są obszerne i na wysokiem podmurowaniu z palonej cegły, z przestronną werandą z frontu. Okna wielkie oszklone i takież drzwi, więc mimo cienistej werandy wpuszczają dużo światła do wnętrza, przez co pokoje są jasne i suche.

Wejście frontowe prowadzi do obszernego hall'u, który jest równocześnie pokojem bawialnym i jadalnym, stąd przez drzwi po obu stronach wejście do pokoi dalszych. W hall'u są wszędzie kominki nietyle, może, ze względu na zimno, jak raczej ze względu na wilgoć w porze deszczowej.

Kuchnie są od podwórka w osobnej przybudówce. Umeblowanie, które nazwałbym podzwrotnikowo hotelowem, dostosowane do wygód w tym klimacie. Co najbardziej jednak może nowego przybysza zadziwić, to mebel, jakiego w tej puszczy nie spodziewał się zobaczyć — pianino. Takie pianino znalazłem w domu dra Bowie. Pani domu odegrała na nim, na intencję gościa Polaka, mazurek Szopena.

W każdym domu znajdzie się pełno książek, gazet i pism perjodycznych, czasami też niezgorsza bibljoteczka. Na to mogą sobie pozwolić tylko Anglicy, jako naród bardzo bogaty. Dbając o tych, których wysyłają w dalekie a niezdrowe kraje, starają się uczynić im pobyt w tych krajach znośnym i możliwie najbardziej zbliżonym do życia w ojczyźnie.

W jak zupełnie jednak odmiennych warunkach pracują katoliccy misjonarze nad Zambezą.

Rząd portugalski, na którego terytorjach pozostają oo. jezuici, nie daje im żadnego poparcia. Lud, wśród którego głoszą słowo Boże, jest zepsuty przez zetknięcie się z kolonistami portugalskimi i z przestępcami wszelkiego rodzaju, wysiedlonymi tu z Europy dla odpokutowania ciężkiej nieraz winy.

Nadto misjonarze ci żyją więcej niż skromnie i dla braku funduszów nie mogą się otoczyć takiemi wygodami, jakie są konieczne w tym klimacie. Często zbywa im na najniezbędniejszych lekarstwach i pomocy lekarskiej, skutkiem czego łatwiej ulegają tutejszym chorobom. Od czasu mego przybycia nad Zambezę zmarło też kilku członków Zgromadzenia oo. jezuitów, między nimi Polak o. Gabrjel. Kilku innych, rozchorowawszy się ciężko, ledwo z życiem uszło, wróciwszy do Europy.

Na pochwałę jednak tych ludzi, pełnych poświęcenia, powiedzieć można, że godnie reprezentują kościół, żyjąc tu niejako życiem pierwszych apostołów chrześcijaństwa.

* * *

Braki w zapasach żywności, uzupełniłem dość łatwo, gdyż magazyny Towarzystwa A. L. Co posiadały niemal wszystko, co Europejczykowi potrzebne być może do wyprawy w głąb kraju. Nabyłem tam bardzo dobre konserwy znanych firm angielskich, suchary, herbatę, kawę i tytoń — po cenach stosunkowo dość niskich.

Tak przygotowany — oczekiwałem tylko zjawienia się tragarzy, by ruszyć w drogę.

Niestety — minął tydzień, nów nadchodził, a mój kapitan nie powracał.

Zacząłem się nie na żarty niepokoić.

Jeśli Antonio nie potrafił dotychczas zebrać potrzebnej liczby ludzi, to później — za dwa lub trzy tygodnie — tem mniej mu się to powiedzie. Na nowiu zwykł murzyn rozpoczynać wszelkie swoje większe przedsięwzięcia. Gdy na dłuższą ma iść wyprawę, bezwzględnie czeka ukazania się rożków nowego księżyca. I słusznie. Gdy bowiem nowy księżyc wskaże na pogodę, czyli jak tu określają „wypłócze się“, to spodziewać się można pogody na czas dłuższy, przy stałej zaś pogodzie korzysta się ze światła księżycowego, które dla nocujących przeważnie w odludnych miejscach bardzo jest pożądane. Przy najmarniejszem bowiem oświetleniu księżycowem drapieżce nie mają odwagi nachodzić na obóz, a także nieprzyjacielskie plemiona w noce takie napadów nie urządzają.

* * *

Przyszła niedziela — co robić? Dzień ten nie nadaje się do składania wizyt prawowiernym z „free church“ [1]) (fri czercz). Poza domem żadnego Szkota w tym dniu nie przyłapiesz, do rozmyślań zaś nabożnych w guście metodystów nie czułem ochoty. Nie wypadało także brać się do jakiejkolwiek, choćby najlżejszej roboty, ze względu na zwyczaje miejscowe — a o książkę nie postarałem się przedtem, będąc pewny, że lada dzień znajdę się już w drodze.

Pozostawała wiec jedyna możliwość zetknięcia się z białymi — pójść na ich nabożeństwo.

Tak też uczyniłem.

Gdym na odgłos dzwonka zjawił się w alei eukaliptusowej, która wiodła do parku misyjnego, ujrzałem już zda-

[1]) Free church = wolny kościół.

leka zgromadzoną kongregację przed tymczasową kapliczką — dziesięć czy dwanaście osób.

Ale czy mię oczy nie mylą?... Wszyscy w czarnych strojach — dziś, przy co najmniej + 35° C w cieniu!...

Czyżby jakie nabożeństwo żałobne?...

Tylko ja, jedyny reprezentant kontynentu europejskiego, na biało...

Wchodzę między nich onieśmielony, witam się ze znajomymi, nieznajomym się przedstawiam, mruknąwszy swoje nazwisko, którego pewnie żaden powtórzyćby nie zdołał — i staję na boku, bo nikt do mnie się nie odzywa.

Milczą zapamiętale i z namaszczeniem. Kogoś oczekują.

Milczę i ja. Sztywność dochodzi do punktu, w którymby mogła rtęć zamarznąć.

— Co, u licha — myślę — stało się z tymi ludźmi? Czyżby taka rezerwa w mówieniu i te czarne kostjumy należały do rytuału kościoła szkockiego?

W tej chwili zjawił się „reverend", jak tu zwą księdza kościoła reformowanego.

Pobożni zaczęli wchodzić do kaplicy, a ja za nimi, śledząc pilnie przede mną idących, aby robić to, co oni.

Wszedłszy do środka, zająłem zaraz miejsce w jednej z ławek po lewej stronie obok jakiegoś, bardzo sympatycznie wyglądającego Szkota.

Gdy spostrzegł, że jestem bez książki, podsunął mi jeden z leżących tam egzemplarzy — ogromnych rozmiarów „hymn-book" [1]) (himn-buk).

Gdybym się nie obawiał, że wywołam zgorszenie, byłbym zapytał:

— Mój panie, czy chcesz, abym jako gość śpiewał pierwszy? Pewnie nie wiesz, że ja na waszych hymnach nic a nic się nie rozumiem.

Ale oto weszły panie.

---

[1]) Hymn-book = śpiewnik.

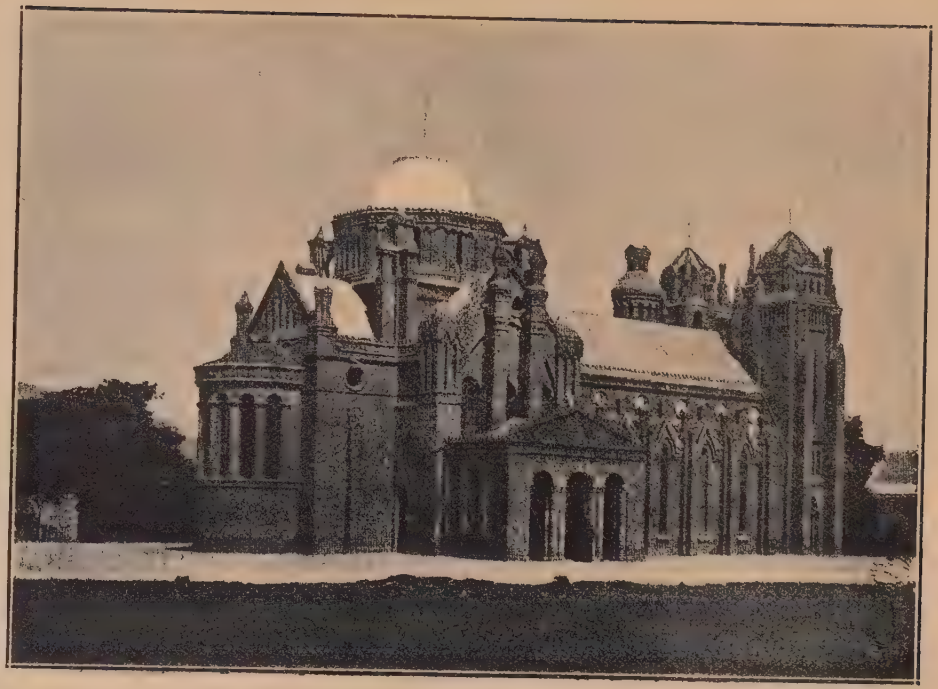

Kościół misji szkockiej w Blantyre (po ukończeniu).

Cicho, jak cienie, przesunęły się między dwoma rzędami ławek i zajęły przednie miejsca po prawej stronie.

Z pośród mych sąsiadów nikt głowy nie podniósł, ani okiem nie powiódł w tamtą stronę.

Tylko ja, największy widać grzesznik, ukradkiem spoglądałem z poza książki (przecie mi się przydała), aby sprawdzić, kto to taki.

Cisza, że słychać wyraźnie brzęczenie much u wysokich okien...

Na wysokiem belkowaniu (sufitu nie było) spaceruje samotny szczur i ciekawie zgóry nam się przygląda...

Wtem jakiś szmer silniejszy zamącił niebiański spokój zgromadzonych. Mężczyźni poobracali się z oburzeniem.

A to tylko wchodzili czarni bracia i siostrzyczki — i w nieświadomości swej zanadto hałaśliwie wpychali się do tylnych ławek.

Trwało to jednak bardzo krótko. Naśladując białych zatopili i oni swe czarne fizjognomje w niemniej czarnych dłoniach.

Powietrze zaczyna być duszne. Czuć woń potu, tłuszczów i jakiegoś korzenia, które w formie paciorków nosi tutejsza czarna płeć piękna.

Jedna z pań przytulała do nosa flaszeczkę z solą trzeźwiącą...

Ale „reverend“ już przy pulpicie — nabożeństwo się zaczęło.

Modlitwa, śpiewanie hymnów unisono, cytat z pisma świętego i kazanie — oto treść godzinnego nabożeństwa.

Do śpiewu akompaniował sam dr. Scott na doskonałych organkach.

Z wszystkiego tego najbardziej wymownie przemówiła do mnie muzyka. Trzy przeszło lata nie słyszałem tej mowy, która mimo różnice religijne i rasowe tak trafia wprost do serca.

Tu na odludziu, gdzie nocą za płotem spaceruje lew i pantera, a słoń do niedawna temu zaglądał do ogrodów

misyjnych, słyszeć poważne tony organów — to przecież nie do uwierzenia.

A cóż dopiero powiedzieć, gdy nieoczekiwanie jeden z hymnów rozbrzmiewa tonami naszego chorału „Z dymem pożarów"?...

Wpadłem w dziwny nastrój. Chwilami zdawało mi się, że ta strzecha, co ją widzę nad sobą, to nasza poczciwa strzecha, a ci obok ludzie — to swoi z kraju. I nie żałowałem, że przyszedłem na to nabożeństwo, jakkolwiek z formy dla mnie tak obce i od naszych nabożeństw odmienne.

Jeżeli muzyka poważna podnosi ducha i działa kojąco na umysły, chociażby tylko trochę wrażliwe, to w głębi Afryki dla Europejczyka, żyjącego życiem prawie dzikiem, jest nadzwyczajnem dobrodziejstwem.

Doskonale to zrozumieli tutejsi misjonarze, skoro mimo nadzwyczajnych trudności w transportowaniu takiego mebla przez góry i bezdroża — (a dzieje się to wyłącznie na karkach murzyńskich) — zaraz w początkach swej cywilizatorskiej działalności instrument ten w te odległe sprowadzili krainy.

Wnet jednak przyszło otrzeźwienie.

Po krótkiej dziękczynnej modlitwie, odmawianej w głos przez wszystkich obecnych, opuszczając kapliczkę, zapragnąłem jak najrychlej wydobyć się z pośród tego zgromadzenia, gdzie czułem się odosobnionym i jeden z pierwszych zerwałem się do wyjścia.

W tym samym czasie cała fala czarnych wypłynęła nazewnątrz.

Kilkudziesięciu chłopców i dziewcząt, a byli to przeważnie wychowankowie i służba tutejszej misji, stłoczyła się dokoła mnie.

Chłopcy, ubrani w bawełniane białe ubrania, niektórzy w długie czarne surduty, darowane im przez ich panów, do tego obuci, wyglądali ciężko i niezgrabnie. Dziewczęta w długich białych prześcieradełkach, spiętych na piersiach

i przepasanych niebieską lub czerwoną szarfą, o wiele lepiej się prezentowały.

W powrotnej drodze aleją eukaliptusową zastanawiałem się, kim byli nieznani mi bliżej Anglosasi, małomowni, sztywni i wogóle nie zdradzający żadnego zainteresowania się białym gościem, który — chociażby z religijnego punktu widzenia — był dla nich takim samym „bratem“, jak i czarni bracia z nabożeństwa.

Przed domem zastałem tragarzy.

Antonio z miną triumfatora ustawił ich w rząd przed wejściem do zagrody, jakby kompanję honorową, przed którą należało przedefilować. W każdym razie spełnił swe zadanie, a mnie zrobił niespodziankę bardzo przyjemną.

Czekała na mnie teraz nowa robota. Trzeba było tych ludzi pospisywać, ugodzić się co do wynagrodzenia — i poprzydzielać pakunki, przeznaczone na wyprawę.

Pomiędzy tą zgrają, pochodzącą z okolicznych wiosek, znalazły się imiona tak komiczne, że nietylko ja, ale i moi ludzie z wybrzeża przyjęli je wybuchem śmiechu.

I tak ogromnych rozmiarów chłopisko, przerastający o głowę swych towarzyszów — nazywał się „Ka-miendo“ t. j. „mała nóżka“, — drugi mały i wcale pękaty — „Ntembe-wa-nioka“, t. j. „skóra węża“, inny znów — „Nkumba“ najzwyklejsza „świnia“.

Byli i tacy, co do zwykłego swego miana dodawali przyczepkę „Czi“, wyśmiani jednak przez innych, pozostawali przy zwykłem imieniu.

A więc — zamiast „Czi-ntumbi“ — „wielka torba“, pozostał „Ntumbi“ t. j. — „torba“.

Trzeba bowiem wiedzieć, że w języku tutejszym przyczepka ta daje określenie czegoś wielkiego, a u Adżawów jest niejako znamieniem możnego i wpływowego rodu.

Różnice stanowe, mimo jednakowej nagości ich postaci, wychodziły na jaw.

W ten sposób skompletowałem „ulendo“ czyli karawanę.

Liczyła trzydzieści sześć głów, razem z ludźmi z Mazaro, Antonim i Kaniolem.

Gdy się mówi o głowach, liczba to niewielka, ale gdy się ma do czynienia z tyluż żołądkami — i to, nie byle jakiemi, to sprawić one mogą podróżnikowi niejeden kłopot i zmartwienie.

Licząc jak najskromniej — po półtora funta mąki lub ryżu na osobę dziennie, a to Kafrowi stanowczo nie wystarcza, gdy do tego nie dostanie odpowiedniej porcji mięsa, ryby lub jarzyn, wypadałoby na moje „ulendo“ przeszło pięćdziesiąt funtów na dzień, zatem na czas drogi do Dabani, którą obliczyłem na pięć dni, około trzystu funtów, czyli co najmniej pięć osobnych tobołów.

Mógłbym wprawdzie obdzielić wszystkich racjami na pięć dni i ponieśliby ten dodatek przy swoich tobołkach bez szemrania, ale kto zaręczyć może, że nie zjedzą tego w dwóch lub trzech dniach, a potem co robić? Głodni nie pójdą dalej, a na kupno w drodze niezawsze liczyć można.

Zajęty spisywaniem ludzi i przydzielaniem im pakunków, co do których powstawały rozmaite zastrzeżenia, bo ten był za gruby, tamten za długi, inny znowu za sztywny i uciskający, nie spostrzegłem się, gdy nadszedł wieczór.

I znowu dzwonek misyjny odezwał się w Blantyre.

W tej chwili głośne wołanie „good evening, Mr. P.“ (gud iwning mister P. — dobry wieczór, panie P.) doleciało od bramy.

— Kto tam? — pytałem skonfundowany, że mnie zastają przy robocie.

— To ja, Mr. P., przyszedłem zabrać pana z sobą do kościoła.

— Ależ, panie, już byłem dziś na nabożeństwie. Jutro wczas idę w drogę, więc mam jeszcze niejedno przygotować.

— Najlepsza sposobność! Jeśli jutro opuścić masz nasz zakątek, to przynajmniej dzisiejszy wieczór spędź z nami! Po nabożeństwie zbieramy się u plantatora p. B.

— A niedziela?

— Mój panie! Jeśli ja, jako Anglik z „high church“ (haj czercz — „wysoki“ kościół) mogę chodzić na nabożeństwa Szkotów z „free church“ (fri czercz — „wolny kościół“), a nawet uczestniczyć w ich zebraniach niedzielnych, co oni sami uważają za „shocking“ (szoking — nieprzyzwoite), to ty, jako Polak, zanadto chcesz być w tym względzie skrupulatny; zresztą po nabożeństwie to jakby po niedzieli...

Dałem się namówić; byłem na nabożeństwie wieczornem, a potem na herbatce u plantatora kawy p. B.

Ta wizyta pozwoliła mi poznać bliżej resztę męskich mieszkańców Blantyre — i to ze strony mniej oficjalnej. Byli gościnni, rozmowni a nawet dowcipni. Niktby nie przypuścił, że to ci sami ludzie z porannego nabożeństwa.

Czyżby wówczas te czarne ubrania usposabiały ich tak ponuro?... Bo, że byli poważniejsi od samego „reverenda“, zaprzeczyć się nie da.

2. OSOBLIWOŚCI AFRYKAŃSKIE.

Aby nie dopuścić do wymykania się ludzi do domów — a mają tam zawsze w ostatniej chwili coś do załatwienia — zarządziłem wymarsz z Blantyre, gdy tylko się rozwidniło. Na Namondiego i jego ludzi nie potrzebowałem czekać, bo mieli mię dogonić nad rzeką we wsi Katungi.

Nocowaliśmy w Mbewe, a następnego dnia około południa stanęliśmy w rezydencji „mfuma“ Katungi.

Tutaj wysiedziałem się już dawniej dni kilka, znałem więc każdy jej zakątek. Bez żadnego opowiadania się poprowadziłem „ulendo“ na główny plac, gdzie pod drzewem narad rozkazałem złożyć pakunki.

Zaraz na wstępie oznajmiono mi, że „mfumo“ bawi w Czilali, dokąd udał się z wielką świtą na uroczystość wyboru nowej głowy Makololów, podczas której miało się odbyć także zwyczajem wymagane picie „Moawi“.

Okoliczność ta nie była mi wcale na rękę. Przebąkiwano wprawdzie już dawniej w Plantyre, że po śmierci Kasisi'ego (który zmarł w czasie mej wyprawy nad górną Szirę) przystąpią Makololowie do wyboru jego następcy i że ceremonje pośmiertne w tym czasie się odbędą, ale wierzono także, że misjonarzom uda się ich odwieść od picia „Moawi", od tego obrzędu dzikiego i pełnego strasznych następstw.

Okazało się jednak, że zabobon i zwyczaj silniej przemawiał do umysłu Kafra, aniżeli wywody misjonarzy.

Obrzęd ten przechowuje się jeszcze w całej swej grozie pośród ludów dolnej Zambezy i Sziry i ma poniekąd znaczenie religijne.

Podróżując po tych krajach, słyszysz często, jak Kafrzy klną się na „Moawi", grożą niem swoim przeciwnikom, uważając akt picia tej trucizny za wyraz najwyższej sprawiedliwości, któremu każdy bez zastrzeżeń poddać się musi.

Wyrazu tego nie wymawiają inaczej, jak tylko przyciszonym głosem i zawsze z wielką czcią.

O obrzędzie tym wiedzą dotychczas biali bardzo mało. Szczegóły są utrzymywane przez ludność w wielkiej tajemnicy. Z tego, co tu i tam doszło do uszu Europejczyka, sądzićby należało, że picie „Moawi" ma to samo znaczenie, co ongiś u nas — sądy Boże. Aby dać zadośćuczynienie za czyn w ich oczach karygodny, należy albo opłacić się poszkodowanemu pewną sumą, albo oddać życie. Szczególnie za czary, skutkiem których jakoby osoba znaczniejsza poniosła śmierć, — bezwzględnie żądają krwi. Duch zmarłego („Muzimu") żąda takiego odkupienia, inaczej nigdy spokój nie zawita między żyjącymi. Duch ten mścić się będzie tak długo, dopóki żądaniu jego nie stanie się zadość, a winowajca nie poniesie zasłużonej kary.

Do wykrycia sprawcy nieszczęścia służy owo „Moawi". Napój, pod powyższą nazwą podawany, jest wywarem z kory nieznanego dotychczas białym drzewa. Środek jest silną trucizną. Zażyty w małej ilości sprowadza kurcze żo-

łądka i wymioty, w większej — biegunkę, paraliż przewodów pokarmowych i śmierć. Jeżeli poddany próbie odda napój, co następuje już po małej chwili, uznany jest za niewinnego, w przeciwnym razie sam skutek napoju piętnuje go jako winowajcę, gdyż musi umrzeć pod wpływem tej trucizny.

Przygotowaniem tego napoju zajmuje się miejscowy zaklinacz duchów, rodzaj kapłana i lekarza, który ze względu na swój tajemniczy urząd ma największy wpływ pośród swoich.

Oczywiście, że przy obrzędzie tym dzieją się niejednokrotnie ogromne nadużycia. Bywały wypadki, że całe osady padały ofiarą przekupionego kapłana. Mimo to, niema chyba Kafra, który, poddany takiej próbie, chciałby się uchylić od picia tej trucizny. Samo wahanie się podawałoby go w podejrzenie i wówczas miałby wszystkich przeciw sobie; przeświadczony o swej niewinności śmiało wychyla czarę, ufny, że nic mu się stać nie może, winny idzie odebrać zasłużoną karę z tem przeświadczeniem, że tak, czy owak śmierć go spotkać musi. Umierając w ten sposób, uchyla się od zemsty „Muzima“, a otoczeniu swemu zapewnia spokój.

Obrzędowi temu towarzyszą pewne zabawy: tańce, pijatyka i strzelanie z karabinów. Namiętności rosną i dochodzą do najwyższego napięcia. Pragnienie krwi, zawiść, chęć zemsty — oto cechy uczestników tej orgji. Pojawienie się wówczas białego pośród pijanych i sfanatyzowanych tłumów jest niebezpieczne.

Na uroczystość w Czilali miało się zgromadzić — jak tu sobie opowiadano — kilka tysięcy ludzi. Miano zbadać, kto ponosi winę śmierci Kasisi'ego. Malauri udał się tam z najsilniejszą eskortą. Jego już oddawna wskazywano jako następcę Kasisi'ego, pragnął więc — jak się zdaje — wybór swój przeforsować.

A czy nie obawiał się działania „Moawi“? pomyśli niejeden. Nie przypuszczam, bo jako dobry dyplomata, a oka-

zał się niejednokrotnie takim, zabrał z sobą swego „lekarza“, aby mu ten napój własnoręcznie przyrządził...

Byłem w kłopocie. Wybory naczelnika, picie „Moawi“, a przedewszystkiem zgromadzenie się na jednem miejscu wszystkich książąt kraju z uzbrojonemi bandami, nie zapowiadały nic dobrego. Ponieważ żyli z sobą jak pies z kotem, a każdy z nich chciał być głową rządzącą, więc do wojny domowej mogło przyjść bardzo łatwo. Wtenczas nie było co tu robić nad rzeką, gdzie miałem polować.

Udając się na terytorjum, podległe Malauriemu, winienem był przedewszystkiem od niego uzyskać pozwolenie polowania na grubego zwierza, widzieć się zaś z nim — przynajmniej w tej chwili — nie było możliwe. Polowanie bez pozwolenia, mogło obrazić dumnego królika, który na oznaki, mające świadczyć o jego powadze, był bardzo wrażliwy.

Postanowiłem sprawę tę załatwić listownie. Napisałem list po angielsku. Zawiadamiałem go, że idę polować do Dabani, że mam dla niego królewski podarunek, i że podarunek ten sam mu złożę po ukończonych łowach.

Malauri czytać nie umiał, ale miał przy sobie chłopaka, wychowanego w misji angielskiej, i ten mógł mu list odczytać. Zresztą samo wysłanie listu pod jego adresem mogło mu sprawić zadowolenie, bo go wynosiło ponad innych szefów makololskich, którzy z białymi nie korespondowali.

List wysłałem jeszcze tego samego dnia, chociaż nie bez wielkich trudności, nikt bowiem nie chciał podjąć się misji listonosza do Czilali mimo znacznej zapłaty. Dopiero jakiś staruszek z sąsiedniej wsi skusił się na tych siedem metrów perkalu, jakie za taką przysługę obiecałem, i przyrzekł list zanieść Malauriemu.

W półgodziny później widziałem, jak opuszczał wieś mój kurjer. List, umocowany do bambusowego kijka, dzierżył ponad głową, jakoby chciał dać poznać każdemu, kim jest i jaką spełnia funkcję. Był to także znak nietykalności jego osoby.

* * *

Plac narad, który zajęliśmy pod obozowisko, leżał w samym środku dużej wsi. Otoczony zewsząd licznemi chatami króla i jego dworu, tulił także po bokach należące do gospodarstw domowych minjaturowe spichrze, kurniki i stajenki kozie.

Innego odpowiedniego placu w obrębie wsi nie było, nocować zaś poza wsią znaczyło umniejszać swe znaczenie w oczach jej mieszkańców i własnych ludzi. Ile razy z rozmaitych względów kazałem karawanie rozlokować się poza wsią, zawsze czuli się tem pokrzywdzeni.

Trzeba było pogodzić się z myślą, że tu noc spędzimy, ale jaką noc? Byłem pewny, że bezsenną... Już w ciągu dnia dłuższy postój w takiem otoczeniu staje się dla białego męką.

Głuche uderzenie stęp, piskliwe śpiewy dzieci i rozdzierające głosy rodzin kozich słyszysz ciągle, jakkolwiek dotychczas nie wszystko, co ciekawe „Muzunga", zjawiło się na placu. Poczekaj na wieczór, gdy słońce się zniży — i chłód powieje od rzeki!... Koncert będzie jeszcze bardziej urozmaicony.

Tu grupa mężczyzn, rozciągnięta na matach, dysputuje namiętnie, tam kobiety, przygotowując jadło u wejścia do chat, jęczą jakąś monotonną melodję. Opodal młode dziewczęta ubijają ziarno w stępach, lub rozcierają je na kamieniach na mąkę i — również podśpiewują. A wśród tego zgraja nagich, lub półnagich dzieciaków ugania się i wrzeszczy jak sfora psiaków, puszczonych na wolność.

Doroślejsi chłopcy, usadowiwszy się w dwu rzędach naprzeciw siebie, grają w wojnę. A na wojnie, jak na wojnie, bez huku i hałasu się nie obejdzie. To też niechaj się wywróci pod uderzeniem puszczonego w ruch bączka kaczan kukuruziany (który ma przedstawiać wojownika) — wpadają w taki zapał, że wykrzyknikom i oklaskom niema końca.

A cóż dopiero, gdy przyjdzie kolej na króla?...

Delikatny Europejczyku, umykaj stąd żywo, bo słabe twoje nerwy mogłyby pójść w rozsypkę!

A to dopiero początek.

Ściemnia się. Rozniecają wielkie ognisko. Dokoła gromadzą się muzykanci, tancerze i widzowie.

Zaczynają stroić pięć większych i mniejszych bębnów.

Biją nasamprzód w jeden, potem w dwa — wkońcu we wszystkie razem w powolnem tempie.

To przegrywka.

Nieśmiało krążąc zbliżają się dziewczęta.

Grajkowie z dumą spoglądają na otoczenie. Rzucają także okiem w stronę Muzunga, pewni, że czeka ich z jego strony zachęta, a później odpowiednie wynagrodzenie. Nie przypuszczają nawet, że ten biały, przypatrujący się ich tańcom niby z zajęciem, odesłałby ich, gdyby mógł, na dno piekła wraz z całą orkiestrą.

Zaczynają na nowo.

I głośniej już teraz huczą bębny pod razami dłoni. Uderzenia następują tak szybko i gwałtownie po sobie, że wydobywają z wnętrza tych prymitywnych instrumentów głosy, podobne do wycia dzikich zwierząt.

Ale oto tancerze już się ustawili. W dwóch półkołach naprzeciw siebie stanęli — z jednej chłopcy, z drugiej dziewczęta.

Gdy takt bębnów stał się wolniejszy, chłopcy i dziewczęta zaczynają się ruszać.

Wyginając ciało to w tę, to w drugą stronę i robiąc małe półobroty, starają się wejść w takt muzyki, co gdy się udało, dają się porwać całym frontem, niby od niechcenia, do ogólnego „en avant“, co powtarzają jakiś czas w formie bardzo zręcznej. Dopiero, gdy grajkowie przyśpieszą tempo, wpadają w dziki szał. O ile dziewczęta zachowują pewien umiar w swych poruszeniach, chłopcy zdają się tracić panowanie nad sobą, szaleją w podnieceniu.

Podniecenie udziela się także grajkom, oraz widzom, gdyż zawodzą wraz z tańczącymi jakieś pieśni, klaszczą w dłonie i przytupują nogami, uczestnicząc całą duszą w tym rytmicznym rozgardjaszu.

Bez żadnej przerwy idzie taniec godzinami, raz wolniejszem, to znów szybszem tempem, ale z nużącą monotonją.

Czasem tylko zerwie się któryś z chłopaków, bardziej podniecony, aby przed swoją wybraną wykonać mały solowy taniec.

W niekończących się nigdy turach pracują rzetelnie przedewszystkiem tancerze. Ciała ich drgają, kurczą się i wyprężają z elastycznością guttaperchy. Przytupywanie taktów przybiera z biegiem czasu na sile, a ziemia aż jęczy od uderzeń tylu stóp.

Był ranek, gdy zjawił się Namondi ze swoimi ludźmi. Korzystając z zamieszania, jakie jego przyjście wśród tańczących sprawiło, kazałem pakunki przenieść do trochę spokojniejszego punktu wioski, poczem ustawiwszy straż, aby mi czego nie skradziono, ułożyłem się na górze tobołów i w ten sposób resztę nocy spędziłem.

* * *

Droga do Dabani (Elephant marsches) prowadzi przez gąszcze, brzegiem Sziry. Roślinność wszelkiego rodzaju zbija się tu nad ścieżką w ten sposób, że idziemy często jakby tunelem. Ponieważ ostrzeżono mię, że pełno tam wężów, więc musiałem się mieć na baczności.

Mimo to, w jednem miejscu o mało głową nie potrąciłem cielska jakiegoś jak bat cienkiego gada i tylko dzięki energicznemu szarpnięciu mię wtył przez jednego z chłopaków, uniknąłem bliższej z nim i może niebezpiecznej znajomości. Płazy najbardziej lubią tego rodzaju zagajenia, blisko wody położone, gdzie ukryte wśród gałęzi, czyhają na swoje ofiary. Mówiąc o ofiarach, nie mam wcale na myśli istot ludzkich. Są niemi mniejsze żyjątka, jak ptaki, myszy,

żaby i owady, stanowiące główne ich pożywienie. Ludność tutejsza żyje z płazami w najlepszej harmonji. Chociaż nadzy, narażeni są w bardzo małej mierze na ukąszenie tych płazów, może dzięki ostrożności, jaka cechuje człowieka pierwotnego, i naturalnemu zmysłowi skutecznej obrony w chwili, gdy usunięcie się z miejsca zagrożonego stało się niemożliwe. W czasie kilkuletnich moich wędrówek po rozmaitych zakątkach kraju i w najrozmaitszych okolicznościach nie miałem wypadku, aby którego z moich ludzi wąż ukąsił. Coprawda kilka razy przyprowadzono do mnie kogoś z opuchniętą nogą lub ręką, rzekomo skutkiem ukąszenia przez bardzo jadowitą żmiję, ale że na tem opuchnieniu się kończyło, a chory po kilku dniach wracał do zdrowia, pozostawałem zawsze w niepewności co do pochodzenia tej puchliny.

Mimo to, opowieści o wężach, jakiemi lubią Kafrzy karmić swoich białych panów, oczywiście nowicjuszów, mogą zjeżyć włos na głowie Europejczyka, nawet gdyby nosił perukę. To, co usłyszy w ciągu pierwszych dni swego tu pobytu, powinno mu odebrać chęć do podróżowania po kraju i polowania. Ale gdy Kafrzy się przekonają, że opowiadania ich nie robią dostatecznego wrażenia, spuszczają z tonu i już mniej groźnie rzecz przedstawiają. Że pomiędzy licznemi odmianami węży, jakie się tu spotyka, jest wiele jadowitych, nie ulega wątpliwości; niestety, zaledwie niektóre są dotychczas Europejczykom znane. Do bardzo niebezpiecznych zaliczyłbym żmiję t. zw. czipiri (Bitis arietans), jakkolwiek sądzę, że ukąszenie jej niezawsze, a właściwie nie w każdej porze jest śmiertelne. Jest ona bardzo pospolita tak tu, jak i nad dolną Zambezą. Znajdziesz ją i na ogrodach uprawnych, i na śmietniskach, i koło mieszkań ludzkich, niekiedy w magazynach pomiędzy rupieciami, a nawet w mieszkaniu. Mało ruchliwa we dnie żeruje więcej nocą, polując na szczury, i wtedy zapuszcza się aż do mieszkań, szczególnie w porze palenia traw.

Bardziej jadowity ma być wąż wodny „mamba“, o którym tylko słyszałem tak od Europejczyków, jak i krajowców. Ukąszenie jego ma sprowadzać śmierć natychmiastową. Jest on dość rzadki i nie lubi sąsiedztwa ludzi jak czipiri. Tem sobie należy tłumaczyć fakt, że niewszyscy biali z wężem tym się zetknęli, mimo długiego tu pobytu.

Rekord jednak zdobywa dopiero „bobo“. Czy kiedykolwiek z płazem tym się zetknąłem, powiedzieć nie mogę, ale jeśli te zielone węże, jakie nieraz wśród zarośli przemknęły przed memi oczyma, należały do jego rodu, to wyznać muszę, że były takie same tchórze, jak każdy inny wąż, i zawsze starały się zejść mi z drogi.

Mimo to straszne opowieści o tym „bobie“ krążą tak pośród Mangandżów nad Szirą, jak też pośród Aczikundów dolnej Zambezy.

Wedle opisów murzyńskich płazik ten jest około dwóch metrów długi, cienki, koloru szmaragdowo-zielonego i z rogową czerwoną narośla na głowie, czyli — jak murzyni chcą widzieć — z kogucim grzebieniem. Żyjąc na drzewach, ma zwyczaj zwieszać się połową ciała nad ścieżkami, uczęszczanemi przez ludzi, i atakować ich z prostej jakoby do nich nienawiści. To też czarni, wierząc lub nie, w te baśnie, starannie unikają tych stron, gdzie taki „bobo“ się pojawił, a pokazując Europejczykowi zarośnięte ścieżki, wiodące do wiosek dziś opustoszałych, żadną miarą nie dadzą się nakłonić, aby na taką wejść ścieżkę.

Znajdą się wprawdzie między nimi tacy, którzy odważą się na spotkanie z „bobem“, ale oczywiście za dobrą zapłatą.

Wówczas postara się i o odpowiednią „medycynę“ [1]), która go będzie chronić, i ubłaga „muzima“ o poparcie jego usiłowań, złożywszy daninę w mące lub w perkalu.

A wtedy z worem na głowie, w którym są odpowiednie otwory na oczy i ręce, i z garnkiem gorącego żuru mącz-

[1]) Medycyna (z portug.) = talizman.

nego udaje się na ścieżkę, na której ten wisielec czyha i stara się go w głowę ugodzić.

Skutek tego jest bardzo prosty.

„Bobo“ w zapamiętaniu macza głowę w ukropie — i ginie skutkiem oparzenia...

Również o pytonie, tym dusicielu afrykańskim, krążą tu straszne opowieści, jakkolwiek nigdy stwierdzić nie mogłem, aby ten przez wielu czczony płaz komu z ludzi krzywdę wyrządził.

Według mego zdania nie jest on dla człowieka niebezpieczny. Polując w tym kraju, masz możność natknąć się na niego w miejscach więcej otwartych, w małych zagajeniach i na stepie. Pyton jest bardzo płochliwy, a podejść go można jedynie w chwili, gdy dobrze objedzony używa siesty poobiednej. Wówczas, gdy leży w trawkach rozciągnięty nakształt ogromnego salami, mógłbyś mu niemal na ogon nadeptać; przy najmniejszym jednak szeleście budzi się z drzemki i ginie ci z oczu tak szybko, że masz wrażenie jakoby tylko cień przeleciał po trawach.

Z wymiarów, jakie dotychczas sprawdziłem (największy przeze mnie zabity mierzył cztery i ćwierć metra, skóra zaś, jaką mi gubernator w Tete pokazywał, prawie siedm metrów), wyprowadzić musiałem wniosek, że ofiarami jego są mniejsze zwierzęta, jak małe antylopy, szczury stepowe, świnki i inne t. p. stworzenia, nigdy człowiek, przed którym jak tchórz zmyka. Mimo wszystko usiłują czarni wmówić we mnie, że są okazy, szczególnie tu na stepach, tak olbrzymich rozmiarów, że potrafią nawet bawoła zgnieść i połknąć „jak kluskę“.

Węża tego, zwanego w języku tutejszym „nsatu“ z reguły nie zabijają, wierząc, że w ciele jego zamieszkuje duch zmarłego człowieka.

O ile pewna część ludności, jak wspomniałem, żyje w zgodzie z wężami, a są i tacy, co zdolni są nawet jadowitą żmiję zręcznie gołą ręką chwycić — to niewinnego kame-

leona nie dotkną za nic w świecie. I napróżnobyś im tłumaczył i pokazywał, wkładając palce w pyszczek, że nie mają zębów szkodliwych, nie wierzą ci. Taki dowód ich nie przekonywa. Masz wrażenie, że, gdybyś ich spytał o przyczynę, odpowiedzieliby: ty wiesz swoje, my swoje; zapewne jakiś ukryty talizman, który nosisz przy sobie, chroni cię od ukąszenia.

* * *

Po drodze mijamy kilka większych wiosek, a w jednej zatrzymujemy się dłużej, aby wypocząć po wczorajszej prawie bezsennej nocy. Wszędzie ofiarowują nam mąkę na sprzedaż; uzupełniam przeto nasze zapasy. Kupujemy również kury i to niezwykle tłuste oraz jaja, coprawda w większej części zepsute.

W ostatniej nadbrzeżnej wiosce, gdzie udało mi się nabyć trochę bananów, melduje mi Antonio, że jest tu człowiek, który ma coś na sprzedaż, co mi się przydać może. Zaciekawiony tem, każę tego człowieka przywołać.

Przychodzi po chwili mały, nędznego wyglądu Kafr i, nic nie mówiąc, zasiada w kole gapiów, jacy zwykle podczas targu białego otaczają.

Pytam o rzecz, którą ma do sprzedania.

Wstaje niedbale i, przystąpiwszy do mnie, podaje małą książeczkę, oprawną w płótno.

Biorę do ręki otwieram — notatnik.

Przeglądam bliżej, odczytuję rozmaite zapiski — i o zgrozo! przekonywam się, że to notatnik zamordowanego zeszłego roku w tym kraju Austrjaka, mego byłego szefa z domu handlowego S. T. & Co.

Ledwie chcę własnym oczom wierzyć.

Czyżby ten człowiek wiedzał, do kogo ta rzecz należała? Czy to nie jeden z zabójców?

Tysiączne myśli tłoczą się do głowy, a przedewszystkiem rodzi się przygnębienie i niepewność, co mam począć.

Z odrazą spoglądam na szereg jego współbraci, siedzących obok mnie w kuczki, i staram się odgadnąć, czy jest między nimi taki, który kosztował serca zamordowanej ofiary. Po gębach ich, wyrażających przeważnie bezmyślność, nic nie poznasz.

Decyduję się na kupno. Każę Antoniowi zapytać o cenę i płacę żądaną cenę, poczem, niby obojętnie, chowam notatnik.

Co za dziwny zbieg okoliczności! Już druga rzecz takiego samego pochodzenia dostaje się w moje ręce! Bo i mój podwójny ekspress, który kupiłem w Blantyre, należał do Amerykanina Fenwika, zamordowanego przed kilku laty przez ludzi z Ziromo.

Stało się teraz dla mnie jasnem, że bezpieczeństwo w tym kraju nie spoczywa na silnych podstawach, a względy Malauriego mogą tylko w części zapewnić nietykalność mej osoby, i że trzeba się ciągle mieć na ostrożności.

3. CZASZKA SŁONIA I TABUN BAWOŁÓW.

Noc spędzamy już daleko od brzegów Sziry, mając widok na góry Cziolo.

Jeszcze w ciemnościach nocy zwinęliśmy obóz, bo daleką dziś mamy drogę przed sobą. Aby przez step dostać się do wsi Gozi, gdzie wypada zatrzymać się na dłuższy postój, musimy gnać co najmniej osiem godzin wśród najgorszych warunków, bo bez krzty cienia.

Tuż za wsią wkraczamy w wysoki las palmowy. Tu ciemno już prawie zupełnie. Zaledwie czasem mignią przed okiem zarysy pni drzew, o które niemal się ocieramy, lub kontury wyniosłych koron, zaledwie dostrzegalnych na tle nieba.

Idziemy sznurem, jak najbardziej zwartym, następując jeden drugiemu prawie na pięty, aby tylko nie zboczyć ze ścieżki, którą przodownik chyba odgaduje, gdyż odróżnić jej od otaczającego tła niepodobna.

Dżungla trzcinowa.

Po godzinie las rzednieje. Mijamy jakieś halawy, o których nie wiemy, gdzie się zaczynają, a gdzie kończą.

Ale dzień już bliski.

Żałosne wołanie ibisów: Wa! wa! wawawa...! zwiastuje poranek.

Wnet już szerszy krąg nieba mamy nad sobą. Las się kończy.

Stajemy...

Cypel, na którym zatrzymała się karawana, jest ostatnim wyskokiem lasu palmowego, i wrzyna się głęboko w step, gubiący się jeszcze w półmroku. Nagie pnie „mawumu“ [1]) o stosunkowo niewielkiej koronie strzelają wysoko wgórę i dziwnym szelestem ogromnych swoich liści, przypominającym nasze pst! pst! zdają się jakoby ostrzegać wędrującego u ich stóp człowieka-pigmeja, aby się miał na ostrożności i chronił głowę, na którą przy silniejszym powiewie spaść może orzeszek o wadze dwóch lub trzech funtów. I mimowoli podnosisz oczy wgórę, a skóra cierpnie na myśl, że taki ciężarek, spadłszy ci na nos, nietylko mógłby zdeformować tę ozdobę twarzy, ale także rozwiać w nice w głowę ci niegdyś wtłaczany morał z bajki — o żołędziu i dyni.

Ludzie moi, wysunąwszy się poza obręb palm, przystanęli. Miała to być chwila odpoczynku przed wejściem w step, chwila jakby uroczysta, której nikt nie chciał mącić niepotrzebnem gadaniem. Tłumoczki poskładano na ziemi, a obok nich przykucnął ten i ów, aby w tej, dla nich widać najdogodniejszej pozycji, zażyć tabaki lub zapalić owinięty w liść bananu, tytoń.

Aby skrócić czas czekania, gdy mię aż rwało do drogi, zapalam również papierosa, a równocześnie wytężonym wzrokiem staram się przebić mglistą dal, kryjącą przede mną tajemniczy step.

Słońce jeszcze nie wzeszło, ale Shire-highlands rysują

---

[1]) Mwumu = pl. mawumu — Borassus flabellifer.

się coraz wyraźniej na wschodzie. Wzrok sięga już aż do ostatnich ich skłonów, aż hen nad Ruo, i odróżnia jednolity ciemny bór, rosnący na stokach od nikłych, kolczastych lasów nizinnych, ścielących się u ich podnóży i wchodzących dość szerokim pasem w równinę. Gdy część wschodnia stepu coraz bardziej ciemnieje, południowa i zachodnia rozpływa się jeszcze w mglistych oponach i zlewa z niebem w jedną całość.

Przestrzeń bez końca, jak morze.

W tej chwili słońce wyziera z za gór. Oślepiające wrażenie. Zdaje ci się, że nagle otwarto tam drzwi pieca hutniczego, skąd bucha żar roztopionych metali. Jasność taka, że aż za oczy chwyta.

Kaniole, stojąc na boku z tropicielem Namondim, coś mu tłumaczy.

— Co to, Kaniole? — pytam.

Pokazuje na różne, ciemne linje, rysujące w siatkę step.

— To Madzi-wa-kufa, martwe wody.

Wyjaśnił mi, że powstają z sezonowych strumieni górskich, które spadają w okresie deszczów na zagłębiony teren i zalewają wielkie przestrzenie. Wyżłabiają często głębokie koryta, w których, po wyschnięciu dopływu, woda przez resztę pory roku się przechowuje, tworząc ogromne bagniska, zarośnięte gąszczem trzcin i grubej trawy, zwanej „mabande“.

W obecnej porze, gdy wyniośleisze miejsca, jako suchsze, pożar z traw oczyścił tak, że wyglądają, jak łysiny, zagłębienia pozostały nietknięte. Tu znajduje doskonałe pastwiska zwierzyna, tu schronienia bezpiecznego szuka nawet słoń, gdyż w wielu miejscach niema tam dostępu dla człowieka.

W znacznem oddaleniu widać dymy. Wielki pożar wprawdzie dawno już tędy przeszedł; dopalają się prawdopodobnie resztki traw na przestrzeniach, zamkniętych wodami.

Po chwili mamy już przed sobą step w pełnem oświetleniu słonecznem.

To, co serce myśliwego najbardziej uradować może, okazuje się nam teraz w całym swym powabie.

Zwierzyna!...

Nie dalej, jak kilkaset kroków od naszego ukrycia, przeciąga stadko antylop Niakozwe. Kilkanaście sztuk tych jeleni wodnych, jak je zwą biali, same rogacze, posuwają się wolnym krokiem ku drugiej grupce, która się pasie w zagłębieniu. Za nimi na prawo harcuje kilka zeber. Biegają w kółko, jak konie cyrkowe, chwytają się zębami i wierzgają.

Dalej, ale już za pomocą szkieł, dostrzegam więcej jeleni wodnych, kilka antylop krowich (ngondo) w towarzystwie dzików, a wśród zarośli trzcinowych kontury wielkiego stada bawołów, nad któremi unoszą się białe czaple.

I któryż z myśliwych, mając zwierzynę tak pod nosem, nie pokusiłby się o nią? Zdawałoby się, że przy takiej ilości zwierza wszelkiego rodzaju, nie potrzeba wiele wysiłku, aby zdobyć jedną, a może i sztuk kilka.

Ale spróbuj, nowicjuszu, zobaczysz rychło, jak pierwszym swym ruchem zaalarmowałeś bliższe i dalsze stadka. I wyniosą się wnet na przyzwoitą odległość, poza doniosłość efektownego strzału!

Więc choć gromadka moja spogląda na mnie pytającym wzrokiem, co pocznę, daję znak do pochodu. Nie mogąc przewidzieć, czy niepotrzebnym strzałem nie spłoszę słoni, gdyby gdzie były na stepie, wolałem nie strzelać, dopóki nie znajdziemy się na stałem obozowisku i dopóki nie zbadam wszystkich głównych przechodów tego gruboskórca.

Kierując się ciągle ku wschodowi, dochodzimy w południe do jednego z głównych ramion martwych wód.

Tu dżungle trzcinowe okazują się nam w całej swej potworności. Gdyśmy się zapuścili w głąb na jedną z tych ścieżek, jakie wydeptują hipopotamy, aby się dostać do wody, zziajani i spieczeni słońcem do ostatnich granic, musieliśmy zawrócić z tego labiryntu i cofnąć się może pra-

wie kilometr wstecz, gdyż dalsze przedzieranie się przez tę gęstwinę okazało się niemożliwe.

Idziemy zatem wzdłuż bagna i szukamy bardziej otwartego miejsca. Tropiciel Namondi i Kaniole wysunęli się tymczasem naprzód i widzę, jak z jakiegoś wzniesienia, dają mi znaki, abym pospieszył za nimi.

Na małej polance wśród trzcin, leży ogromna czaszka słonia, a opodal szkielet tego zwierza, napół objedzony.

Kilkanaście sępów, tak obżartych, że podlecieć nie mogły, uciekały pospiesznie pieszo. Razem z nimi zmykał także jeden marabut, podrygując na swych długich nogach i robiąc ogromne wysiłki skrzydłami, aby jak najrychlej wzbić się w powietrze. Po chwili już całe to towarzystwo krążyło nad naszemi głowami, powolnie, widocznie niezadowolone z przerwania im wspaniałej uczty.

Wedle raportu Kaniolego również hieny brały udział w tej biesiadzie, ale wyniosły się w trzciny, zanim zdążyłem nadejść.

Czaszka, pozbawiona kłów, nosiła na sobie jeszcze świeże ślady siekiery, którą porozbijano kości policzkowe przy wydobywaniu tego cennego artykułu. Bez szczęki dolnej mierzyła około metra wysokości, a około 60 *cm* szerokości w okolicy oczodołów.

Miałem ochotę zapoznać się bliżej z budową czaszki tego olbrzyma, ale musiałem dać za wygraną z powodu silnego fetoru, jaki bił od czaszki i szkieletu. Usunęliśmy się dalej poza wiatr i pod mizerną osłoną trzcin rzuciliśmy się wszyscy na ziemię. Wypocząć, wyciągnąć nieco sforsowane nogi było najwyższem teraz pragnieniem. I sam byłem do ostatnich granic wyczerpany, i ludzie zapewne niemniej ode mnie, a przy tem głodni. Wodę mieliśmy pod ręką, a chociaż czuć ją było gnojem bawolim, piliśmy bez obrzydzenia. Tylko co do posiłku nie robiłem sobie wielkich nadziei, bo na czem tu ugotować przyzwoity obiad, gdy wkoło ani drzewiny.

Ale od czego zmysł dzikiego człowieka. Jeszcze Antonio nie uporał się z rozdaniem racyj, a już naznoszono stosy suchych badyli i powiązano trawami w grube wiązki. Wykopano też wmig kilka dołków w twardym gruncie, układając nad otworami po dwie zapalone żagwie tak, że płomieniem z sobą się stykały. Zsuwając ciągle te żagwie ku sobie, utrzymywali wielki płomień, zupełnie wystarczający do ugotowania jakiego takiego posiłku.

Nie zdziwiło więc mię później, gdy kucharz Martinio przedstawił menu, jak na obiad w podróży, bardzo urozmaicone. I tak: potrawkę z konserwowanego mięsa „corned beef“, zaprawioną tutejszą papryką „piri-piri“ — po afrykańsku; nsimę, t. j. prażuchę z sorga — po kafersku; bambairę, czyli tutejsze ziemniaki, smażone w oliwie à la pommes de terre frittes; oraz smażone banany na deser.

I czegóż jeszcze żądać możesz, zepsuty cywilizacją europejską, biały człowieku?

Jeśli zdołałeś już ocenić wysiłki swego Kafra i przestałeś mu wydziwiać, że czasem do uczestnictwa w jadle przypuścił kilka much, które ciałem swojem potrawkę przyprawiły, lub że tu i ówdzie znalazłeś trochę popiołu w smażonych bananach, to będziesz musiał być wdzięczny za te jego starania dla swego „muzunga“, który, jak twierdzą, ciągle wyszukuje coś nowego dla swego podniebienia.

Bo niechnoby zaczął się żywić, jak oni, byle czem, mieliby go za hetkę-pętelkę. Zresztą malarja, która białego nieraz gnębiła, osłabiła już do tego stopnia jego żołądek, że musi mieć jadło smaczne i pożywne.

Wyobrażenia niektórych podróżników, że znalazłszy się w warunkach, od dawnego trybu życia odmiennych, wśród ludów, którym najprymitywniejsze jadło wystarcza, będą i oni mogli w ten sam sposób się odżywiać, jest zupełnie fałszywe. Europejczyk, chcąc w niezdrowym klimacie zachować jako tako swe siły i energję, musi żyć po europejsku.

Szczególnie w czasie forsownych pochodów i polowania, a te wymagają najwyższego napięcia muskułów, winien mieć dobrą, a jeśli można, nawet wykwintną kuchnię, inaczej trudów myśliwskich nie zniesie.

Po wypoczynku, jakkolwiek cierpiąc straszliwie od gorąca, wleczemy się dalej.

Słońce zachodzi, a my jeszcze ciągle jesteśmy w drodze. Na dobitek dostaliśmy się na teren bagnisty i nie możemy się z niego wydostać, a przy lichem oświetleniu sierpa księżycowego trudno się orjentować.

Wkońcu bagnisko zaczyna być wprost zdradliwe. Spostrzegają to czarni i nie chcą iść dalej.

Niema innej rady, trzeba tu zanocować.

Klną murzyni i odgrażają się Kaniolemu, który tę drogę wskazał, potem rzucają pakunki na jedną kupę i szukają trochę suchszego miejsca na nocleg.

O gotowaniu nikt nie myśli. Trzcin niema, a ta odrobina ognia, którą wydobyli ze źdźbeł napółopalonych traw, wkrótce zgasła.

Napół siedząc, napół leżąc na polowem łóżku, opędzam się moskitom, które przyszły pozdrowić rzadkiego w ich stronach gościa. Trochę mi nieswojo w tej ciemnicy, bo księżyc już się skrył, a my, jak wypłoszone stado antylop, wśród ogromnego stepu leżymy pokotem bez ognia.

Ludzie moi, poowijawszy się w swoje prześcieradełka, wnet posnęli.

Staram się i ja pójść za ich przykładem, ale choć oczy zmrużę czasem, zrywam się zaraz i nadsłuchuję.

Jak długo to trwało, nie wiem, ale musiałem zasnąć także, bo gdy zerwałem się z łóżka, usłyszawszy chrapliwe wycie hieny, nie mogłem zdać sobie sprawy z tego, gdzie jestem.

Wyciu hieny zawtórował wnet głos drugi i trzeci — i trwało to czas dość długi. Ale z murzynów moich nikt się nie zbudził. I patrzę na te toboły ludzkie, leżące bez ru-

chu, ledwie jaśniejszą plamą odbijające od ciemnego tła gruntu, i złość mię bierze na ich niefrasobliwość, z jaką się tu poukładali do snu wobec oczywistego niebezpieczeństwa, grożącego im od jakiego głodnego drapieżcy.

Budzić ich — czy nie budzić?

Jeśli zbudzę, zaraz pomyślą: „muzungu“ tchórz — więc nie! Będę czuwał za nich i nad nimi.

Z tą myślą usadawiam się na łóżku i zapalam papierosa. Po chwili oczy przyzwyczajają się do ciemnicy. Zaczynam rozróżniać to i tamto.

Na tle nieba, rozjaśnionego trochę na zachodzie, prawdopodobnie od łuny dalekich ogni, rysuje się brzeg kotliny, w której leżymy. Wpatrując się w tę linję, spostrzegam, że się tam coś rusza. Jakieś nieuchwytne cienie to się wznoszą, to opadają, a przytem posuwają ciągle w jednym kierunku: równolegle do naszego obozu.

Trwa to może pół godziny lub więcej.

Naraz dochodzi mych uszu jakiś odgłos, niby tentent kopyt końskich.

Zebry — czy bawoły?

Tentent coraz wyraźniejszy; zbliża się ku nam.

Zanim mam czas się zorjentować, co to jest, usłyszałem przy odgłosie uderzeń kopyt niby poszum wichru, który nagle zerwał się na stepie...

Z okrzykiem „wa-niati! wa-niati!“ [1]) zrywają się teraz murzyni i całą kupą rzucają się ku memu legowisku.

Stało się to wszystko tak nagle i niespodziewanie, że zanim mogłem wydać jakiś rozkaz ludziom, już padły strzały do pędzących bydląt. Strzelał tropiciel i jego chłopcy.

Po strzałach bawoły zawróciły i pogalopowały dalej. Po małej przerwie znowu głucha cisza zapanowała na stepie.

Panika, jaka chwilowo ogarnęła moich Kafrów, i wyrwała z wielu piersi okrzyki przerażenia, minęła równie

---

[1]) Wa-niati = bawoły.

szybko, jak powstała. Zaczęto śmiać się i naigrawać z tych, którzy najbardziej uciekali i wywracali się na pakunkach.

Namondi, którego pytałem o przyczynę tej niezwykłej szarży bawołów, twierdził, że wystraszyły ich lwy. Widział wyraźnie, leżąc na ziemi, jak szły z łbami wdół spuszczonemi, a ogonami wzniesionemi do góry, co zawsze oznacza, że zwęszyły groźne niebezpieczeństwo.

W wypadkach takich zawracają gwałtownie wtył i bez względu na przeszkody, stojące im w drodze, starają się jak najszybciej oddalić od zagrożonego miejsca.

— Napewne, „muzungu“, byłyby nas stratowały, bo stado mogło liczyć ponad dwieście sztuk. Tylko nasze strzały odwróciły kierunek ich szalonej galopady...

— — — — — — — — — — — — — —

Na ukazanie się słońca czekaliśmy jeszcze, już nie śpiąc, dość długo. Gdy się ukazało, a my ruszyliśmy z miejsca, usłyszeliśmy z oddali ryk lwa, któremu wnet zawtórował głos drugi i trzeci, oznajmiający, że syci wracają do swych zwykłych, dziennych kryjówek.

Kierujemy się teraz do jednej z odnóg „martwej wody“, gdzie spodziewamy się znaleźć bezpieczny bród.

Poza temi wodami kończy się królestwo dżungli trzcinowych. Teren lekko się podnosi, a na nim rozpościera się las podgórski, przegradzany kępami kolczastych krzewów, zjadliwych euforbij i pękatych baobabów.

Wpobliżu wody mamy nową niespodziankę.

Namondi, idący na przodzie, przystaje nagle i klaśnięciem palców, daje znak do zatrzymania się.

— Mwu![1])

— Uona! Uona![2]) Podnosi się...

O kilkaset kroków przed nami poruszyło się ogromne cielsko potwora. Wsparł się na przednich nogach i głupowato patrzy w naszym kierunku. Potem zrywa się i w pod-

[1]) Mwu = hipopotam.

[2]) Uona! = patrz!

skokach, jak nasza świnia, gdy się rozigra, pędzi w trzciny i przepada nam z oczu.

Kto widywał hipopotama tylko w wodzie, gdy wynurza swój łeb, wprawdzie potwornej wielkości, ale na szlachetnie wygiętej szyi, gdy strzyże uszami i rży potężnym basem, aniby przypuścił, jak obrzydliwie wygląda to zwierzę na stałym lądzie. Jego długie, walcowate cielsko, o głowie w formie skrzyni, o brzuchu obwisłym na stosunkowo bardzo krótkich nóżkach, robi go bardziej podobnym do kolosalnej, tucznej świni, aniżeli do konia, za jakiego go chcieli mieć starożytni.

4. PRZYMUSOWA BEZCZYNNOŚĆ.

Tak mi się śpieszyło do Gozi, że drogę, którą się zwykle odbywa dni cztery, zrobiłem w trzy na to tylko, aby się przekonać, że — co nagle, to po djable.

Dopiero teraz, gdy znalazłem się w prawdziwem eldorado myśliwskiem i mógłbym polować na wielką skalę, stwierdziłem, że sobie znowu otarłem nogę — i kuleję.

— Będę unieruchomiony na kilka dni, a może i dłużej... A przecież starałem się hartować nogi i stopy, chodząc w obozie, o ile możności, boso, a podczas drogi miałem, jak mi się zdawało, najpraktyczniejsze obuwie, bo płócienne z gumowemi podeszwami i wysokiemi cholewkami.

A właśnie te cholewki stały się powodem otarcia. Lecz nietylko ja cierpię. Kilku tragarzy również popodbijało i poraniło stopy. Omywają je wywarem z dzikiej malwy i bandażują brudnemi szmatami. Nie martwi ich to bardzo, mają bowiem gotową wymówkę, gdy się ich zechce zaprząc do jakiej pracy. Leżeć do góry brzuchem — to nie jest dla nich nieszczęście. A tu w Gozi zapowiada się pobyt bardzo dobrze. Naczelnik wsi nadzwyczaj uprzejmy i traktuje nas naprawdę jako gości królewskich.

Podarki, jakie przyniósł na powitanie, wzbudziły podziw

mojej bandy. Dużo mąki, dużo ryżu, kur i bananów, a co najważniejsze, dużo piwa (pombe), którego, jak przypuszczają moi murzyni, „muzungu“ nie zdoła sam wypić i z nimi się podzieli...

Odstąpiono nadto do naszej dyspozycji trzy chaty na skraju wsi; dają nam one możność zagospodarowania się tu jak u siebie, bo po ustawieniu płotu od strony ogrodów i wzniesieniu kilku poddaszy utworzyć możemy dla siebie jakoby osobną osadę.

— — — — — — — — — — — — — —

Gdy pogoda sprzyja, sypiam stale na wolnem powietrzu opodal legowisk moich ludzi, którzy z wyjątkiem starszyzny, sypiającej w jednej z chat, rozlokowali się wzdłuż płotu i w szałasach.

Tu także spędzam w hamaku większą część dnia, korzystając z cienia kilku obok rosnących drzew, nie tracących liścia w czasie zimowym.

Trzy dni bezczynne w obozie — to klęska. Nie wiem, jak i czem zająć moich ludzi, a trzeba to zrobić koniecznie, gdyż bezczynność zwykła ich usposabiać buntowniczo.

Jedzenia mają poddostatkiem, ale narzekają, bo niema mięsa. Słyszę ciągle, jak wyliczają, ile dni już minęło, odkąd opuścili Blantyre, a dotychczas mięsa nie widzieli. A przecież poto szli z „muzungiem“, aby najeść się dziczyzny!

Gdy trzeci dzień się skończył i spostrzegli, że jeszcze kuleję, więc nie pójdę na polowanie, wysłali do mnie w deputacji Antonia.

— Pewnie chcecie mięsa? — zagadnąłem go, gdy klasnął w dłonie.

— No tak! Ale „muzungu“ sam nie poluje i nam nie pozwala, skąd weźmiemy mięsa? Tymczasem bawoły zachodzą pod wieś niemal każdej nocy. Gdybyś dał pozwolenie Namondiemu i trochę nabojów, to postarałby się napewno o „kisawi“ dla całego „ulenda“. I namby się coś z mięsa patrzyło do codziennej lemieszki, no i naczelni-

kowi wsi, który już na nas krzywem patrzy okiem, bo na to tu przychodzą myśliwi, aby polować i obdzielać ludność mięsem. A był on dla nas tak hojny, jak król jaki, a nie zwykły naczelnik wsi...

Antonio miał zawsze sposób argumentowania, nie dający się odeprzeć. Uderzał w tę stronę, skąd mógł wydobyć odgłos pożądany. Nie było i tym razem innej rady, jak wydać naboje i zezwolić Namondiemu na małą wycieczkę myśliwską.

Zakazałem jednak zapuszczać się w step. Polować wolno tylko na stokach górskich, skądby mi mogli również przynieść wiadomość o świeżych tropach słoni.

Tego samego dnia Namondi z kilku uzbrojonymi chłopakami wyruszyli w góry.

Nazajutrz, czując, że z nogą lepiej, spróbowałem dalszego spaceru. Szedłem boso, oczywiście, tam, dokąd prowadziła jaka taka ścieżyna.

Byłem najpierw u strumienia, gdzie użyłem kąpieli, następnie obszedłem wieś i znalazłem się wkońcu w ogrodach, które tu na wyrębach leśnych, zajmują dość znaczną przestrzeń. Uderza wielka liczba strażnic, rozmieszczonych w pewnej odległości jedna od drugiej, a połączonych ze sobą sznurami, na których wiszą rozmaite blachy i szmaty.

Plony strzeżone są przed szkodnikami tak skrzydlatemi, jak i czworonożnemi, i dniem i nocą. Dzieci pilnują je we dnie, starsi nocą.

Właśnie młodsza generacja pełni tu teraz służbę, siedząc na wysokich platformach.

Służba ta polega na najenergiczniejszem hałasowaniu, co przy zdrowych płucach idzie łatwo.

Lecz tego za mało. Więc biją w małe bębny oraz w próżne puszki od konserw, przyczem od czasu do czasu się nawołują. Od strażnicy do strażnicy leci jakaś wieść, jakieś zapytanie do najbliższego sąsiada. Ale niechno jaki gość nieproszony ukaże się na polu, podnoszą w jednej chwili za-

pamiętałe krzyki i bębnienie, i trwa to tak długo, dopóki intruz albo sam się nie wyniesie, albo go nadbiegająca ze wsi pomoc w inny sposób nie przepędzi.

Nie wszystkie jednak szkodniki, oswojone z widokiem ludzi, obok których żyją, dadzą się tak łatwo i byle komu odpędzić.

Małpy, a zwłaszcza pawjany, ignorują z zadziwiającą obojętnością krzyki dzieciaków. Skoro tylko upewniły się, że na strażnicach niema dorosłych osób — mimo piekielne krzyki — najbezczelniej w świecie gospodarują na obsianem polu.

Szkody, jakie tam nieraz wyrządzają, są w stosunku do uprawionego obszaru olbrzymie. Nie mogąc na miejscu zjeść tyle, ileby w łakomstwie swem pragnęły, ani nie mogąc unieść dostatecznej ilości w żuchwach, zrywają garściami zboże i owoce, wydzierają z korzeniami dynie i ogórki, aby je w tej samej chwili rzucić, a czynią to tak szybko i pilnie, jakby to bezmyślne niszczenie sprawiało im największą przyjemność.

Ale na tem nie koniec; bo oto gdy jedna grupa otwarcie kradnie na polu, strzeżonem przez dzieci, druga, podkradłszy się pod wieś do plantacyj bananów, urządza tam sobie bal na wielką skalę.

Pawjan to zdeklarowany wróg murzyna-rolnika.

W miejscowości Szamo, gdzie przez szereg lat spędzałem czas deszczów, a więc porę dojrzewania plonów, miałem nieraz sposobność obserwować te szkodniki przy robocie.

Zdarzenie, które tu opiszę, będą najlepszą miarą bezczelności tych stworzeń.

Z werandy domu, gdzie urządzałem sobie zwykle siestę popołudniową, miałem rozległy widok. Oglądając raz ponętną dla oka panoramę, rzuciłem wzrokiem na kawałek uprawnego pola, które ciągnęło się wzdłuż gęstych zarośli między moją zagrodą a nędzną wioską.

W tej chwili właśnie wysunął się z gąszczu samotny pawjan. Powolnym krokiem, przystając tu i tam, zbliżył się do miejsca, obsianego orzeszkami ziemnemi (Arachis hyppogeia), na którem pracowały dwie starsze murzynki. Zajęte wykopywaniem tych orzeszków, które po oczyszczeniu z ziemi wrzucały do koszów, nie dostrzegły zbliżającego się intruza.

Pawjan najspokojniej w świecie usiadł na drugim końcu uprawnego pola — i zaczyna łuskać orzeszki.

Wtem krzyk! Kobiety z motykami biegną w stronę pawjana.

Ale pawjan spokojnie podnosi się i, okazując murzynkom swe potężne uzębienie, warczy jak pies.

Murzynki — w nogi!

Ubiegłszy kilkadziesiąt kroków, zwracają się znowu do niego, krzyczą, wymachują motykami, a nawet ciskają grudami. Wszystko nanic. Gdy tylko podejdą bliżej, pawjan warczy, sam nawet podbiega w ich stronę z miną djabła, a odpędziwszy dalej, zasiada znowu do biesiady.

Znowu murzynki do pawjana, to znów pawjan za niemi.

Trwa to już z dziesięć minut, bo mimo krzyku kobiet pomoc ze wsi nie nadchodzi.

Teraz przyszła kolej na mnie.

Z karabinkiem w ręku podsuwam się ku zuchwalcowi, ukryty za ogrodzeniem domostwa. Płot się kończy. Jestem oddalony od pawjana o dwieście kroków; strzał niepewny, zwłaszcza, że pawjan ciągle się rusza i zmienia miejsce.

Ukrywszy broń za plecami, staram się podejść bliżej, używając zwykłego fortelu, że czegoś niby szukam po ziemi. Pawjan, niby bardzo zajęty wygrzebywaniem orzeszków, zpodełba mię obserwuje. Już tylko sto kroków; tylko wysunąć lufę ku przodowi... zmierzyć się...

Darmo! Na to wszystko nie masz czasu.

Ledwie zrobiłem ruch, aby broń przenieść z lewej do prawej ręki, już mój psotnik galopem przypadł do lasu,

skąd po małej chwilce spoglądał na mnie kpiąco, siedząc na jednem z najwyższych drzew. Gdym postąpił kilka kroków w kierunku drzewa — znikł jak kamfora.

Drugie zabawne zdarzenie miałem podczas polowania w górach. Byłem na tropie bawołów, które głębokim zarosłym jarem bagnistym niedawno przeszły w stronę gęstego lasu.

Korzystając z dobrego wiatru i pewnej osłony, posuwałem się stokiem góry wzdłuż parowu, skąd mogłem mieć dalszy widok.

Nagle zatrzymuje mię lekkie gwizdnięcie któregoś z pozostałych na tyle ludzi. Równocześnie zwraca na siebie moją uwagę mały krzak po przeciwnym brzegu jaru, za którym jakby się coś ruszyło.

Równocześnie ogromny pawjan w postawie napół stojącej, ciągnąc w jednej ręce gałąź, wyskoczył z poza krzaku. Obrócony do mnie tyłem, nasłuchiwał parę sekund, potem powoli zaczął się wspinać wgórę pomiędzy złomy skał, poczem z flegmą usadowił się na jednym z głazów.

Miałem tylko gruby kaliber w ręku i narazie nie żywiłem żadnych złych wobec niego zamiarów.

Po chwili jednak przychodzi mi na myśl, że przecież warto pokusić się o ten okaz, największy, jaki dotychczas spotykałem.

Przysiadam więc i daję umówiony znak palcem, oznaczający podanie mi drugiej strzelby.

Zrozumiał chłopak, podsuwa się ostrożnie, podaje broń — a gdy już mały kaliber znalazł się w mem ręku i odsunąłem bezpiecznik, widzę, jak moje vis à vis obraca się i bystro w moją stronę się wpatruje.

Zamieniłem się w posąg. Czekam! Miałem wrażenie, że nas jeszcze nie dojrzał, gdyż kryły nas krzewy, a odległość była dość znaczna...

Siedzi na głazie i obdziera z gałązki, którą tu przyciągnął, jakieś jagody.

— Dobra sposobność już nadeszła — myślę i lekko podnoszę broń do twarzy.

Ale ba! — nie dociągnąłem lufy do połowy potrzebnej wysokości, gdy z pawjana już ani śladu.

Wystarczyła sekunda, w której zerknąłem na celownik, aby sczezł mi z oczu.

Zamykam bezpiecznik i powstaję, aby pójść dalej... Mój figlarz z przeciwka już siedzi na dawnem miejscu. Skrobie się charakterystycznym ruchem po pośladku, jakby chciał powiedzieć:

— Mam z tobą, biały człowieku, dużo kłopotu, ale dam sobie radę...

Składam się błyskawicznie... pawjan za skałą...

Niebawem wychyla się z poza kamienia jego ciekawa mordka z pytającym jakoby wyrazem: czy może mnie szukasz?

Zaczyna się gra w chowanego.

Co wezmę karabin, już udając tylko, że chcę strzelić, głowa znika, spuszczam broń, wychyla się z poza skały.

Strzeliłem wkońcu zniecierpliwiony: naturalnie spudłowałem.

Skonfundowany, zdecydowałem się już i bawoły pozostawić ich losowi, gdyż po strzale musiały oddalić się znacznie. Zawracam.

Coś mnie jednak skusiło, aby jeszcze raz obejrzeć się.

Tfu! — Pawjan siedzi znowu na skale i drapie się po pośladku najbezczelniej...

5. SĄ SŁONIE!...

Czas popołudniowy schodzi mi na rozmaitych czynnościach, a jest ich w obozie zawsze dość. Przedewszystkiem broń wymaga ciągłej opieki. Czyścić ją i naoliwiać trzeba często, gdyż w tym klimacie wszystko, co żelazne, rdzewieje bardzo szybko. Należy również przeglądnąć naboje, zwłaszcza

do grubego kalibru, czy się kule nie rozchełtały, co przy wadze pocisku około ćwierć funta bardzo możliwe. Powstanie luki między ładunkiem prochu a pociskiem, mogłoby spowodować — jeśli już nie pęknięcie lufy — to ogromny wstrząs, również dla strzelca niebardzo bezpieczny.

Ponieważ między moimi ludźmi niema ani szewca ani krawca, więc często-gęsto trzeba sobie to i owo samemu połatać, bo puszcza afrykańska ze swojemi dżunglami stara się o to, aby ubranie i obuwie w mig się rozlatywało. Poza tem robię notatki, uzupełniam swój słowniczek języka Mangandżów, co nie jest łatwe, gdy się zważy, że nie mam inteligentnego tłumacza. To, co mi mój Antonio na portugalskie przełoży, okazuje się później zupełnie fałszywe i wymaga ciągłych poprawek. Formy gramatyczne, oczywiście staram się tylko odgadnąć, a przy takiem odgadywaniu zachodzą często fatalne qui-pro-quo.

Próbuję również szkicować widoczki. Szczególnie staram się z każdej zabitej zwierzyny zrobić jak najdokładniejszą kopję głowy, bo zwierza w całości trudno tak ustawić, aby mieć możność „sportretowania“ go.

Było około trzeciej po południu. Właśnie gdy jestem zajęty badaniem Kafra, czy liczba mnoga od niati (bawoł) jest A-niati czy Wa-niati, a on mi ciągle prawi „modzi, modzi“, co znaczy: jedno i to samo, słyszę strzał.

Gdy się zastanawiam, skądby odłos ten doszedł, pada strzał drugi, trzeci, czwarty... osiem strzałów w tej samej stronie.

Strzelają na stepie...

— Czyżby to moi strzelcy? Pewnie nie do bawołów tak strzelają?

Rzucam notatkę, nakładam buciki i w szóstkę z Kaniolem, który ma mi zastąpić tropiciela, dążę na step.

Obawiając się sforsować nogi, jeszcze niezupełnie wyleczonej, wlokę się pomału tak, że dopiero w dwie godziny dochodzimy na miejsce.

Przed nami nagi step. W znacznej odległości przeciąga ogromne stado bawołów.

Tyle mogę objąć od pierwszego rzutu oka.

Aby uzyskać rozleglejsze pole widzenia, wyszukuję ogromny kopiec termitów i usadawiam się tam z moim teleskopem.

Chciwem okiem przebiegam horyzont od północy do południa po kilka razy; szukam słoni.

I nie napróżno.

W znacznej odległości, której ocenić nie byłem w możności, sunie olbrzym po spalonym stepie. Lekkim truchtem zdąża w kierunku rzeki. Trąba to się podnosi, to opada, ogromne uszy drgają w biegu. Nastawia je to ku przodowi, to kładzie je znowu wtył, co oznacza zaniepokojenie.

Prowadzę go dłuższą chwilę pod szkłami — aż naraz gubi mi się w załamaniu terenu.

Ale oto trzy inne kolosy ukazują się na tej samej drodze.

Teraz i murzyni gołem okiem je dostrzegli i, wyciągając ręce w kierunku gruboskórców, szepcą między sobą:

— Ndziowu! Ndziowu!

Tak, widzę je, ale cóż z tego, już ich ani nie zatrzymam, ani nie dopędzę. Słońce zachodzi, a nogi chore... Chwilę jeszcze oglądam ten dla mnie tak pociągający obraz, a straciwszy go z oczu, złażę z kopca.

W drodze powrotnej natrafiamy na liczne stada antylop. Wysuwają się powolnym krokiem z zarośli, dążąc na step w poszukiwaniu poidła. Pragnienie tak stępiło ich zmysł ostrożności, że nie uciekają zaraz, natknąwszy się na naszą gromadkę, ale zatrzymują się chwilę i przypatrują się, dając mi ciągle sposobność do strzału. Jakby przeczuwały, że dziś strzelać nie będę, poprostu mię wyzywają.

Zaprzątnięty myślą o słoniach i o przykrości, jaką mi wyrządził Namondi — a jestem pewny, że on je wypłoszył — idę markotny i zły. Co za fatalność! Zaledwiem się dostał do tego matecznika zwierzęcego, zaledwie słonie

się pokazały — już pierwsze z nimi spotkanie przypada nie mnie, ale murzynowi...

Nie mogłem usnąć tej nocy. Leżę w hamaku i dla zabicia złych myśli palę papierosa za papierosem.

Namondi nie wrócił jeszcze. Reszta ludzi nie śpi także, siedzi przy ogniskach i cicho coś radzi. Podejrzewam ich, że mają już jakieś wiadomości ze stepu, ale skoro sami z tem się nie zdradzają, nie pytam, bo wiem, że nie powiedzieliby prawdy.

Z tymi ludźmi trzeba wiedzieć, jak postępować. Otwartością nie zajdzie się daleko. Gdybym się zdradził, żem wściekły na Namondiego, nie znalazłbym u nich zrozumienia, bo nie potrafiłbym ich przekonać, że np. zabicie słonia przez Namondiego a przeze mnie nie jest jedno i to samo.

Udaję więc obojętnego — i chcę być cierpliwy.

Po północy wracają strzelcy. Wiedzie ich naczelnik wsi w otoczeniu około trzydziestu swoich ludzi, obładowanych mięsem. Z zadowolonemi minami wkraczają na nasz placyk i, jakby do raportu, ustawiają się przede mną.

Wyłażę z hamaku zły, aż mię trzęsie, ale utrzymuję równowagę i z powagą, jaką nakazuje sytuacja, każę sobie podać krzesło polowe, na którem zasiadam dla wysłuchania przemowy.

Z pośród tej zgrai wysuwa się naprzód naczelnik wsi. Klaszcze kilka razy w dłonie, prosząc o zezwolenie przemówienia, a gdy skinieniem głowy zezwoliłem, przykuca i zaczyna oracyę.

A więc winszuje mi (o ironjo!) powodzenia, wychwala mego tropiciela, zucha, jakiego nie znaleźć nawet między Makololami, wychwala mnie (nie wiem za co) i dziękuje, żem przybył do jego wsi, która dziś korzysta z wyników polowania, gdyż zaopatrzona jest w najlepsze mięso na czas dłuższy, i plecie tyle innych bzdurów, że trzeba zaiste mieć sporą dozę cierpliwości, aby tego wszystkiego wysłuchać i nie wyjść z formy.

Zaledwie ucichł i odklaskał parę taktów — zapewne zamiast kropki i pauzy po skończonej przemowie — występuje Namondi.

Gada długo. Usprawiedliwia się, dlaczego strzelał do słonia, zaklina się, że nie miał zamiaru go zabić, ale uczynił to tylko we własnej obronie, gdyż stara, zła krowa go zaatakowała. Miał przytem — jak zapewniał — i wzgląd na „muzunga“, który jeszcze słonia nie zastrzelił, a przecież Namondi jest jednym z jego ludzi, więc wszystko, co on zabije, do „muzunga“ należy. Przynosi więc „niangę“ [1]), aby „muzungu“ mógł się pochwalić w Blantyre, jakiego ma strzelca i t. p.

I w dowód tego każe wnieść kieł słonia wraz z trąbą i złożyć to wszystko u moich nóg.

Następuje szereg klaśnięć Namondiego, poczem klaszczą już wszyscy dokoła, oddając jakoby w ten sposób należne mi honory.

Zapanowała cisza.

Zastanawiam się, dlaczego oddali tylko jeden kieł, boć przecież tutejsze słonie mają po dwa, ale jeszcze nie czas pytać — więc milczę, bo na pytanie lub odpowiedź muszę jeszcze poczekać.

Mam dokoła siebie około sześćdziesięciu głów. Siedzą w kuczki, góruję więc głową nad nimi. Ze swego siedzenia robię doraźny przegląd tych czarnych postaci, które w pierwszem uniesieniu potraktowałbym może niezbyt przyjaźnie, ale ochłonąwszy trochę, zaczynam rzecz traktować już na zimno. Przedewszystkiem staram się odgadnąć, czy w tej komedji, jaką teraz odgrywają, jest więcej chytrości i przebiegłości wobec białego, czy też prawdziwej ich natury, urobionej w środowisku i warunkach, w jakich żyją.

Przychodzę do przekonania, że bądź co bądź, skoro uznają mię za tego, przed którym muszą zdać rachunek ze swego

---

[1]) Nianga = kość słoniowa.

postąpienia, skoro zachowują formy, jakie obowiązują ich także wobec własnej starszyzny, musi to być zapisane na ich korzyść. Nawet gdyby mię okłamali i skradli jeden kieł, to czyż postąpiliby w tym wypadku inaczej, aniżeli to jest w ich zwyczaju przy każdej sposobności?

Czyż nie starają się w ten sam sposób oszukiwać własnych królików, choć wiedzą, że w razie wykrycia oszustwa czeka ich pewna śmierć? Dlaczegożby mieli inaczej postępować ze mną, białym, którego podejrzewają zawsze o najgorsze rzeczy?

Ta refleksja mię uspokaja.

Postanawiam — przynajmniej pozornie — okazać im uznanie za lojalne ze mną postępowanie, zachowując jednak ostrożność, a nawet podejrzliwość wobec ich sprawozdań. Muszę ich umocnić w przekonaniu, że „muzungu“ nie da się tak łatwo w błąd wprowadzić.

W czasie wypraw, gdy się ma do czynienia z większą liczbą ludzi w karawanie, musi Europejczyk stawiać siebie na stanowisku najwyższego ich wodza i zgodnie z tem postępować, inaczej nie potrafi tych ludzi utrzymać w ryzach. Musi uzurpować sobie wszelkie prawa, przynależne ich władcom, i w żadnym wypadku z nich nie rezygnować. Tam, gdzie jeszcze żadne państwo europejskie władzy swej utrwalić nie mogło, a odwoływanie się do władzy miejscowych królików nie przynosi białemu żadnego dobrego rezultatu, nie zaszedłby daleko ten, ktoby chciał kierować się względami, do jakich przywykł w Europie; poprostu nie uznawanoby go i lekceważono jego rozkazy.

Ponieważ mnie jako organizatorowi wyprawy i jej naczelnikowi należało — wedle ich pojęć — oddać wszystko, co oni zdobyli, upolowali lub znaleźli w czasie ekspedycji, zatem z upolowanego słonia powinni byli oddać oba kły, za co i tak wobec ich króla odpowiadałem.

Tymczasem przynieśli tylko jeden kieł.

Zaczynam dochodzenie.

— Namondi! Co znaczy ten kieł? Gdzie jest drugi?

— Niema drugiego.

— Jakto niema? Kto go zabrał?

— Nie wziął nikt, nie było.

— Namondi mów prawdę! Przede mną nic nie ukryjesz.

— Klnę się na „Muzima“, „muzungu“, mogę wypić „moawi“ na dowód, że słoń miał tylko jeden ząb. Była to stara samica, bardzo zła, a taka bez powodu napada ludzi. „Mfumo“ tej wsi widział czaszkę, może potwierdzić, że mówię prawdę.

I zwracając się do naczelnika, klaszcze w dłonie jakby z prośbą, by się za nim ujął.

— Tak, „muzungu“! Namondi czystą prawdę mówi.

— Być może... trafiają się słonie z jednym kłem, są nawet bez kłów, ale przy sposobności pokażesz jego czaszkę, która tam musiała zostać na stepie. Ona będzie najlepszem świadectwem twojej prawdomówności.

— Inde! Inde! Tak! Tak! — powtórzyli wszyscy.

Aby jak najrychlej pozbyć się ludzi miejscowych, którzy w oczekiwaniu długich dysput rozsiedli się dokoła, kazałem Antoniemu, aby zaraz wydał naczelnikowi wsi sztukę perkalu i wezwał go do opuszczenia naszego obozu.

Namondi dostał również podobną ilość (29 metrów) do podziału między swoich ludzi, oraz zapewnienie, że karabin, z którego zabił słonia, będzie jego własnością po skończonem polowaniu.

Radość, jaka zapanowała po tych słowach, wyraziła się w tak rzęsistych oklaskach, że przestałem samego siebie słyszeć. Przerwałem ten wybuch, aby zakończyć nieoczekiwaną przez nich zapowiedzią, że od tej pory ani Namondiemu, ani żadnemu z ludzi nie wolno strzelać do słoni bez mego pozwolenia.

— Nawet gdyby na nas się rzucił? — pyta jeden ze strzelców Namondiego?

— Nawet i w takim wypadku...

Stropili się tem, pokręcili się na miejscu, jakby chcieli o coś jeszcze zapytać, ale zobaczywszy, że się odwróciłem, co oznaczało, że posłuchanie skończone — odeszli do ogniska.

Gdy noc jasna i spokojna, jak to bywa w tej porze roku, a moskity nie dokuczają, lubię zdala krążyć koło ognisk obozowych, przysłuchiwać się rozmowom czarnych i obserwować ich zwyczaje. Niejednokrotnie udaje mi się podpatrzeć taki szczegół charakteru, który w innych warunkach uszedłby mojej uwagi, a który pozwala mi pobłażliwiej oceniać czarnego bliźniego, niż to jest w zwyczaju przygodnych podróżników. Muszę stwierdzić, że czarni posiadają wiele stron dodatnich, ale się z tem nie zdradzają, jakby w obawie, że w oczach swych współbraci uważani będą za głupców.

Przesiedziałem jeszcze dzień we wsi, aby przygotować się do dalszej wycieczki.

Następnego poranku, dobrawszy sobie kilku ludzi, wyszedłem na step. Martinio obejmuje nadzór ogólny, Kaniole zaś, znający się dostatecznie na sztuce tropienia i obeznany z okolicą, zastępuje Namondiego. Mimo swego wieku młodego, gdyż ma najwyżej lat szesnaście lub siedmnaście, zasługuje na to wyróżnienie. Jest odważny i przywiązany do mej osoby.

Gdyśmy się tylko dostali na skraj stepu, zwróciliśmy się zaraz ku zachodowi, którędy mogliśmy najkrótszą drogą dotrzeć do rzeki.

W pewnem oddaleniu spostrzegamy leżący jakiś ciemny przedmiot, nad którym krążą sępy i marabuty. Gdy dochodziliśmy do tego miejsca z padliną, zerwały się trzy hieny i pognały w step. W tej samej chwili spadły na te zwierzęce resztki (a była to zebra, prawdopodobnie w nocy przez lwa zabita) sępy i marabuty. Powstała krótka walka między tą zgrają, bo marabuty, bijąc w prawo i w lewo swemi potężnemi dziobami, nie chciały dopuścić reszty towarzystwa do uczty.

Przez chwilę przypatrywałem się tej scenie, wreszcie z małego karabinka posłałem jednemu z marabutów dobrze wycelowaną kulkę. Czołgając się przy pomocy skrzydeł, usiłował jednak jeszcze się bronić, gdy go chłopcy doganiali. Uderzenie dzidą po łysej pałce uspokoiło go na zawsze.

Pęk delikatnych piórek, jakie miał pod ogonem, okazały się zbyt marnym łupem, aby dla nich pozbawiać życia tak pożytecznego ptaka, który wraz z sępami pełni w puszczy afrykańskiej służbę sanitarną, oczyszczając z padliny okolicę, niszcząc węże, skorpjony i wiele szkodliwych owadów. Na przyszłość okażę marabutom te same, co i sępom, względy.

Pośród licznych tropów, jakie się tu krzyżowały, zwróciły naszą szczególną uwagę tropy „nczefu“ [1]), czyli łosia afrykańskiego, jednej z największych antylop tego kraju. Ślady były całkiem świeże i wiodły w kierunku zarośli, skąd niedawno wyszliśmy.

Tropy, bardzo podobne do bawolich, więcej tylko wydłużone i nieco rozwarte, same przez się mówiły, jak wielkie być musi stworzenie, które może poszczycić się tak wielką racicą. Antylopy tej dotychczas nie widziałem, więc nietrudno mię było skłonić do podjęcia tropu, do czego bardzo zachęcał Kaniole, jakkolwiek trzeba było zawrócić z drogi.

Szczęście jednak tym razem sprzyjało. Zaledwie znalazłem się w krzakach, już stałem naprzeciw ogromnego byka. Stało się to tak nagle i nieoczekiwanie, że zdziwienie było chyba po obu stronach.

Byk stał spokojnie w odległości może osiemdziesięciu kroków, uważnie nas śledząc oczyma. Przednią część ciała krył mu pień drzewa tak, że zaledwie górna część łopatki przeglądała w rozwidleniu konarów.

Nie mając lepszego celu, a w obawie, że mi umknie,

---

[1]) Nczefu = Oreas cauna.

gdy zrobię niebaczny ruch, bardzo wolno podniosłem broń do twarzy i strzeliłem w to rozwidlenie.

Gwałtownym rzutem wprzód byk zaznaczył otrzymany strzał, potknął się dwukrotnie, ale pognał w step, dokąd pociągnął za sobą resztę stada, ukrytą gdzieś dotychczas wśród krzaków.

Nie odbiegł jednak daleko, zawraca. Korzystam z tej chwili i w szybkim biegu, przeciąwszy mu drogę, pakuję mu drugą kulę w komorę. Ale i ten strzał nie potrafił go powstrzymać. Wierzgnął, jak koń, batem uderzony, i w ciężkim galopie dopadł zarośli. Tam przepadł z resztą stada.

Oba strzały trafiły — i trafiły dobrze, ale czyż można liczyć na broń tak małego kalibru, jakim jest mój półekspress Nr. 450 — wobec tak potężnego zwierza. Burowie strzelają go zawsze z wielkich kalibrów, jakich używają na grubego zwierza; a są to nietylko pierwszorzędni strzelcy, ale także myśliwi o największem doświadczeniu w łowach na terenie afrykańskim.

Tymczasem Kaniole prowadził swoją robotę. Z miejsca, gdzie „nczefu“ otrzymał strzał pierwszy, przyniósł gałązkę dobrze ofarbowaną, a wnet na różnych punktach okazał mi krwawe plamy. Idąc za temi wskaźnikami, zdążamy powoli ku krzakom.

Tu ślad gubimy. Pokrzyżowane w różnych kierunkach tropy każą się nam zatrzymać. Siadając i kładąc się naprzemian na ziemię, usiłujemy z rozlicznych, tylko wprawnemu oku dostrzegalnych znaków, odróżnić trop ranionego zwierza od tropu reszty towarzyszów, czy towarzyszek, gdyż farba zupełnie się już zatarła.

Za gęstwiną, w której jeszcze tkwimy, widać wolną przestrzeń.

Już mamy wejść na nią, gdy oto z przeciwnej strony wysuwa się z krzaków całe stado. Zjawiają się, jak na rozkaz, i zbliżają się do naszego ukrycia.

Jest ich dwanaście sztuk. Są to, jak się zdaje, same

krowy, a może kilka młodych byczków, czego z tej odległości rozeznać nie mogę — ale starego byka niema.

— Czyżbym go nie dostrzegł?

Przecież trudno tu o omyłkę. Wyróżniał się bowiem tak wybitnie swym ogromem i ciemno-szarą barwą sierści, że wśród reszty, niklejszej i jasno-czerwonego koloru, wyglądał na antylopę innego gatunku.

W tym czasie antylopy zbijają się w kupę, przystają i oglądają za siebie, jakby czekały na swego przewodnika, który może już gdzieś zaległ w gęstwinie.

Są jeszcze w odległości przeszło dwustu kroków, ale jestem już gotów do strzału. Siedząc na ziemi, mam możność oparcia strzelby także na kolanach — więc strzał pewny. Wykorzystuję też moment, gdy jedna z antylop na połeć staje — i strzelam.

Ku memu zdumieniu sztuka, większa może od naszego bydła rasowego, pada natychmiast na halawę, wierzgając wszystkiemi racicami. Nie może się już podnieść.

Kaniole podbiega jak wicher. Chwyciwszy za rogi, zabiera się do poderznięcia gardzieli mimo mych nawoływań, aby się miał na baczności.

Potężne rogi tej antylopy, proste i ostre, zdają się być bronią, którąby mogła tak marnego przeciwnika, jakim dla niej jest człowiek, przebić na wylot bez wielkiego wysiłku.

A jednak to właśnie zwierzę jest najmniej wojownicze z wszystkich antylop.

Kaliber 450 naprawił swą reputację. Jak na odległość dwustu czterdziestu trzech kroków, które odliczyłem, strzał był i celny i efektowny, gdyż unieruchomił odrazu zwierzę, co u antylop, dobrze w komorę strzelonych, niezawsze się zdarza.

Raniony byk odbił się od stada i zaszył gdzieś w gąszcz, gdzie go dla spóźnionej pory już szukać nie chciałem. Szkoda go, bo był to pyszny okaz, a rogi miał olbrzymie.

Aby rozebrać zwierza i przetransportować mięso do obozu,

musiałem pozostawić tu część ludzi. Zostaje między niemi kucharz, bo ma polecenie część mięsa pokrajać w pasy, posolić i dziś jeszcze dać do wędzenia na sposób burski. Mięso tej antylopy najbardziej się nadaje na tego rodzaju wędlinę, którą można jeść na surowo.

Kucharzowi też polecam mieć w opiece czaszkę i rogi i dziś jeszcze wziąć się do ich oczyszczenia.

Zakonserwowanie rogów na czaszce nie jest tak łatwe, jakby się napozór wydawało, gdy się ma tutejszy klimat na względzie. Czasem najpiękniejsze trofea idą na marne, zanim mogłeś je wywieźć do Europy, bo stoczyło je robactwo.

Dobrym, lecz niezawsze celowym sposobem oczyszczenia czaszki z części mięsnych i tłuszczu jest włożenie jej do mrowiska czerwonych mrówek, które tę pracę wykonują z wielką starannością. Ale pozostaje kość możdżeniowa, do której one dobrać się nie mogą, a ta jest pełna tłuszczu i przeszkadza dalszemu osuszeniu.

Gdy zaś czaszkę wystawisz na działanie słońca, co zdaje się na oko najrychlej prowadzić do celu, tłuszcz topi się, a jakiś gatunek małych much składa co rychlej swe jajeczka. Wylęgnięte w czas jakiś gąsieniczki pracują dalej. Żłobią pomiędzy kością możdżeniową a rogiem drogi wgłąb, aby wkońcu po przewierceniu samych rogów, zapoczwarczyć się nazewnątrz w kształcie kosmatych woreczków.

I jakież zdziwienie ogarnie potem posiadacza takich trofeów, gdy na rogach, zdobiących dumnie ściany jego mieszkania, zobaczy naraz porost, jakiego się tam zobaczyć nie spodziewał.

Słońce już mocno zniżyło się na zachodnim widnokręgu, gdy doszliśmy do Sziry.

Sześć godzin marszu pod żarem podzwrotnikowego słońca, do tego na terenie nierównym i pokrytym niedopałkami grubych traw, może znużyć nawet najbardziej wytrenowanego piechura. Dał on się nam we znaki tem bardziej, że ostatnią godzinę błądziliśmy wśród dżungli trzcinowej, nie

mogąc znaleźć nigdzie naturalnego przejścia, któreby nas w prostej linji prowadziło do rzeki.

Wynieśliśmy z tej wyprawy ciało boleśnie pokaleczone, a szczególniej ramiona, narażone najbardziej na ukłucia liści trzcinowych ostrych i kruchych.

Z prawdziwą tedy ulgą powitaliśmy widok rzeki.

Radość nasza była tem większa, że równocześnie natknęliśmy się na drożynę słoni i na świeże ich tropy. Był to jeden z przesmyków, którędy zwykły były przeprawiać się na wyspę, widocznie często uczęszczany, drożyna bowiem przy brzegu kończyła się wyżłobieniem prawie na stopę głębokiem.

Ślady niedawnego tu pobytu słoni były aż nadto widoczne. Obficie rozrzucony gnój w formie wielkich kul, miał jeszcze świeżą woń. Kaniole poddał go skrupulatnym badaniom i stwierdził, że pochodził z nocy dzisiejszej. Niestrawione orzechy palmy „ngwalangwa“ [1]) świadczyły, że stado szło od południowego wschodu, z nad Ruo, gdzie ten rodzaj palmy rośnie.

Boki rowu już u samego wejścia do wody wypolerowane były pod ciśnieniem ich olbrzymich ciał i świeciły dotychczas jakby politurą z wody i mułu.

Próby nasze przedostania się tędy na wyspę spełzły na niczem. Woda u brzegu sięgała wszędzie powyżej pasa, a spodziewać się należało, że dalej będzie głębiej.

Idziemy więc wgórę rzeki, a chłopcy sondują przy pomocy trzcin głębokość koryta.

Po jakimś czasie trafiamy na miejsce, gdzie kanał znacznie się zwęża. Odległość, dzieląca nas od wyspy, wynosi zaledwie kroków trzydzieści.

Tu należy szukać brodu.

---

[1]) Ngwalangwa — Hyphaene (?) potocznie tu zwana palmą piernikową (Gingerbread-palm ang.). Jest to ta sama palma, której liście służą tubylcom do wyplatania mat, koszyków i torb, oraz do kręcenia lin, używanych przy holowaniu łodzi pod wodę podczas wysokiego stanu wody.

Ponieważ pierwsze sondowania wypadły dobrze, przygotowujemy się do przeprawy. Najbardziej przygotowują się ci, co najmniej mają na sobie do zmoczenia, t. j. czarni. Zdejmują z siebie fartuszki i umocowują je na wierzchu tobołów, które niosą na głowach wraz z bronią, aby im nie zawadzała, bo w ręku musi mieć każdy gruby kij trzcinowy dla straszenia krokodyli.

Ja — jako najcenniejszy toboł — pojadę na plecach Kaniolego. Nim weszliśmy w wodę, przetrzepali chłopcy kijkami jej powierzchnię, a uczynili to z taką zawziętością, jakby chcieli gniew swój wywrzeć na rzece, która śmie ukrywać te ohydne płazy.

W ciągu tej czynności wszedł pierwszy w wodę przodownik, którego obowiązkiem było mierzyć ciągle głębokość, gdyż woda tu mętna i dno niewidoczne.

Tuż za nim postępowała reszta ze mną w pośrodku. Idziemy powoli, krok za krokiem, aby nie wpaść w jaką zdradliwą głębię, przyczem chłopcy ciągle biją o wodę kijami, a nogami kopią, aż woda dokoła kipi, pieni się i faluje.

Ma to być najlepszy sposób płoszenia krokodyli. Krzyczeć nie można ze względu na możliwą obecność słoni na wyspie.

W ten sposób zbliżamy się do przeciwległego brzegu. Z mego stanowiska śledzę w naprężeniu idącego przede mną pilota. Woda dotychczas sięga do pasa, i zdawało się, że przeprawa pójdzie najgładziej.

I oto już tylko dwa, czy trzy kroki dzieli nas od wyspy. Jeszcze parę sekund — i będziemy na bezpiecznem miejscu.

Naraz mój pilot zanurza się po szyję.

Dreszcz mię przeszedł; nie wiem, czy iść dalej — czy zawracać.

Gdy się waham, pilot się już zorjentował, co ma czynić. Jednym silnym rzutem wprzód dopadł brzegu, i uchwyciwszy się za rosnące tam trzciny, zręcznie się wydźwignął i stanął na lądzie. Wtedy i my, rzuciwszy się jakby wpław,

wydostajemy się na wyspę wprawdzie trochę podmoczeni ale cali.

Kafrzy, którzy z minami serjo zabierali się do tej przeprawy, śmieją się teraz serdecznie, jakby im się udał jaki dobry kawał. I jest z czego się cieszyć, gdy się zważy, że pierwszy większy krokodyl — a są tu i olbrzymy — wziąwszy na odwagę, mógłby bez możliwości z naszej strony obrony spróbować potężnych swych zębów na naszych łydkach. A jest on szalenie zwinny w swym żywiole, gdzie my nieobrotni i bezradni.

Przeprawa tego rodzaju — to gra w loterję: uda się, albo się nie uda. Chcąc w tym kraju polować, trzeba grać ciągle. I nie możesz z tego zrezygnować, gdy zajdzie potrzeba, bo musiałbyś wogóle zrezygnować i z polowania i z podróżowania po Afryce.

6. ZE SŁONIEM OKO W OKO.

Słońce zaszło; za kilka minut nastanie noc.

Moskity zaczynają już swoje zwykłe harce, bo jest ich tu znacznie więcej, aniżeli na stepie, a my kręcimy się ciągle jeszcze po dżungli trzcinowej, szukając możliwie odpowiedniego skrawka ziemi na nocleg.

Ale oto i ścieżka ludzka. Gdzież nas ona zawiedzie, może do osad ludzkich?

I rzeczywiście. Niebawem las trzcin się skończył, a otwarta, dość obszerna halawa powitała nas zielenią kukuruzy, manioku i ogromnych łopuchów, miejscowego tytoniu. W chwili, gdy już zupełny zmierzch położył smętną zasłonę na otaczający nas krajobraz, znaleźliśmy się wpobliżu sadyb ludzkich.

Z poza zielonej gęstwiny, błysnęły jakoweś ogniska. Są ludzie!

Gdy z kukuruz wyszliśmy na mały placyk, siedzący tam przed szałasami czarni chcieli umykać. Kilka energicznych słów Kaniolego zatrzymało ich i uspokoiło.

Stanęli, chwilowo niemi i bezradni, ale zapewnieni o przyjacielskich z naszej strony zamiarach, zaprosili, lubo nieśmiało, do zajęcia miejsca przy ognisku.

Po perkalowym podarunku, który kazałem zaraz wręczyć najstarszemu z nich, rozwiązały się języki. Wnet też w najlepszej zgodzie zasiedli z naszymi ludźmi, a nawet zaczęli dzielić się z nimi swojem jadłem.

Dla mnie znalazł się nawet podarunek, a mianowicie kilka ryb z dzisiejszego połowu. Uprzątnięto też jeden z szałasów, gdzie kazałem zaraz przygotować legowisko, czując się ogromnie znużonym.

Chociaż łoże nie miało żadnej pretensji do tego miana, rozciągnąłem się na niem z niekłamanem zadowoleniem. Po tak wyczerpującym pochodzie, gdy się już pada ze znużenia, uczuć pod sobą matę i koc, a pod głową poduszeczkę, to znaczy być przeniesionym w niebiańskie sfery. Do tego, gdy się spodziewasz, że i moskity niebardzo będą cięły, mógłbyś nawet zrezygnować z wieczerzy, bo niczem tak nie pokrzepisz sił, jak spokojnym kilkugodzinnym snem.

W czasie gotowania wieczerzy Kaniole, jako z tego kraju pochodzący, zawiązał dyplomatyczną rozmowę z tutejszymi ludźmi, aby zdobyć od nich trochę pewnych wiadomości o słoniach.

Niestety, nie szło łatwo. Nagabywani wytrwale przez chłopaka wymawiali się, że nie będąc myśliwymi, nie interesują się zupełnie słoniami. Przybyli z gór zachodnich, aby tu uprawiać tytoń, ale po zbiorach wracają znowu do swoich stałych siedzib.

Zresztą zakaz Malauriego obowiązuje do milczenia. Tam, gdzie chodzi o rzeczy królewskie, a słonie to przecież jego własność, mówić nie wypada.

Twierdzili, że tu na wyspach nikt nie poluje, na stepie zaś to jedynie Cziuta[1]), najstarszy syn króla. Ale też on znany jest w całym kraju, jako najodważniejszy myśliwy.

[1]) Cziuta = wielki łuk.

Niewszyscy mają odwagę spotkać się ze słoniem oko w oko na pustym stepie lub w dżungli trzcinowej.

Wiedział o tem Kaniole, bo pochodził ze wsi Cziuty i nieraz mu towarzyszył na polowaniach, ale nie zdradzał się z tem. Natomiast tłumaczył poczciwcom, że co innego czarny, co innego zaś biały człowiek, że „muzungu“ — to przyjaciel króla, i może polować, gdzie chce.

Ponadto zapewnił ich, że w razie zabicia słonia mogą się spodziewać od jego pana takiej ilości perkalu, że zliczyćby tego nie potrafili.

To odniosło skutek.

Zanim zjedzono wieczerzę, miałem już zgodzonego przewoźnika i przyrzeczoną łódkę.

Zasypiając słyszeć jeszcze mogłem, jak dysputowano, jak opowiadano o słoniach, od których jakoby aż roiło się na wyspach. Każdy z tutejszych wymieniał, gdzie i kiedy je widział, i każdy byłby najchętniej tym przewodnikiem na dzień jutrzejszy.

Obudzono mię bardzo wcześnie.

Długo namyślałem się, czy wstawać, czy nie. Bolały mię wszystkie członki. Otwierałem i zamykałem oczy, i pragnąłem jak najdalej odsunąć tę chwilę, kiedy już wstawać trzeba będzie koniecznie. I ciemna jeszcze noc to usprawiedliwiała, no — i łoże, które zupełnie zawiodło moje oczekiwania.

A tu przy ogniskach coraz gwarniej.

Już i Kaniole wtyka głowę pod dach szałasu i gada coś o herbacie.

Nie było rady — wstaję.

Herbatę wypiłem jednym tchem. Poleciwszy dwom chłopcom, aby pilnowali tobołków i czekali mego powrotu, daję znak do wymarszu.

Przewodnik z tyką i krótkiem wiosłem na ramieniu czeka. Jeszcze któryś z nich gdzieś się zawieruszył, więc przewodnik przynagla, bo chce jeszcze przed wschodem słońca objechać najbliższe wyspy, a obszar to przecież znaczny.

Blisko tego miejsca, gdzie wczoraj wbród przeprawialiśmy się na wyspę, znajduje się mała zatoka, do której nas wiedzie przewodnik. Tu — wyciągnięta na ląd i starannie w trzcinach ukryta — leżała mała „galawa“ [1]).

Objąłem ją krytycznym wzrokiem. Chociaż było ciemno, zauważyłem, że jest nietylko płytka i wąska, ale, na dobitek, połatana w wielu miejscach.

Przewodnik przy niewielkim wysiłku zepchnął ją do wody, poczem wskoczywszy do środka, zaczął bardzo flegmatycznie zatykać dziury przyniesionemi w tym celu szmatami.

Mimo wszystko woda przesączała się do wnętrza i bokami i dnem.

— Ładna perspektywa — pomyślałem — co to będzie dopiero, gdy wszyscy wsiądziemy?

Zalepianie otworów nie trwało długo; po skończeniu próbuję wsiąść.

Zaledwie włożyłem nogę — już mam pełno wody w buciku.

Fatalność!

Nie pozostaje nic innego, jak zdjąć obuwie — i jechać boso.

Wyłażę na ląd, ściągam buciki i, ze swoimi chłopcami wsiadłszy do łódki, przykucamy.

Łódź dotychczas dziobem o brzeg oparta, jakkolwiek się kołysze, wytrzymuje jeszcze nasz ciężar, ale, jak się zachowa na środku rzeki, to tylko przewoźnikowi wiadomo.

Tymczasem on już oparł tykę o nadbrzeżne błoto i usiłuje łódź od brzegu odepchnąć.

Nie idzie. Znaczny ciężar — a jest nas pięciu — przylepił łódź do błota.

Przewodnik więc zaczyna nią kołysać i obracać raz w tę, raz w tamtą stronę, a mnie aż podnosi, bo mam wrażenie, że musimy się wywrócić.

---

[1]) Galawa = łódź krajowa.

TABLICA XIII.

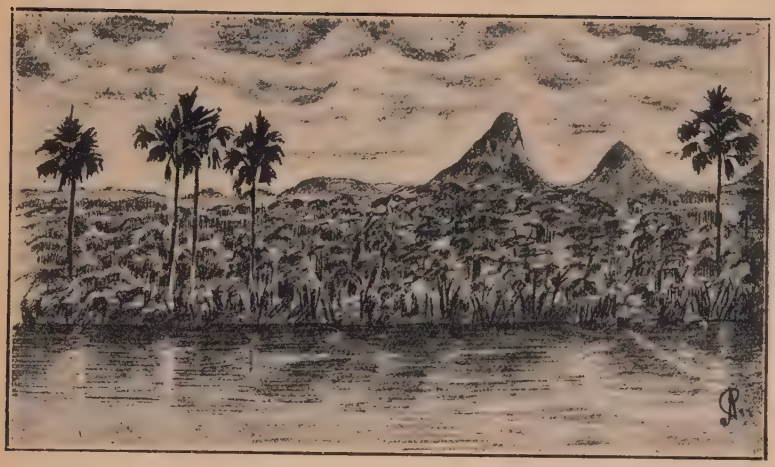

Widok gór koło Mpindy przed burzą. (Rzeka Szira).

Niespodziewane spotkanie ze słoniem w chwili wylądowania na wyspie.

Nareszcie silnem pchnięciem odrywa łódź od brzegu. Zachybotała się gwałtownie i wyrzucona niby z procy znalazła się odrazu na środku rzeki.

Prąd nas unosi; co to będzie? co to będzie?

Myślę oczywiście przedewszystkiem o sobie, bo zdaje mi się, że jestem potwornie ciężki, mając na ramieniu gruby kaliber o wadze przeszło piętnastu funtów, a na brzuchu pas z ładunkami, w których każda kula waży około ćwierć funta.

Z takim pasem ratunkowym można chyba pójść na dno bez żadnych trudności.

Ale przewoźnik zdołał już opanować sytuację, złożył tykę, siada. Chybotanie się zmniejszyło, odzyskujemy równowagę.

Wprawnym ruchem wiosła kieruje teraz łódź w kierunku biegu wody, a ta mknie szybko, zaledwie czasem drgnąwszy, gdy wiosło silniej potrąci o falę.

Okazuje się, że nasz przewoźnik jest zręcznym wioślarzem; to nie urodzony mieszkaniec gór.

Mimo wyiskrzonego gwiazdami nieba, ciemnica w kanale taka, że trudno się zorjentować, jaka odległość dzieli nas od jednego, lub drugiego brzegu. Na tle nieba zaledwie rozróżnić można linję trzcin, pokrywających oba brzegi.

Wiatr jeszcze się nie ruszył i panuje martwa zagadkowa cisza. Nie słychać jeszcze ibisów, zwiastujących zwykle budzący się poranek, ani żadnych innych głosów. Nawet murzyni, mając zalecone bezwzględne milczenie, nie zdradzają swojego istnienia.

A ostrożność taka jest konieczna.

O tej porze wracają hipopotamy z nocnych wycieczek. Wystraszone — a czujne są bardzo, gdy są na lądzie — gnają naoślep ku wodzie, aby jak najrychlej znaleźć się w swoim żywiole. I niechby się statek taki, jak nasz, znalazł blisko brzegu na drodze hipopotama, niby tego potwora nie powstrzymało od skoku na przejezdnych. Coby

się wówczas stało z łodzią i pasażerami — można sobie łatwo wyobrazić...

Upłynęło już może pół godziny, a mnie się zdaje, że podróż nasza trwa bez końca. Chciałbym jak najśpieszniej znaleźć suchy grunt pod nogami, bo wody przybywa coraz więcej.

Mija znowu pół godziny; kanalik przed nami się rozwidła. Wjeżdżamy pomiędzy dwie wyspy.

Tu prądu prawie niema, łódź posuwa się już wolniej. Przewoźnik powiódł oczyma po otulonych trzcinami brzegach, jakby czegoś szukał, poczem skierował dziób łodzi w ciemny jakiś tunel i, uderzywszy o brzeg, stanął.

Tu rów głęboki wrzyna się w ląd, a wysokie trzciny, pochyliwszy się nad nim, tworzą niby baldachim.

Błoto pokrywa ściany rowu. Łodygi trzcin są niem także omazane i to na wysokość człowieka.

Mrok, głusza i przyciszone głosy ludzkie wprowadzają mię w stan nerwowego oczekiwania jakichś nadzwyczajnych wypadków. Zachowują jednak spokój tembardziej, że przewoźnik przy wysiadaniu szepnął mi, że ze słoniami mogę się spotkać już na drodze.

Wdrapuję się ostrożnie na oślizgły brzeg, co przy moich bosych nogach i z ciężką bronią w ręku jest sztuką nielada.

Wreszcie jestem na stałym lądzie. Odsuwam kłujące trzciny i szukam miejsca, gdziebym mógł usiąść i wdziać buty.

Nie miałem jeszcze czasu odebrać bucików od murzyna, który szedł za mną, gdy naraz silniejszy szelest trzcin tuż obok przygwoździł mię na miejscu.

Czyżby wiatr poranny?

Oglądam się — i co widzę?!

Chłopak, za mną idący, leży plackiem na ziemi, a Kaniole z małym kalibrem i reszta w łodzi przykucnęła — i tkwią tam u brzegu bez ruchu.

Znowu szelest — teraz już nawprost mnie.

Biegną pytające oczy w tę stronę — a dłoń ściska mimowoli ciężki karabin, niestety, nienabity.

Szara masa zarysowuje się nieuchwytnemi konturami wśród trzcin w odległości już bardzo bliskiej.

A może to przywidzenie?

I wpatrując się w nią uważnie, przychodzę do przekonania, że może to być słoń, ale stoi tak nieruchomo... Więc opadają mię znowu wątpliwości: przez tych kilkanaście sekund, w czasie których obserwuję swoje vis à vis, poruszyłby przecież trąbą albo uszami.

Na tle nieco już rozjaśnionego nieba prowadzę wzrokiem po linji niby głowy, oczekując tam jakiegoś poruszenia, któreby mię przekonało, że ta szara masa, to nie zjawa, ale żyjący twór, że to ten, którego szukałem.

Niestety, niema żadnego znaku.

Słoń — jeśliby to on był — chyba nadsłuchuje, nie mogąc nas zwietrzyć.

Sytuacja nietylko głupia, ale wprost rozpaczliwa.

A może ich tam jest więcej? Wleźliśmy im niebacznie pod nogi i, jeśli ruszą na starą drogę, to nas stratują, lub wepchną do wody, gdzie krokodyle urządzą nam przyjęcie jeszcze lepsze...

W tych krótkich chwilach wahań się i niepewności, myśli kłębią się po głowie chaotycznie.

Broń w garści, coprawda, ale kurek nie odciągnięty. Ładuję więc i odciągam kurki: Krak! Krak!

Drgnęły uszy, trąba się podniosła do góry, Mam głowę, raczej czubek jej w trzech czwartych profilu przed sobą, i tyle tylko czasu, aby rozstawić bose nogi i strzelić.

Huk, dym, łomot oraz kopnięcie karabinu, które mię o mało nie wywaliło na ziemię, to pierwsze wrażenie po strzale. Dym, rozłażąc się leniwie dokoła, zasłonił wszystko.

Słyszę tylko słabnący łomot wśród gąszczy. Po chwili milknie wszystko.

Poszły!...

Nie mogłem strzelić dobrze. Głowa była tak blisko, a zarazem tak wysoko nade mną, że celując w widoczną dla mnie tę część ciała, musiałem spudłować, a w najlepszym razie chyba tylko drasnąć...

Czarni, zaskoczeni takiem nagłem najściem słoni, stracili całkiem głowy, zdrętwieli. Przerażenie odjęło im wszelką zdolność czynu. Tkwili tam, gdzie przykucnęli, i nie ruszali się.

Kiwam palcem na Kaniolego, nie widzi. Gwiżdżę raz i drugi, bo wołać nie mogę.

To przyprowadza Kaniolego do przytomności. Ten zawsze odważny i rozumny chłopak całkiem zgłupiał.

Podchodzi wreszcie do mnie z miną frasobliwą i mówi:

— Umknęły!

— To wiem, głupcze! Ale idź i popatrz na miejsce strzału, bo ja przecież ruszyć się nie mogę, jestem bosy.

Wraca niebawem, ma minę już rozjaśnioną, bo przynosi kawałek okrwawionej kości i kilka trzcin, zafarbowanych na czerwono.

— Raniony!...

Oglądałem już czaszkę słonia na stepie i wiem, jak wygląda. Nie tak łatwo dobrać się do mózgu, ukrytego głęboko pod ogromną kopułą kostną. Gdy się ma pozycję taką, jaką mi los zesłał przy spotkaniu z pierwszym moim słoniem, i złe oświetlenie — to lepiej nie strzelać...

Ponad mózgiem, który leży na linji oczu, i jest w stosunku do olbrzymiej głowy niewielki, góruje porządna czapa z gąbczastej kości, której nadwerężenie nie powoduje śmierci. Tak sobie przynajmniej tłumaczę — i to mię wcale nie pociesza.

Włożywszy buciki, w których mam pełno błota, idę na trop. Robi się jasno, gdy wkraczamy na trakt, wybity tłumną ucieczką słoni. A musiało się tamtędy przewalić sztuk kilkanaście, jakby wskazywała szerokość tego gościńca.

Na połamanych trzcinach krwawe otarcia tu i tam, jak również krwawe ślady pod naszemi stopami. Wszystko to jednak za słabe, aby mogło nam wróżyć powodzenie.

Posuwając się pod wiatr, który teraz się ruszył, zbliżamy się do miejsca, gdzie otwarta przestrzeń znaczy nam jakby brzeg rzeki, za którą widać znowu dżunglę.

Przewoźnik czołgając się zdąża do tego miejsca, a po chwili pokazuje nam coś na palcach.

Nie zrozumiawszy, o co mu chodzi, podkradam się do niego w ten sam sposób.

Przedziwny obraz ukazuje się mym oczom. Słonie jakby nas oczekiwały.

W bagnistem zagłębieniu, pokrytem zielenią wodorostów, stoi szereg olbrzymów. Stoją w jednej linji, jakby do ataku uszykowany oddział wojska. Głowy wzniosły wysoko, a trąby w naszą stronę wyciągnęły, jakby oczekując nieprzyjaciela, który z tej strony ma nadciągnąć.

Jedenaście sztuk.

Po błyszczących kłach, które przy oświetleniu wschodzącego już słońca wybitnie rysują się na ciemnem tle skóry, rozpoznaję w naszem „vis à vis“ samych młodych samców.

Leżymy bez ruchu, aby nie ściągnąć na siebie ich uwagi, bo postawa zwierząt nie wróży nic dobrego.

Może przygotowują się do szarży?

Pytająco patrzę na Kaniolego i moich chłopców, bo się tu także podczołgali.

Po ich minach poznaję, że są w strachu.

I mnie nijako, ale muszę udawać nieustraszonego, bo cóżby się stało z moją powagą? Czyż zresztą „muzungu“ może się bać?

Ale oto słonie robią zwrot jakby do odmarszu.

Zawachlowały uszy, trąby pod wiatr się wygięły; krok pierwszy zrobiony.

Trzeba się zdecydować, choć odległość znaczna, bo na bliższe podejście niema czasu.

Przyklękam więc szybko na jedno kolano i z tej pozycji strzelam do najbliższej mi, przedostatniej sztuki, a korzystając z małego zamieszania, ślę drugi pocisk tej samej sztuce, biegnącej już pełnym truchtem za innemi.

Uderzenie pocisku, które drugim razem najwyraźniej o ucho moje się odbiło, dało mi poznać, żem trafił w „miękkie".

Przepadło!

Słonie puściły się teraz przyspieszonym truchtem i w zupełnym porządku — sztuka za sztuką — wpadły do rzeki.

Z podwyższenia swego widzę, jak płyną przez głęboki kanał, jak gramolą się na przeciwny brzeg, jak wchodzą w gąszcz trzcinowy, aby tam zniknąć.

Lecz nie!

Jeszcze czasem zarysuje się nad wierzchołkami trzcin ta lub owa postać olbrzyma, jeszcze czasem mignie podniesiona wgórę trąba, jeszcze zawachlują na chwilę ich ogromne uszy, ale wkrótce płowa dżungla pokryła wszystko. Biorę w pomoc lunetę, ale i ta nie większą oddaje mi przysługę.

Przepadły!...

Po dłuższej przerwie odkrywam znowu zbiegów. Są już daleko na otwartym stepie.

Ponieważ idą gęsiego, mogę je policzyć; jest ich, niestety, ciągle jedenaście.

Patrzę za niemi uważnie ostatnim wysiłkiem oka, bo już odległość zamazuje obraz.

Czasem jeszcze zamajaczy jakiś cień, niewyraźna jakaś plama, poczem wszystko stapia się w jedność szarą i mglistą...

Jako na myśliwym ciążył jeszcze na mnie obowiązek zbadania tropów i efektu ostatnich strzałów. Tego nigdy nie zaniedbywałem dawniej. Ale dziś byłem tak zniechęcony, że uważałem za bezcelowe trudzić się więcej.

Czyż słonie w wytrwałej ucieczce przez step nie dały mi poznać, że kpią sobie z mych strzałów? Czyż nie zachowały się tak, jakbym do nich strzelał grochem?

Z tego, co słyszałem o słoniu afrykańskim od p. Sella i od czarnych myśliwych, możnaby spisać osobną książkę. Jak się jednak zachowuje słoń po strzale, ustalić trudno. Tyle wypadków, a każdy inny. Pewne tylko jest, że, o ile ranny był lekko, to stada nie opuszcza. Dopóki krwotok wewnętrzny tak go nie osłabi, że zmusi do zwolnienia biegu, dąży wytrwale za swoimi towarzyszami.

Nawet z raną śmiertelną, nie mogąc dotrzymać tempa innym, stara się iść po ich tropie, zapewne w nadziei, że go poratują. Bywały wypadki, że słaniającego się słonia brały inne pomiędzy siebie i własnemi ciałami go podtrzymywały, ba, nawet obtykały ranę błotem, aby zapobiec krwawieniu. Że słonie-matki z największą troskliwością opiekują się młodemi, nie ulega wątpliwości. Idą z pomocą nietylko własnym potomkom, ale równie gorliwie dzieciom innych matek, skoro tylko grozi im niebezpieczeństwo.

Lew, któryby chętnie pokosztował polędwicy słoniowej, wie o tem doskonale i starannie unika spotkania ze stadem karmiących matek. Wdawszy się w nierówną walkę, zostałby zaatakowany z wściekłością ze wszystkich stron, rozniesiony na kłach, lub stopami na miazgę rozbity.

W czasie ucieczki stada widzi się zawsze maleństwa, otoczone staremi, które je popychają trąbami, aby nie pozostały wtyle.

Gdy słoniątko straci matkę, znajduje zaraz opiekunkę w innej karmiącej samicy. Przyjmuje ona sierotę tak samo przychylnie, jak i własnego potomka.

Szczegóły te podaję z zastrzeżeniem, ale bez niedowierzania z mej strony. Odkąd obserwuję te zwierzęta, a więc od kilku miesięcy zaledwie, przyszedłem do przekonania, że odznaczają się one o wiele wyższym stopniem inteligencji, niż reszta czworonogów. Jeśli kto, to on, słoń, winien nosić miano króla zwierząt.

I ogrom, i siła, i — żeby się tak wyrazić — godność i rozum stawiają go ponad wszystkie inne zwierzęta.

Poszedłem jednak na trop. Okrążywszy bagno, odnalazłem go bez trudu. Trawy i ziemia stratowana, a tu i tam obficie krwią skropiona. Przy brzegu kilka większych kawałków skrzepu.

Podnosi jeden z nich Kaniole i, roztarłszy na dłoni, z powagą głosi:

— Rana w brzuchu!

— Tak — potwierdza cicho przewoźnik. — To za mało...

Po takiem orzeczeniu zrzedła mi mina doreszty.

Przewoźnik chce mnie jeszcze wieźć na inną wyspę, ale mam już dość tej dżungli z jej zdradzieckim gruntem. Pełno dziur, wytłoczonych jeszcze w okresie deszczów nogami słoni, do których co chwilę wpadasz, utrudniają ruchy. Są to prawdziwe wilcze doły o twardych brzegach, mniej lub więcej głębokie i często pełne wody. Bardzo łatwo pogubić w nich trzewiki, a w gorszym wypadku wykręcić lub złamać nogę.

Jedno tylko właściwe wyrażenie dla takiego terenu znalazłem w języku angielskim: honey combed[1]).

Nie dziwię się teraz, dlaczego czarni myśliwi niezbyt chętnie zapuszczają się na te wyspy, a z białych pono nikt jeszcze przede mną nie podchodził tu słonia, chociaż pozornie najłatwiej go tam odnaleźć.

Czyżby słonie, wyzyskując tę okoliczność, świadomie tu się kryły? Albo może trzyma ich w tych miejscach bliskość lasów palmowych, gdzie w porze deszczów obfite znajdują żerowisko?...

Powrót rzeką — to nowe ryzyko.

Nędzna „galawa“ tak często teraz napełniała się wodą, że wyczerpywać ją należało bezustannie, aby utrzymała się na powierzchni.

Gdy wdół rzeki płynęliśmy godzinę, to teraz pod wodę przy częstem zatrzymywaniu się i wymijaniu hipopota-

[1]) Nakształt plastra miodu.

mów, ciągle nam zagradzających drogę, zużyliśmy do trzech godzin.

W ciągu drogi słyszę, jak przewoźnik mówi do Kaniolego:

— A widziałeś „medycynę“ u strzelby „muzunga“?

— Nie — odpowiada zapytany.

— A więc jak mógł zabić słonia?

Kanicle rusza głową, jakby się namyślał, ale nic nie odpowiada. Patrzy tylko na moją śliczną broń kalibru 8, którą trzyma na kolanach, i uśmiecha się.

Czyżby i on tę potężną broń ze słynnej fabryki londyńskiej Holland & Holland miał za nic?

Czyżby ich strzelby kapslowe, a nawet skałkowe, przez uwiązanie jakiegoś talizmanu, kawałeczka drewna, warte były więcej niż moja?

Bo z pewnością nie zastanawiają się nad tem, że w obydwu wypadkach strzelałem właściwie na chybił-trafił. Bo gdyby mi wówczas zaświtało w głowie zdanie, jakie mi często p. Sell powtarzał, że do słonia strzela się „na punkt“, albo się całkiem nie strzela, byłbym i pierwszą i drugą sztukę zostawił w spokoju.

Celując do pierwszej na bardzo małą odległość, stałem wdole z lufą, podniesioną conajmniej o 45° do górnej części głowy, zatem pocisk musiał pójść ukośnie i ranił zwierzę tylko powierzchownie; celując do drugiej, nie liczyłem się z odległością, a przedewszystkiem z ciężarem broni i napewno zdołowałem. „Rana w brzuchu“ — to określenie Kaniolego bardzo do prawdy zbliżone.

Rozbierając w myśli te wszystkie okoliczności, chciałem się sam przed sobą usprawiedliwić. Trudno jednak było odegnać wrażenie, że słoń to nie byle jakie zwierzę, które pierwszy lepszy myśliwy może zastrzelić. To wybraniec z całej plejady czworonogów afrykańskich, do którego trzeba przystępować z pewnem przygotowaniem, a przedewszystkiem — mieć szczęście.

Z białych, którzy w tym kraju przede mną polowali,

jedynie Fenwik i Rhodes poszczycić się mogli zabiciem słonia, a polowali przeważnie w lasach. Reszta, choć dobrzy myśliwi i strzelcy, mimo takie trofea, jak bawoły, nosorożce i lwy, nie mieli słonia na rozkładzie.

Czyżbym i ja miał do nich należeć?

Czuję to i ogarnia mię zniechęcenie.

Zanim powróciliśmy na wyspę, gdzie spędziłem noc dzisiejszą, niebo zaciągnęło się chmurami.

Od wschodu powiał silny wiatr i przyniósł od gór echo dalekich grzmotów. Zanosiło się na nawałnicę.

Całą noc szalała burza, typowa burza podzwrotnikowa. Błyskało się w tempie tak szybkiem, że niebo zdawało się płonąć fioletowym ogniem. Raz wraz biły pioruny w wodę, a deszcz nie padał, ale wylewał całe potoki na spragnioną oddawna ziemię.

O spaniu nie było mowy.

Szałas, gdzie miałem swoje legowisko, przedstawiał istny bajor. Dach był jak rzeszoto i tak trzeszczał pod uderzeniami wichru, że każdej chwili spodziewać się mogłem, że pójdzie w strzępy.

Zebrawszy na kupkę manatki, przykryłem się kocem, i tak w kącie przesiedziałem do rana. Byłem mokry nie mniej od tych, co tłoczyli się nazewnątrz pod okapami.

Po północy burza ucichła, a rankiem, gdy wschodzące słońce zaglądnęło przez ażurowe ściany szałasu i wywabiło mię na dwór, mogłem znów podziwiać niepokalanej czystości błękit nieba i odetchnąć z ulgą odświeżonem przez burzę powietrzem.

Przyszło suszenie tobołków i czyszczenie strzelb, które przez tę jedną noc pokryła rdzawa powłoka — i to zabrało nam kilka godzin.

Opłaciwszy przewoźnika hojniej, aniżeli tego się spodziewał, dostąpiliśmy zaszczytu, że cała osada odprowadzała mię do brzegu wśród ogromnej czołobitności. „Muzungu“ urósł w ich oczach do zjawiska opatrznościowego,

ustroił ich bowiem wszystkich w fartuszki za jednym zamachem.

Nie opuścili brzegu tak długo, dopóki wszyscy — a przeprawialiśmy się w trzech partjach — nie znaleźliśmy się po przeciwnej stronie, gdzie nas wnet pochłonęła płowa dżungla.

Dopiero w samo południe przebrnęliśmy obszar trzcin i dostaliśmy się na otwarty step. Upał był straszny, a zmęczony nieprzespaną nocą ledwie wlokłem nogi za sobą. Zwierza rozmaitego plątały się dziś po stepie setki, przeważnie „niakozwe“ i bawoły. Jedno stado bawołów, któreśmy pędzili przed sobą czas dłuższy, liczyć mogło kilkaset głów. Nie miało to już dla mnie żadnego uroku, patrzyłem na nie, jak na stado bydła domowego.

Późno w noc stanęliśmy w Gozi, zbłądziwszy dwa razy wśród zarośli tuż pod wsią.

7. PRZED NOWĄ WYPRAWĄ NA SŁONIE.

W czasie naszej nieobecności przyszła tu wieść, że Malauriego wybrano naczelnikiem Makololów.

Wielka ta nowina nie pozostała bez sympatycznego oddźwięku w naszej wsi, której naczelnik pozostawał w jakimś stosunku pokrewieństwa z rodziną królewską. Ucztowano już od wczoraj.

Jeszcze byliśmy na stepie, a więc w odległości przeszło pięciu kilometrów, jednak już dochodziły nas odgłosy bębnów i chóralne śpiewy tańczących. Hałas wzmagał się z każdą chwilą i był nam jedynym przewodnikiem wśród ciemności, gdyż Kaniole zgubił ścieżkę wśród gąszczu i torował drogę naprzełaj.

W obozie zastałem tylko dwóch chłopców, którzy pilnowali naszych rzeczy. Reszta brała czynny udział w uroczystości, starsi popijali „pombe“, młodsi tańczyli.

Ledwie miałem możność odsapnąć trochę, już zjawił się

„mfumo“ Gozi z zaproszeniem na „pombe“, przyczem nie obeszło się od wycyganienia pół baryłki prochu, bo uroczystość tak wielka bez salw karabinowych obejść się nie mogła. A mnie, jako przyjacielowi króla, powinno było zależeć na tem, aby uczczenie wyboru odbyło się z jak największą pompą. Tak przynajmniej sądził mój gospodarz — naczelnik wsi.

Mimo znużenia wiłem się na łóżku całą noc, klnąc w duszy Malauriego i jego wiernych poddanych.

Bębnili, klaskali i strzelali do rana; wreszcie trochę przycichło, więc usnąłem.

Obudziłem się dopiero w południe.

Postanowiwszy nie polować przez kilka dni, zabrałem się zaraz do rozmaitych robót, niecierpiących zwłoki.

Przedewszystkiem musiałem naprawić płócienne buciki, które już zaczęły się rozlatywać. Miałem wprawdzie drugie, skórzane, jako rezerwowe, ale te były na tę porę gorącą, za ciężkie. Ponadrywane podeszwy gumowe należało umocnić, na szpice zaś, podziurawione przez ostre niedopałki traw, nałożyć świeżą skórę.

Ponieważ zwykła dratwa okazała się zbyt słabą, użyłem do tego celu odpowiednio spreparowanej skóry słonia, pokrajanej w wąskie paski.

Materjał ten przysposobili moi ludzi, którzy, nie mając co robić, zabijali czas wyrobem różnych przedmiotów, jak pasy, ładownice i torby, no i handlowaniem tem z tutejszymi ludźmi za tytoń, owoce lub czasem — i wino palmowe.

Sposób wyprawiania skór naprędce jest następujący: świeżą skórę moczy się przez kilka dni w wodzie, o ile możności płynącej, bacząc, aby przez cały czas była pod wodą. Gdy dostatecznie zmięknie, oczyszcza się ją zapomocą tępego noża z włosów i części tłuszczowych, a po opłókaniu suszy się na słońcu. W ciągu suszenia staje się ona prawie przezroczysta i twardnieje.

Po wysuszeniu, gdy już zesztywniała nakształt deski,

oklepuje się ją starannie, do czego służą tu przeważnie dwa kamienie, jeden płaski, drugi okrągły, lub młotek drewniany. Klepanie trwa tak długo, dopóki skóra nie stanie się matowo biała i giętka, do czego przyczynia się też dodatek jakiegokolwiek oleju, a jak to tu spostrzegłem, rycynusowego.

Wprawdzie skóra taka nie nadaje sie na obuwie, ale dla celów czarnego jest wystarczająca, przedmioty zaś, z niej wyrobione, kursują w tutejszym handlu zamiennym.

Następnie przyszła kolej na robotę rusznikarską.

Już dawno chciałem zamienić muszkę stalową przy moim karabinku kal. 450 na kościaną. Była zanadto ciemna i przy celowaniu do zwierza, nie uwydatniała się tak dobrze na tle jego skóry, jak muszka z białego metalu lub kości. Była to jednak już robota trudniejsza, zwłaszcza przy braku odpowiednich narzędzi. Ale przy pomocy tych kilku, jakie zawsze miałem z sobą, udało mi się nową muszkę niezgorzej wyrobić, tak, że odpowiedziała zupełnie swojemu celowi. Kilka strzałów do tarczy, na którą użyłem kawał starej skóry bawolej, przekonało mię, że zmiana ta w niczem nie naruszyła celności mego półekspresa.

W tym czasie wyłatałem także swoje wełniane koszule, a tylko takich do polowania używałem. I był to już czas ostatni, bo miejsca na ramionach od ciągłego dźwigania broni dawno już świeciły dziurami.

Na tem zeszło mi trzy dni.

Po niefortunnem mojem pierwszem spotkaniu ze słoniami zawahałem się, czy mam jeszcze próbować szczęścia w tem polowaniu, czy też pozostawić słonie w spokoju i resztę sezonu, który i tak dobiegał końca, poświęcić innej zwierzynie. A tyle ich jeszcze brakowało w moim spisie.

Z wielkich antylop, nie zastrzeliłem jeszcze potężnej „ngomy“ [1]), ani też mniejszej odmiany tego gatunku „mbou“,

[1]) Ngoma = Strepticeros Kudu.

o której tylko słyszałem, ani dzikiego „gnu“ [1]), którego należało szukać bliżej jeziora Szirwy, ani też nosorożca, mimo, że kilkakrotnie w gąszczach nań natknąłem się, pomijając całe szeregi mniejszych antylop, zaledwie z nazwy mi znanych.

A cóż dopiero mówić o drapieżcach?

A tymczasem słonie nie wychodziły mi z głowy.

Jakieś przeczucie mówiło mi, że jeśli teraz nie wykorzystam sposobności na tym terenie, to może już nigdy nie będę słonia oglądał. A zdrowie dopisywało, jak w żadnem z lat poprzednich, mimo wszelkie trudy, przechodzące pozornie siły przeciętnego człowieka.

Do tego wypoczęty i wzmocniony codziennemi kąpielami w górskim strumieniu, już po kilku dniach przerwy uczułem konieczną potrzebę ruchu. Musiałem wyładować nagromadzony zapas energji, chociażby na wycieczce bez określonego celu. Wybrałem się tym razem w góry. Tylko mały orszak ludzi mi towarzyszył, bo miałem zamiar powrócić do wsi tego samego dnia.

Idąc w kierunku wschodnim równolegle do rzeki Ruo, znalazłem się po krótkim marszu na łagodnych stokach „Shire-highland'u“, skąd zwróciwszy się ku północy, stanąłem po przedarciu się przez gęsty las na otwartej połoninie.

Widok, jaki mię tu powitał, wynagrodził trud wspinania się na tę wysokość, mogłem bowiem podziwiać lubo z oddali wysoki łańcuch górski Mlandżi z jednej strony, jak też odosobnioną górę Czipironi z drugiej. Szczególnie ta ostatnia, wynurzająca się z morza lasów, wabiła tajemniczością swego nieprzeniknionego otoczenia, gdzie wyobraźnia w tych niedostępnych kniejach pragnęła widzieć nowe dziwy świata roślinnego i zwierzęcego.

Ciekawość, chęć dostania się tam zrodziła się już we mnie dawniej, a to w czasie pierwszej mej podróży po Szirze, podczas której nasłuchałem się dużo i bardzo zaj-

[1]) Gnu = Connochoetes taurinus.

mujących opowiadań o tej górze. Szczególnie wioślarze z Mazaro mieli o niej do opowiadania same dziwy, chociaż tam żaden z nich, ani prawdopodobnie żaden z ich współziomków nigdy nie był.

Szczyt góry — to siedziba duchów. Noga ludzka nigdy tam nie postała, a każdy ze śmiałków, który się poważył tam wdzierać, z wycieczki tej nie powrócił.

Na czem opierają Kafrzy te baśnie, trudno dociec. Jedno pewne, że poza tą górą wiódł szlak karawanowy handlarzy niewolników, którym zależało na tem, aby jak najrzadziej odwiedzano drogę tę, łączącą środek kontynentu z mało znanemi portami w kanale mozambickim, gdzie mogli towar swój naładować na okręty.

W każdym razie było pewne, że słoń i nosorożec oraz inne większe czworonogi mają w lasach, obrastających stoki górskie, spokojną ostoję.

Z wycieczki tej powróciłem nietylko zadowolony, ale i podniecony na duchu. Przyniosła mi w rezultacie dwie nowe sztuki do rejestru zabitej przeze mnie zwierzyny, a to dzika „ndżiri“ i zebrę. Pozwoliła także sprawdzić naocznie to, co mi ciągle czarni opowiadali, że główne trakty słoni prowadzą wzdłuż łańcuchów górskich, zaś te, które idą w step, są odnogami, żeby się tak wyrazić wypadowemi, uczęszczanemi przeważnie w obecnej porze tylko przez młodszą generację lub matki z młodemi. Trakty, które tam widziałem, były przez długoletnie spacery tych olbrzymów głęboko wychodzone, a niektóre miejsca postoju grubą warstwą gnoju pokryte.

W górach tych natknąłem się po raz pierwszy na wielką antylopę końską, zwaną tu pala-pala[1]) rzadką w tych okolicach — do strzału jednak nie przyszedłem.

W drodze powrotnej natrafiwszy na trop nosorożca, szedłem czas jakiś jego tropem, korzystając z przejść wśród gąszczów, które on tam jakby dla nas utorował.

[1]) Pala-pala = Hippotragus niger.

W czasie odpoczynku opowiadał Namondi rozmaite historyjki z życia tego zwierzęcia. Nazywał go „amsala“ t. j. warjat, i miał dlań tylko pogardę. Zły jego humor, który objawia się bezmyślnem napadaniem na ludzi, a nawet na całe karawany, przypisywał podrażnieniu, jakiemu ulega ten gruboskórzec z powodu drobnych gąsieniczek, pasorzytujących w jego nozdrzach.

I jak było nie wierzyć memu tropicielowi, skoro w rozmaitych miejscach, którędy nosorożec przechodził, mogłem naocznie stwierdzić powyrywane z korzeniami krzaki i drzewka, skopaną racicami lub głęboko rogiem przeoraną ziemię, na gałęziach porozrzucane korzenie i trawy, a nawet własne jego odchody.

Tylko „muchy w nosie“ mogły usprawiedliwiać tego gruboskórca z tak nieprzystojnego zachowania się.

Następne dni przyniosły mi nowe sukcesy myśliwskie. Między ubitemi sztukami znalazł się nowy okaz dzika „Guluwe“. Mały był, do naszej świni domowej bardzo podobny, o marnych kłach, ale ze względu na wyborne mięso bardzo pożądany. Znalazła się i jaszczurka lądowa, zwana „Igwassu“, przeszło siedm stóp długości, o której istnieniu tu nic dotychczas nie słyszałem.

Skórę tego płaza, która jest zielonawa z czarnemi plamami na grzbiecie, a czerwonawo-żółta pod brzuchem i odznacza się w przeciwieństwie do krokodylej bardzo drobnemi łuskami, kazałem ostrożnie zdjąć i wysuszyć.

Jak mi we wsi opowiadano, służy ona czarnym do ozdabiania dzid i łuków, a przedewszystkiem do pokrywania bębnów o wysokiem strojeniu.

Potem przyszła kolej na bawoły.

Zabiłem dwa wpobliżu wsi, z których jeden dał mi wspaniałą czaszkę o rogach rozpiętości około metra. Był to tak zwany samotnik, byk, odbity od stada. Miałem z nim małą przeprawę, z której, że wyszedłem cało, mogę tylko zawdzięczać swoim dobrym nogom.

Z pięciu kul, jakie otrzymał, dwie znalazłem na linji brwi (tak doń strzelałem podczas ataku), ale żadna nie była śmiertelna i nie powstrzymały go od wściekłego na mnie uderzenia.

Dopiero przy preparowaniu czaszki sprawdziłem, że obie ześlizgnęły się po czerepie, nakrywającym mózg i tkwiły pod rogami zupełnie zdeformowane. Były to kule pełne.

Znowu mój półekspres Nr. 450 przekonał mię, że nie odpowiada zadaniu, gdy chodzi o większego zwierza.

Wrzesień się skończył.

Dni stawały się coraz gorętsze i parne. Przyszedł jeden i drugi obfity deszcz i chwilowo nasycił wilgocią zeschniętą i popękaną ziemię. Było czuć w powietrzu, że idzie wiosna. Wprawdzie lasy na podgórzu nie zatraciły jeszcze swego zimowego wyglądu, a olbrzymie baobaby ciągle jeszcze nagiemi konarami błagały jakoby nieba o więcej deszczu, ale na gęstej siatce gałązek pomniejszych krzewów znać już było spęcznienia i lada dzień mogło się ukazać świeże listowie.

Zato step, ta szara dotychczas, pyłami okryta przestrzeń, tonęła już od dni kilku w jasnych barwach szmaragdu. Wczesnym rankiem, gdy gęsta rosa migotliwie perliła się na delikatnych listkach młodych traw, widok stepu był porywający.

Wymarzona chwila na łowy.

W tej porze dojrzewają orzechy palmy „borassus“, na które słonie ostrzą sobie apetyt przez rok cały.

To też w październiku, gdy owoce zaczną padać, ściągać mają większe stada; nigdzie bowiem od jeziora Njassa aż po ujście Sziry nie spotkasz tak wielkich lasów tego gatunku palmy, jak właśnie tu, na północnej granicy stepu.

Wtedy i poważni patrjarchowie rodu słoniowego, błądzący dotychczas wśród niedostępnych górskich ostępów, ważą się na wycieczkę do Dabani, by zaglądnąć do lasów „mawumu“ i uraczyć się tamtejszemi delikatesami. Nie od-

strasza ich ani droga daleka, ani niebezpieczeństwo ze strony myśliwych i, jak twierdzą czarni, nie było roku, aby stare słonie z odwiedzin stepu i lasów palmowych zrezygnowały.

Te, któreśmy tu dotychczas widzieli, to były właściwie ich forpoczty.

8. W MATNI WŚRÓD SŁONI.

Po udatnych łowach dni ostatnich znalazło się znowu dość zajęcia w obozie. W obawie, aby moje trofea, takim trudem zdobyte, nie poszły na marne, musiałem sam dopilnowywać suszenia skór i czaszek tem bardziej, że do dyspozycji miałem tylko niewielką ilość arszeniku i należało się z nim obchodzić bardzo oględnie. Ponadto obawiałem się dać tę truciznę w ręce murzynom, tym wielkim dzieciom, bo przy ich niefrasobliwości, mogliby ją wziąć za sól powytruwać się wzajemnie.

Z tych przyczyn nie wydalałem się przez dni kilka ze wsi, chyba tylko do kąpieli.

Jednego dnia, wracając od strumienia, zobaczyłem na ścieżce, którą zaledwie przed godziną szedłem, jakiś podejrzany ślad, jakoby lwi.

Aby się przekonać, czy rzeczywiście lew w czasie, gdym się kąpał, tędy przeszedł, zacząłem poszukiwać bliżej strumienia wyraźniejszych odcisków, aż wreszcie znalazłem.

Na piaszczystej ławicy, nie dalej jak trzysta kroków od miejsca mojej kąpieli, znaczyły się całkiem wyraźnie odbicia łap tego olbrzymiego kota, w kształcie korony o czterech pałkach.

Znaleźć taki bilet wizytowy, choćby nawet szlachetnie urodzonego, niezawsze może być pożądane, zwłaszcza, gdy na taką wizytę nie jest się przygotowanym. A ja przecież przed chwilą w poczuciu bezpieczeństwa siedziałem w płytkim strumieniu, więcej jak bezbronny. Karabinek wprawdzie leżał blisko obok ubrania, ale nacoby mi się

zdał np. w tym wypadku, gdyby lwu spodobało się nadejść właśnie z tej strony z zamiarem złożenia wizyty osobiście. Czy zdałoby się wówczas zaapelowanie do tego gościa, że jestem nieubrany i że składanie wizyt w tak nieodpowiedniem miejscu nie należy do dobrego tonu?

Stało się teraz dla mnie jasnem, dlaczego murzyni, kąpiąc się w strumieniu, gdzie brzegi są pokryte zaroślami, kąpią się w większem towarzystwie i hałasują.

O jedno doświadczenie bogatszy, wróciłem co tchu do wsi, aby zebrać ludzi i pójść za tropem.

Ponieważ zachodziła możliwość, że z wyjątkiem tropiciela i Kaniolego, reszta będzie się ociągać, gdy się dowie, o co chodzi, kazałem Antoniowi przygotować bez zwłoki, co potrzeba, jakoby do wycieczki dwudniowej z odpowiednią liczbą ludzi.

Widząc, że ich przynaglam, pomrukiwali trochę, dopiero gdy Antonio kilka razy im pocichu powtórzył (co zdołałem pochwycić), że z Kangremem [1]) niema rady, stanęli do apelu.

Mimo wszystko przygotowania trwały trochę zadługo, a gdy wkońcu ruszyłem ze wsi, uprzytomniłem sobie, że zapóźno wziąłem się do rzeczy i właściwie należało z tropienia już zrezygnować.

Przy strumieniu rozdzieliłem ludzi. Antonia z tragarzami wyprawiłem naprzód w kierunku południowym z poleceniem, aby mnie na kraju stepu oczekiwał, sam z tropicielem Namondiem i Kaniolem, niosącym gruby kaliber, podszedłem wgórę strumienia, gdzie na mieliźnie znajdował się trop lwa.

Pokazałem go Namondiemu. Popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem, jakby chciał zapytać, o co mi chodzi.

Gdym mu wyjaśnił, że chcę podjąć trop, zamyślił się trochę, a później obejrzawszy go w kilku miejscach, powiedział:

[1]) Kangremu = moja nazwa kaferska z wybrzeża, oznacza: mały raptus.

— Chcesz odnaleźć lwa, a nie widzisz, że słońce już wysoko, ślad na twardym gruncie prawie niewidoczny, a dokoła gęste krzewy i strumień, obrosły trzcinami, zgubić go bardzo łatwo. Gdy lew o tej porze zaszyje się w gąszczu, to go stamtąd nie wyruszysz chyba, że jest bardzo głodny, a wtedy lepiej go zostawić w spokoju... A wkońcu, kto zaręczy, że to lew...

— Jakto? To nie trop lwi?

— Równie dobrze może być... „muzimo“.

— Ale chodźmy!

Po dwóch godzinach mozolnego poszukiwania rzeczywiście trop zgubiliśmy, i musieliśmy dać za wygraną.

Nie obyło się jednak bez emocjonującego momentu, gdy w czasie przedzierania się przez gęste podszycie młodych palm nagle krzyknął Kaniole, idący wtyle: O! O! Tu! — aby nam pokazać, niestety, dzika, który bokiem się wymykał.

Okazało się, że nanic były nasze zabiegi i wdzieranie się w gęstwiny, czasem dla oka nieprzeniknione, któremi przedzierał się nasz zbieg, gdzieby na dobry strzał nie było sposobności — natomiast więcej szans spotkania się z nim w chwili niewłaściwej i, może, niepożądanej.

Słońce stało już prawie w zenicie, gdy wydobyliśmy się z zarośli i stanęliśmy na stepie.

Antonia szukać nie potrzebowałem, bo pikiety jego, rozstawione na kopcach termitów, wyśledziły nas natychmiast, i w pół godziny później już z nami się połączył.

Byliśmy teraz na południowo-wschodnim odcinku stepu o pół dnia drogi od Ruo, gdzie strumień Mona rozlewa się w wielkie bagno i jeziorka, gęsto trzcinami i papyrusami porosłe.

Jest to miejsce, gdzie Namondi zastrzelił swego słonia. Przypomniałem sobie, że mam obejrzeć czaszkę tego nieboszczyka, która tu gdzieś leży, więc kazałem tropicielowi, aby starał się miejsce to odnaleźć.

Okrążając bagno w wielkiem półkolu, docieramy po jakimś czasie do otwartego jeziorka, nad którem żeruje moc ptactwa błotnego.

Wystraszone naszem najściem, zerwało się z krzykiem i łopotem skrzydeł.

Między ciężkiemi pelikanami, smukłemi czaplami, oraz liczną zgrają czarnych ibisów i jakby naszych kulonów porwała się para żórawi o jaskrawem upierzeniu, zwanych „Ngalu“, pierwsze okazy, z jakiemi się tu na stepie spotkałem.

Równocześnie z tym alarmem dwa spore krokodyle zsunęły się bez szelestu, prawie automatycznie, do wody.

Tu stajemy na południe.

Murzyni szukają dogodnego miejsca na ugotowanie obiadu.

I oto — już znaleźli!

Patrzysz zdziwiony, dlaczego tu właśnie, na gołej, piaszczystej ławicy — i rozpalonej słońcem do niemożliwości, podczas gdy trochę dalej — step aż zaprasza zielenią swego pokrycia.

Ale oni wiedzą dlaczego.

Tylko „muzungu“ niedowierza ich praktycznemu zmysłowi. Łazi dokoła, maca tu i tam stopą po świeżo wykłutych trawach, aby wreszcie się przekonać, że niema tam miejsca wygodnego. Tyle wszędzie niedopalonych źdźbeł, twardych i ostrych, że na takiem podłożu nie wysiedziałby długo nawet fakir indyjski.

Zato na miękkim piasku, jak na materacu, i rozłożyć się można, i sporządzić jakie takie schronisko przed palącem słońcem.

Wnet też na oparciu z trzcin stworzyli rusztowanie, i, nakrywszy matami, znośne poddasze dla mnie i dla siebie przygotowali.

Wprawdzie przypiekałem się na tym piasku, jak pieczeń na patelni, ale mogłem się rozciągnąć wygodnie i, jak się pokazało, nawet zdrzemnąć.

Za moim przykładem poszli i czarni; spaliśmy wszyscy ze dwie godziny.

Od nas w linji prostej ku zachodowi widać w oddaleniu ośmiu do dziesięciu kilometrów kępę drzew akacjowych. Jedyne to drzewa na tym nagim obszarze, a że rosną na małym wzgórku, nęcą nas nadzieją wygodnego tam noclegu.

Kaniole zna to miejsce i zapewnia, że wody tam poddostatkiem, paliwa także, więc niema się co namyślać nad wyborem miejsca na noc dzisiejszą.

Idziemy więc tam.

Gdy ludzie pakują manatki, ja jeszcze przypatruję się życiu stepowemu, z jego niezliczonemi stadami zwierza. Spostrzegłem, że zaszła w trybie ich życia jakaś zmiana.

Gdy dotychczas na spalonym stepie spotykałeś ogromne stada bawołów, czasem kilkaset sztuk liczące, to obecnie już widzisz tylko małe gromadki. To samo z kozłami wodnemi. Dawniej natrafiało się stada o kilkudziesięciu sztukach, i to oddzielnie kozłów, oddzielnie łań, dziś masz je tylko w liczbie pięciu do sześciu łań ze starym kozłem na czele.

Po chwili byliśmy już daleko od jeziorka, z wyjątkiem starszyzny, która tam jeszcze kończyła swoją fajkę.

Obejrzałem się zniecierpliwiony za nimi, gdy spostrzegam Antonia, jak zdyszany pędzi ku mnie.

Ledwie zrównał się ze mną, woła:

— Muzungu, słonie!

— Jakie słonie, gdzie?

— Są! Wracaj tam, gdzie stoi Namondi, stamtąd zobaczysz!

Zatrzymuję ludzi, wracamy....

Tropiciel pokazuje kierunek, gdzie mam szukać gruboskórców. Na widnokręgu las trzcin — nic więcej. Czasem zdaje mi się, że dostrzegam białą jakąś chmurkę, która unosi się nad trzcinami, ale wnet przepada, a Antonio każe mi w niej widzieć białe czaple.

Dopiero gdy Kaniole podał mi lunetę, mogłem stwierdzić, że rzeczywiście ta biała chmurka to czaple, następnie, że czaple to siadają, to zrywają się z jakichś ciemnych pagórków, które tam z pośród płowych trzcin się wyłaniają.

Właśnie w tej chwili woła Namondi.

— A teraz nie widzisz? Podniósł trąbę!...

Tak, teraz i ja dostrzegłem. Dostrzegłem ten charakterystyczny ruch, który znamionuje napewno słonia.

Chcę zaraz gnać w tę stronę, ale Namondi radzi nie śpieszyć się.

Czy oszalał?

A on prosi prawie:

— Muzungu, jeśli chcesz ubić słonia, to musisz być cierpliwy; w pośpiechu nic dobrego się nie zrobi!

I jakby chcąc zamanifestować, że pośpiech nie jest wskazany, przykuca i najspokojniej nabija znowu swoją fajeczkę.

Już go chciałem kopnąć nogą, taka mię złość porwała, ale opanowałem się w tej chwili, i aby uspokoić rozigrane nerwy, również zapaliłem papierosa.

— Ot! Widzisz teraz kierunek wiatru? Musimy kołować. Zajdziemy ich tamtędy — rzekł Namondi wskazując na północ. — Wiatr słaby, a w trzcinach to źle...

Wreszcie idziemy. Droga dłuży mi się strasznie, i zdaje mi się, że do tych trzcin chyba dziś się nie dowleczemy.

Słońce jeszcze wysoko, a ja ciągle mam obawę, że schowa się za górami, zanim dostaniemy się do słoni.

A tu trzeba stawać od czasu do czasu i sprawdzać, czy wiatr się nie zmienił, lub wyłazić na „konia“, t. j. na plecy któregoś z ludzi, aby się przekonać, czy też słonie nie uciekły.

Na szczęście słonie stoją tam, gdzieśmy ich po raz pierwszy dostrzegli: śpią, jak twierdzi tropiciel.

Dostajemy się wreszcie do koryta „martwej wody“, gdzie wody już prawie niema. Poza niem ciągną się trzciny, prawdopodobnie aż do brzegów Sziry.

Tu znowu wsiadam na „konia“, aby rozglądnąć się w sytuacji. Rozkraczam nogi — usłużny Antonio, podsadziwszy głowę, podnosi mię powolnym ruchem ku górze.

Zaledwie oczy moje znalazły się na wysokości wierzchołków trzcin, ujrzałem słonie przed sobą.

Cztery kolosy stoją w gąszczu w pojedynkę, jeden z nich nie dalej, jak kroków dwieście.

Stadko białych czapel krąży falistym lotem nad niemi. To wzlecą wgórę, to znów opuszczą się nisko, aby po małej przerwie usiąść na karku któregoś ze zwierząt.

Czasem ten lub tamten z gruboskórców odwinie swe olbrzymie uszy ku przodowi, a wówczas rzucają się czaple w tym kierunku, i skubnąwszy coś z poza ucha, umykają wgórę.

Słonie nietylko wachlują uszami, ale także poruszają trąbami. Podnosząc je ponad głowę, wypryskując z nozdrzy pył na swoje karki. A Namondi nazywa to spaniem?!...

Nie było jednak czasu na dalsze rozmyślanie.

Tropiciel radzi coś z Antoniem, poczem kapitan zabiera swoich ludzi i wynosi się dalej, aby nie znaleźć się w obrębie naszych przypuszczalnych poruszeń.

Pozostaje ze mną prócz tropiciela tylko Kaniole, od którego odbieram zaraz kaliber 8 i pas z ładunkami. Sprawdziwszy, czy wszystko w porządku, daję znak Namondiemu, żem już gotów.

Aby znaleźć odpowiednie wejście w gąszcz, musimy ze względu na wiatr cofnąć się jeszcze nieco wtył i stamtąd zachodzić.

W tej matni nie czuć prawie powiewu, no i nic nie widać przed sobą, poza obrębem trzech lub cztery metrów. Maszerujemy więc ostrożnie, co kilka kroków badamy pozycję z „konia“.

Tym koniem jest teraz Kaniole.

Jeszcze się nie wyprostował zupełnie, gdy dostał uderzenie w ramię, aby mię opuścił. Staliśmy od najbliższego słonia w odległości trzydziestu kroków.

Gdzie stoją inne słonie, w pośpiechu nie dostrzegłem.

Następuje teraz zmiana frontu.

Tropiciel, który szedł dotychczas pierwszy, ustępuje mi miejsca i wskazuje palcem, którędy mam szukać przejścia.

Z największą ostrożnością rozsuwam zagradzające mi drogę trzciny. Kroki swe i ruchy staram się zharmonizować z chybotaniem się trzcin w chwili, gdy silniejszy podmuch je poruszy. Wtedy robię krok, dwa lub trzy naprzód. Zgięty w kabłąk, z ciężką bronią w ręku, pocę się niemożliwie, bo parnota tu wprost łaziebna. Słony pot zalewa oczy. Aby go otrzeć, schylam się ku ziemi, bo mogę to uczynić tylko rękawem koszuli, gdy wtem czuję lekkie szturknięcie w plecy.

To Namondi. Wyciągnięte jego ramię wskazuje na coś.

Na Boga, jest tuż! Jakże mogłem nie widzieć?

Wśród gmatwaniny trzcin rysuje się dość wyraźnie sylwetka słonia. Stoi mi pod nosem, ale tak przysłonięty, że gdybym go przedtem nie widział zgóry, to wziąłbym go za pagórek lub coś podobnego.

Z tej pozycji nie mam strzału.

Gdy biegnę wzrokiem dokoła, szukając gdziebym postawił krok najbliższy, nowe szturknięcie i palec Namondiego wskazują na prawo.

Rzeczywiście, jest tam luka, jakby drożyna, wytłoczona przez słonie.

Dwa ostrożne kroki zbliżają mię do tego miejsca. Naprzełaj drożyny stoi słonisko w odległości kilkunastu kroków z odsłoniętym prawym bokiem.

Nadchodzi chwila decydująca.

Kilku rzutami oka badam najbliższy teren. Muszę wiedzieć, gdzie mi wypadnie odskoczyć po strzale, ewentualnie umykać, gdyby słoń atakował.

Jeszcze chwilę patrzę na jego małe oczka, które jakby mrugały do mnie, mierzę oddalenie brzegu ucha od miejsca,

gdzieby wypadało strzelić, spoglądam na broń i odsuwam bezpiecznik.

Już mam wysunąć nogę na drożynę, aby rozstawić się do strzału, gdy nagle zjawia się nad mą głową czapla. Opuszcza się na kark słonia, ale równocześnie z krzykiem się podrywa.

Zawachlowały uszy, trąba się podniosła. Wygina ją słonisko ponad głową w tę i tamtą stronę.

Wietrzy?

Nie! Bo oto prychnął z nozdrzy chmurę pyłu, która z szelestem rozlatuje się po trzcinach.

W tej sekundzie lekkie świśnięcie Namondiego każe mi zwrocić głowę na lewo.

Tam z pośród zarośli wychyla się trąba trzeciego słonia, który widać zdąża w naszą stronę. Właściciel jej, sam dotychczas niewidzialny, ale groźny, jest już tuż.

Odwodzę kurek...

Wtem pada strzał. Potem ryk przeraźliwy, kwik i bulgotanie...

Wszystko następuje po sobie tak szybko, że nie mam czasu zorjentować się, co to znaczy, bo mój słonisko, odchyliwszy uszy i trąbę wprzód wyciągając, robi krok, aby umknąć lub atakować.

Wówczas w fałd nogi pakuję mu pocisk ćwierć funtowy — i jednym skokiem wbok staram się wydobyć z pod obłoku dymu.

Nie odbiegłem daleko. Uderzony czemś twardem w kolano, wywaliłem się jak długi na ziemię.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili, wówczas dla mnie strasznej, a jak się później okazało — komicznej, gdy padając pod uderzeniem, które mię napół zamroczyło, i słysząc za sobą ryk i bulgotanie słonia, poczułem równocześnie pod moją dłonią, jakieś wilgotne, miękkie ciało...

Brr!

Zdawało mi się wówczas, że ogromna noga słonia podnosi się wgórę, aby w najbliższem poruszeniu, rozgnieść mię na placek.

9. MÓJ PIERWSZY SŁOŃ.

Gdy wróciła świadomość, spostrzegłem, że Namondi stara się wydobyć z pode mnie, a Kaniole, stojąc tuż obok, patrzy na to wszystko ironicznie uśmiechnięty.

Mimo szalonego bólu zbieram się szybko, bo słoń ryczy ciągle. Jest gdzieś wpobliżu, ale nie wiem gdzie. Zdaje się jednak, że ten ryczący, to nie mój słoń, ale słoń Namondiego.

W chwili, gdy tropiciel bierze mię na ramiona, abym zbadał sytuację, pytam cicho:

— Pocóżeś strzelał?

— Szedł wprost na ciebie, chciałem go zatrzymać. Po strzale zwrócił się ku mnie z wściekłością, więc zacząłem umykać właśnie, gdy twoja strzelba zagrzmiała, no i wywróciłem się.

— A co się stało ze słoniem, do którego ja strzelałem?

— Nie wiem — szepce Namondi i zaczyna się ze mną, siedzącym mu na karku, wyprostowywać.

Z wysokości tej widzę taką sytuację:

W naszem pobliżu, tam, gdzie strzelał Namondi, stoi mały słoń, podnosi od czasu do czasu trąbę i porykuje.

Słoń, do którego ja strzelałem, oddala się od nas w kierunku południowym, skąd szybkim truchtem biegną trzy inne sztuki, strzałami wypłoszone.

W kilkanaście sekund dopadły już postrzałka. Obiegłszy dokoła, ruszyły zaraz w kierunku stepu, dokąd podążył za niemi i mój inwalida.

To mię trochę zaniepokoiło, ale wnet widzę, że nie może podążyć za zdrowymi i zostaje wtyle.

Sprawdziwszy to, gonię na trop.

Efekt strzału nawet bardzo dobry. Obfita farba znaczy jego szlak od strony postrzałowej; ponadto widać na badylach trzcin krople krwi od strony przeciwnej.

Czy miałoby to znaczyć, że go pocisk przebił nawylot?

Nie zważając na obitą nogę, pędzę po śladzie, ile sił starczy. Do bólu nogi dołącza się ból głowy, ale i to nie wstrzymuje mię w rozpędzie. Chcę dopędzić zbiega, zanim się znowu gdzie w gąszcz zaszyje, chcę go dopędzić, zanim słońce zajdzie.

Gdy go dogoniłem, był na małej goliźnie, jakie czasem tu i ówdzie w tej dżungli spotykasz. Wlókł się chwiejnym krokiem ze zwieszoną bezwładnie ku ziemi trąbą.

Chociaż oddechu złapać nie mogę, składam się momentalnie i walę w komorę, zanim go skrył gąszcz trzcinowy.

Kaniole, który tkwił tuż za mną i widział, jak po strzale słoń truchtem ruszył, szepce, jakby do siebie:

— Aenda piaczi! Poszedł sobie...

Ogarnęła mię rozpacz.

Pierwszy pocisk utkwił doskonale, drugi również, najwyraźniej bowiem usłyszałem uderzenie pocisku o ciało zwierzęcia, a nietylko nie powstrzymałem go w ucieczce, ale nawet przynagliłem do szybszego biegu.

Staję zdyszany, mokry od potu, a w skroniach krew pulsuje, sprawiając ból nie do zniesienia. Czuję ogień w całem ciele i takie osłabienie nóg, że mam wrażenie, jakoby febra brała mię w swe obroty.

Przychodzą smutne refleksje.

Strzelałem z grubszego kalibru, aniżeli Namondi, do tego z bardzo precyzyjnej broni, a słoń uszedł; tymczasem mój tropiciel strzela z marnej kapslówki Nr. 12 i unieruchomił swego słonia pierwszym strzałem.

Gdy wrócę do obozu, znowu usłyszę przycinki:

— Muzungu nie mógł ubić słonia, bo nie miał „medycyny“...

Gdyby nie sztuka panowania nad sobą, której tu uczyć

się muszę na każdym kroku, no i obecność Kaniolego, byłbym rżnął tym ślicznym karabinem o ziemię.

Ale Kaniole stoi już z nadstawionym karkiem, abym nań wsiadał.

Poddaję się mimowoli temu milczącemu wezwaniu, ale myślę:

— Cóż ja już zobaczę? Chyba swoją klęskę.

Znalazłszy się na wysokości, w której mogłem rozejrzeć się po okolicy, spoglądam odruchowo w stronę ryczącego słonika, który dotychczas z miejsca się nie ruszył.

Mego słonia ani śladu.

Jesteśmy w tej chwili u brzegu dżungli trzcinowej, poza którą widać step otwarty, a nawet w wielkiem oddaleniu umykające trzy słonie.

Gdzieżby się podział słoń czwarty, do którego strzelałem?

Odwracam głowę, sięgam wzrokiem dokoła po płowych zaroślach, ale zbiega nie widać.

A Kaniole stęka pode mną i prosi, bym złaził.

— Czekaj! Trzymaj jeszcze trochę, bo coś się tam rusza...

W tej samej chwili wychyla się na skraju zarośli głowa murzyna.

Czyżby Antonio?

Tak! To on! Stoi na jakiemś podwyższeniu.

Gdy mię spostrzegł, zaczął wymachiwać rękami, jakby mię chciał do siebie przywołać. W ruchach jego znać było radosne podniecenie.

— Kaniole, idziemy! Tam chyba leży mój słoń?

Jest!

Na samym skraju zarośli trzcinowych leży ogromna góra mięsa. Drga jeszcze.

Antonio bez względu na możliwe niebezpieczeństwo drepce po słoniu, jak po zdobytym forcie.

Chociaż głowa boli coraz bardziej, a nogi plączą się pode mną, przypadam szybko do swojej zdobyczy.

Pierwszy mój słoń!... Przecież to triumf nielada! Obchodzę słonia dokoła, chcąc przyjrzeć się bliżej ogromnemu cielsku, ale czynię to z pewnem wahaniem, niepewny, czy słoń już bezpieczny.

Spostrzegł to Kaniole i, aby mię uspokoić, podnosi opadniętą powiekę oka. Szkliwo oka już mętne i polaryzuje. Najpewniejsza to oznaka śmierci.

Leży na prawym boku, na tym, gdzie otrzymał pierwszy strzał śmiertelny.

Z lewego ucha sączy się krew. Cała, ogromna muszla uszna jest nią ofarbowana.

Czyżby pierwszy pocisk przeszył go rzeczywiście nawylot?

Chcąc to sprawdzić, podnoszę płachtę uszną. Nie znajduję tu potwierdzenia moich domysłów. Ale zato co widzę?

Oto ogromna ilość kleszczy tkwi za uchem tam, gdzie skóra najcieńsza i gdzie słoń nawet trąbą dostać się nie może. Niektóre z nich są tak nassane, że dochodzą wielkości włoskiego orzecha.

Rozwiązanie zagadki współżycia słoni i białych czapel mam przed sobą. Nic dziwnego, że taki ścisły łączy ich sojusz. Symbioza, jedna z wielu, które między zwierzętami tutejszego kraju często zaobserwować można.

Młody samiec, ale mimo to ogrom. Po zmierzeniu wykazuje wysokość w łopatce 3 *m* 17 *cm*.

Kły niewielkie, jasno białe i wypolerowane, wystają poza wargę na 60 *cm* zaledwie.

W tym czasie schodzi się reszta ludzi. Tragarze z manatkami, kucharz Martinio, a nawet mały Domingo, o którym nie wiedziałem, że się wlókł za nami.

Otaczają słonia ze wszystkich stron, obmacują go i badają, czy tłusty. Myśli ich biegną zapewne w jednym tylko kierunku: aby jak najrychlej dobrać się do wnętrza, gdzie tyle smacznych kryje się kąsków.

Muszą jednak czekać na mistrzów ceremonji, z których jednym jest Antonio, zajęty właśnie ucinaniem ogona. Ja

tymczasem każę sobie rozesłać matę i koce, bo czuję, że siły mnie opuszczają, a odebrawszy ogon, jako znak, że słoń z mej padł ręki, a zarazem najwyższe myśliwskie odznaczenie w Afryce, padam jak nieżywy.

Jeszcze jakiś czas łowiło ucho moje wrzaski, jakie wszczęła moja banda, ale po chwili straciłem zupełnie świadomość mego istnienia... Usnąłem.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz, gdy wschodzące słońce mię obudziło i zawołałem na Martinia, aby mi podał wody, nie bez zdziwienia dowiedziałem się o zajściach w nocy.

Nie chciałem prawie wierzyć, żem w nocy dwukrotnie wstawał z łóżka, gdy lwy ryczały, żem krzyczał na ludzi, bo nie było światła, a następnie kazał latarnię zapalić, żem pił wodę, której dla mnie dopiero gdzieś po północy przyniesiono... wszystko to uleciało z pamięci, jak sen.

Co więcej — nie słyszałem nawet strzałów Namondiego, który jeszcze z wieczora dobijał swego słonia, a działo się to przecież w oddaleniu zaledwie kilkuset kroków.

Dziś nie czułem już bolu głowy, ale osłabienie było wielkie.

Podano mi śniadanie.

Pokrzepiwszy się trochę, zwlokłem się wreszcie z łoża. Musiałem zresztą usunąć się z tego miejsca, bo olbrzymie, poćwiartowane cielsko słonia już zaczęło wydawać woń niezbyt przyjemną. Zresztą całe stosy wnętrzności i moc krwi stężałej, która wylała się z jamy brzusznej, leżały bardzo blisko mego legowiska, a te nigdy nie pachną.

W tym czasie moc sępów zleciała się do padła.

Dziesiątki ich krążyły już nad nami, a ciągle jeszcze dążyły nowe zastępy ze wszystkich stron.

Na jasnem tle nieba, gdzie dotychczas nic nie dostrzegałeś, ukazywały się nagle małe punkciki, rosnące niemal z każdą sekundą, aby wreszcie przybrać kształt ptaka, płynącego w znacznej wysokości majestatycznym, równym lotem.

Od wschodu, zachodu, północy i południa leciały bez końca. Leciały tak dobrze pod wiatr, jak i z wiatrem, coby wskazywało, że kierują się tu wzrokiem, a nie węchem, jak to nieraz mylnie przedstawiano.

Chcąc sprawdzić efekt strzału, kazałem sobie pokazać serce i płuca.

Wywołało to ogromne zamieszanie pomiędzy moją zgrają, gdyż mimo skrzętnych poszukiwań nie zdołano już tych części odszukać. Po jakimś czasie zameldował Antonio, że pewnie je zjedzono w nocy razem z wątrobą i nerkami. Płuca wkońcu się znalazły, bo jako część mniej smakowita pozostały, mogłem więc je obejrzeć. Oba w górnej swej części były zupełnie rozbite pierwszym pociskiem, który się później znalazł w środku ucha.

Druga kula przeszła między żołądkiem i wątrobą. Znaleziono ją w dole brzusznym, lekko zdeformowaną, dokąd się zsunęła, nie przebiwszy drugiej ściany żeber.

Antonio, który przy tych oględzinach służył za „cicerona", zaproponował także rozcięcie żołądka, bo tam miały być ciekawe rzeczy do oglądania.

I rzeczywiście!

Gdy rozcięto ten wielki wór o grubych ścianach, zobaczyłem wśród miazgi napół przetrawionych części roślinnych zbiór patyków rozmaitej grubości, moc orzechów palmy piernikowej, a co najciekawsze, niezgorszy magazyn okrągłych kamieni, niektóre wielkości kurzego jaja.

Wydobywano jeszcze kły. Mozolną tę robotę prowadził Namondi, obciosując siekierą każdy ząb zosobna. Do niego należało również oczyszczenie kłów z części mięsnych, a że czynność ta wymagała jakichś tajemnych zabiegów rytuału myśliwskiego, musiałem jeszcze czekać z pół godziny, zanim mi je pokazano.

Jakże marnie wyglądała ta para kłów, takim trudem zdobyta. Na oko oceniając, nie ważyły więcej jak koło dziesięciu kilogramów.

A gdzież są te kolosy, co dźwigają w pysku kły dziesięćkroć większe?

Zabierałem się do odejścia. Część ludzi pozostaje tu, aby potem zabrać mięso, gdy przyjdzie pomoc ze wsi, bo przecież leży tam jeszcze jedna sztuka, choć mniejsza, ale mogąca dać również około pół tony mięsiwa.

Narazie operowały tam tylko sępy.

Gdym żartobliwie zagadnął Namondiego, czyby nie należało tam posłać kogoś, bo mu wyjedzą wszystkie lepsze kąski ze środka, uśmiechnął się chytrze.

Wiedział dobrze, że dziób ptaka jest za słaby, by rozedrzeć skórę słonia. O ile tego nie dokonał człowiek przy pomocy noża, zastępuje go zazwyczaj któryś z wielkich drapieżców. Inaczej muszą sępy czekać dni kilka, aż pod ciśnieniem skóra pęknie i trzewia wylecą.

Jak mi opowiadał p. Sell, pęknięciu takiemu towarzyszy huk, podobny do wystrzału z moździerza.

Do wsi ledwie się dowlokłem. Byłem ciągle w obawie, że przyjdzie atak febry i uniemożliwi mi dalsze polowania. Nie pojawiła się gorączka i to mię pocieszyło. Aby zapobiec możliwym złym następstwom, zażyłem zaraz sporą dozę chininy.

Wieś była już zaalarmowana nowiną o słoniach. Skąd mieli tę wiadomość, trudno dociec, czarni bowiem mają swoją pocztę i swój telegraf, nam białym nieznane, zapomocą których o ważnych wydarzeniach informują cały kraj.

W tym wypadku musieli tą ekstra-pocztą być jacyś mieszkańcy dalekiej wioski górskiej, którzy, idąc skrajem stepu, zobaczyli krążące sępy i, z liczby ich wnioskując o padlinie, wiadomość o słoniu Goziemu przynieśli.

To też gdym wysyłał moich do pomocy pozostałym przy słoniu, cała zgraja wychudzonych nędzarzy przyłączyła się do nich, co wraz ze sporą liczbą miejscowych tworzyło poważny zastęp.

Widząc to, uspokoiłem się w swem sumieniu: te góry mięsa z dwóch zabitych słoni nie pójdą na marne!

Zjawił się naczelnik wsi w urzędowem otoczeniu. Przyszedł jakoby mi pogratulować sukcesu, ale domyśliłem się, że cel był inny. Była to kontrola, jaką wykonywał z ramienia Malauriego, bo zapytał zaraz o kły, a gdym mu je pokazał, długo coś nad niemi dumał, starając się ocenić ich wartość.

Że jednak każdą kontrolę, nawet w środkowej Afryce, trzeba opłacić, więc nie obeszło się i tym razem bez podarunku.

Nie odchodził tak długo, dopóki perkal i chusty nie znalazły się w jego ręku.

Czekałem niecierpliwie na tę chwilę, bo było już pod zachód słońca i Martinio zapowiedział na dziś nową potrawę: ragout z trąby słonia. Ponieważ ten ważny wypadek należało oblać, a miałem w mem posiadaniu jedną tylko flaszkę wina, zatem obecność przedstawiciela władzy, któryby mógł wywieść swe urzędowe prawa do podziału w napoju, była całkiem niepożądana.

Ku memu rozczarowaniu owo ragout nie było tem, za co je chciał uważać mój kucharz. Gdy przyszła kolej na tę potrawę, fantazja moja doznała srogiego zawodu. Choć zapach jej był zachęcający, choć sos nawet wcale smakowity, ale mięso nie do pogryzienia, poprostu kawał guttaperchy.

Aby ukarać kucharza, który śmiał mój żołądek, domagający się jakiejś pożywniejszej strawy, narazić na taką próbę, kazałem mu całą rynkę tego przysmaku zjeść w mojej obecności.

Czy jednak było to karą, musiałem wątpić, zobaczywszy, jak łykał bez zakrztuszenia się i bez widocznego wysiłku ogromne kawały, których pogryźć nie zdołał. Wkońcu zapytał, jakby nigdy nic, co ma zrobić z resztą trąby.

Teraz musiałem się zastanowić.

Skoro wielu myśliwych-Europejczyków uznało trąbę za przysmak, skoro sam stwierdzić mogłem, że byłaby doskonała, gdyby odpowiednio ją skruszyć, a więc zależało tylko od

sposobu gotowania lub pieczenia, aby ją zamienić na wyszukaną potrawę.

Przeszukując w pamięci wszystkie sposoby pieczenia dziczyzny przez myśliwych, przyszedłem do przekonania, że da się tu doskonale zastosować sposób burski, jakiego ci używają do pieczenia bardzo twardego mięsa, jak żyrafy, nosorożca lub hipopotama.

Kazałem przeto pokrajać trąbę w plastry, a po dokładnem oczyszczeniu i osoleniu owinąć w liście banana, potem, oblepiwszy je gliną, względnie błotem, piec tak długo w żarze węglowym, aż osłona błotna w cegłę się zamieni.

Coś niebardzo dowierzał Martinio memu pomysłowi, ale nie śmiał się odezwać. Z przestępowania jednak z nogi na nogę, domyślałem się, że jest zupełnie zdezorjentowany. Jakkolwiek bowiem służył u Portugalczyków na wybrzeżu lat kilka (u mnie już rok trzeci) i niejedną egzotyczną gotował potrawę, o sposobie takim widocznie nie słyszał...

Ale „muzungu“ rozkazał, więc tak być musi...

I skrobnął już nogą, aby odejść, gdy naraz zapytał:

— Czy może tak piec, jak szynkę w cieście?

— A no! Widzisz, żeś nie taki głupi.

To go ogromnie ucieszyło. Poszedł teraz do swej pracy zupełnie zadowolony.

10. KONIEC TRIUMFÓW MYŚLIWSKICH.

Od tego pamiętnego dnia, w którym padł mój pierwszy słoń, naczelnik wsi i ludność miejscowa zaczęli jakoś innym wzrokiem na mnie patrzeć.

Wprawdzie jako myśliwy nabrałem u nich większego znaczenia, ale nie było już widać tego, co przedtem, entuzjazmu dla bezpłatnego dostawcy mięsa.

Zwierzyna już im zbrzydła, a perkalu i paciorków mieli także dość.

Mieli też dość moich ludzi, których swoboda i pewność

siebie zaczęły ich razić. Konflikty, wprawdzie o drobnostki, stawały się coraz częstsze. Ale mimo, że zawsze w takich razach stawałem po ich stronie i każde „milando“ [1]) łagodziłem odpowiednią zapłatą, nie mogłem już ich sobie pozyskać.

Oznaki niezadowolenia wystąpiły jeszcze bardziej w kilka dni później, gdy mi się udało w dwóch następnych spotkaniach ze słoniami zabić dwie dalsze sztuki.

Jak dotychczas, mąki, bananów, jaj i tytoniu było zawsze dość, teraz nagle zabrakło wszystkiego. Ludzie, wysłani po zakupy, wracali z niczem.

Odpowiadano im wszędzie:

— Jużeście wszystko we wsi wyjedli!

Nadeszła chwila, aby stąd się wynieść. Tem bardziej należało to uczynić obecnie, gdy na otwartym stepie coraz mniej było tropów słoni, zato, wedle raportów moich ludzi, coraz więcej w okolicy lasów palmowych, dokąd i tak miałem się przenieść z obozem.

Wymarsz zapowiedziałem na dwa dni naprzód, aby tragarze mogli uporządkować swój bagaż i swoje suszone mięso, którego było co najmniej dziesięć ładunków.

W przeddzień wymarszu zjawiła się u Goziego grupa uzbrojonych w strzelby ludzi, a z nimi posłaniec, który jakoby miał list dla mnie.

Sensacja we wsi ogromna. „Kalata“ [2]) dla „muzunga“, to rzecz, o której zaledwie wiedzą ci, co u białych służyli. Ale i dla mnie niespodzianka nadzwyczajna, bo tu w puszczy prędzej się mogłem spodziewać najścia słoni na obóz, aniżeli listu.

Zaledwie mi o tem doniesiono, już zjawił się sam Gozi, prowadząc za sobą murzyna z listem. Przybiegła za nim też połowa ludności miejscowej, ciekawa dowiedzieć się, co ta „kalata“ przynosi dla białego i jakie na nim zrobi wrażenie.

---

[1]) Milando = spór, zatarg.

[2]) Kalata (— z portug.: carta) = list.

Z listu tego ucieszyłem się bardzo. Pisał go Staszek Steblecki ze wsi nad Mansą, a ludzie Malauriego list ten przynieśli.

Od czerwca nie widziałem się z nim, ani też z bratem jego Kazimierzem, tem też skwapliwiej otwierałem zawinięty w kawał ceraty papier, aby wyczytać, co mię ze względu na moich przyjaciół i nasze wspólne sprawy najbardziej interesowało. Donosił — między innemi — że od czasu mego wyjazdu z Szamu, był już dwukrotnie u Malauriego w celu zakupienia kości słoniowej. Za każdym razem był bardzo gościnnie przyjmowany i traktowany w sposób prawdziwie zdumiewający.

Ponieważ Malauri — jak sam mawiał — chciał w nim widzieć swego przyjaciela, nie chciał wejść z nim w żadne handlarskie targi, ale zaproponował oddanie mu całego ładunku towarów, jakie miał ze sobą, bez oznaczenia ceny, aby on, król, mógł mu pokazać swoje serce.

Tego rodzaju postawienie sprawy, jakkolwiek ryzykowne, okazało się w rezultacie bardzo korzystne. Malauri bowiem obdarowując go ze swej strony kością słoniową, oddał mu w niej niemal podwójną wartość zabranych towarów.

Obecnie po odesłaniu do Szamu kości, Staszek wybierał się do Blantyre, aby tam nabyć kawałek gruntu pod uprawę kawy.

Powrót swój naznaczał na połowę grudnia tak, abyśmy — jak pisał — na Boże Narodzenie wszyscy trzej razem znaleźć się mogli.

Łódź, po wyładowaniu kości słoniowej, miała zaraz wracać do Katungi i najdalej z końcem października mogłem się jej tam spodziewać.

To było wszystko „all right“ (ol rajt), jakby powiedział Anglik, ale „post scriptum“ z datą późniejszą i „na wychodnem“ odwracało dobre wieści „do góry nogami“.

Pisał tam:

„Malauri czegoś zły na ciebie. Dziwi go, żeś dotychczas tu nie był, a polujesz w jego kraju. Jego poddani, jak mi

chce tłumaczyć, są przeciwni temu, abyś strzelał słonie, które są własnością królewską. Często chytrze mię zapytuje: czy „kangremu“ twój brat? Chce uchodzić za naczelnika całego kraju, a więc za następcę Kasisiego, jakkolwiek chodzą pogłoski, że inni Makololowie na wybór ten się nie zgodzili. Istnieje między nimi jakieś nieporozumienie. Anglików podejrzewa o intrygi przeciw swej osobie. Gdy się dowiedział, że idę do Blantyre, nie pokazał się u mnie przez dni kilka. Chciał mi w ten sposób okazać swe niezadowolenie. O posłańca z listem zaledwiem się go doprosił. Sytuacja bardzo niewyraźna. Radzę, abyś na mnie nie czekał i, skoro tylko łódź tu powróci, wracał wprost do Szamu. Co do mnie, to powrócę parowczykiem, skoro ten tylko przy wyższym stanie wody do Katungi dotrze; w najgorszym wypadku miałbym jeszcze drogę wolną górami na Mlandzie, szlakiem handlarzy niewolników. Oczekuję listu od ciebie“... i t. d.

Nieoczekiwana ta wiadomość przekreślała za jednym zamachem wszystkie moje plany na najbliższą przyszłość. Już nie było mowy o dalszem polowaniu na terytorjum Malauriego. Dotychczas tylko Portugalczyków uważał za swoich wrogów; gdy obecnie i Anglików podejrzewa o udaremnianie jego wyboru i niechęć im swoją okazuje, nie będzie i mnie tolerował w swoim kraju, jako ich przyjaciela.

Wyjaśniło się, dlaczego „mfumo“ Gozi był mi w ostatnich dniach niechętny i dlaczego ludność nie chciała już sprzedawać żywności mimo wyższych, niż zazwyczaj, cen.

Słusznie też przypuszczać mogłem, że ta uzbrojona banda, która, niby dla bezpieczeństwa posłańca tu przyszła, wyznaczona była dla obserwowania moich ruchów i przeszkodzenia mi, gdybym zamiast nad Mansę wprost do Blantyre chciał powracać.

* * *

W dwa dni później — gdym zwijał obóz — zjawili się owi uzbrojeni ludzie, również do drogi przygotowani, i chcieli przyłączyć się do mojej karawany.

Było ich dziewięciu. Nie było wątpliwości, że pod pozorem towarzyszenia karawanie chcieli mię eskortować.

To mię tak oburzyło, że Goziemu, który z nimi przyszedł i o ich zamiarze objaśnił, kazałem wynosić się z obozu, ludziom zaś, pokazując na list, kazałem wracać nad Mansę najkrótszą drogą, mając rzekomo dla nich taki rozkaz od króla.

Wiedziałem, że mogą w ten sposób usposobić dla siebie Malauriego jak najgorzej, że mogę utrudnić sobie odwrót i narazić się na wielkie niebezpieczeństwo, ale było mi już wszystko jedno.

Żadna miarą nie mogłem dopuścić, aby ludność nadrzeczna dowiedziała się, że idę nad Mansę pod przymusem, pod strażą dziewięciu drapichrustów, których w danym razie mogłem przepędzić sam na cztery wiatry.

Aby dać poznać naczelnikowi wsi, że nie dbam o to, co sobie o mnie pomyśli królik, wyniosłem się ze wsi bez wyjaśnień, dokąd zmierzam i czy zastosuję się do życzenia jego władcy.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Trzy dni jeszcze włóczyłem się po stepie.

Ciągnąc powoli ku Szirze, co dzień obozowałem na skraju lasów palmowych, mając przed sobą daleki widok na zieloną obecnie równinę, za sobą — owe tajemnicze żerowisko słoni, skąd każdej chwili spodziewać się mogłem wielkiego stada olbrzymów o kłach niewidzianej dotychczas długości — i od wieku sczerniałych.

I nie byłoby w tem nic szczególnego, gdyż już w pierwszym dniu odkryliśmy świeży szlak, w lasy prowadzący, a pozostawiony przejściem ogromnego stada.

Jakże więc trudno było rozstać się z tem miejscem, gdzie już pierwsze, większe moje triumfy myśliwskie świę-

ciłem, jak trudno było pogodzić się z myślą, że to już ostatnie dni moje w tem eldorado, i że bardzo wątpliwe, czy mi się uda kiedykolwiek jeszcze tu zapolować.

Chociaż tropić słoni nie miałem zamiaru, bo przecież oparłem się pokusie i nie poszedłem za ostatnim świeżym tropem, to przecież ujrzeć je, móc je obserwować z ukrycia, podpatrywać szczegóły ich życia, było żywem jeszcze mojem pragnieniem.

Tymczasem trzeba było zająć się ludźmi, którzy zaczęli dawać coraz więcej powodów do troski.

Już w chwili opuszczania wioski Goziego zauważyłem, że Kafrzy moi są wylęknieni z powodu zajścia z eskortą Malauriego, nie przypuszczałem jednak, że wezmą sobie ten wypadek do serca więcej ode mnie, który go wywołałem.

Strach przed Malaurim był większy, aniżeli autorytet „muzunga“, który przestał być przyjacielem królewskim.

Dyscyplina, i tak trudna do utrzymania w takiem zbiorowisku, zaczęła się rozluźniać.

Przyszły zatargi między tragarzami zazwyczaj na postojach. Kłócili się o pakunki. Partja Antonia z jednej, partja Namondiego z drugiej strony wydziwiała sobie teraz tak, że bliscy nieraz byli bijatyki.

Adżawowie, którym przewodził Namondi, nie chcieli nieść nic więcej ponad swoje suszone mięso i domagali się od kapitana, aby ich uwolnił od dźwigania nadprogramowych ciężarów, jak moje trofea myśliwskie, zaznaczając, że i tak dalej jak do rzeki nie pójdą, a stamtąd wprost do domów powrócą.

Sam Namondi zachowywał się jeszcze dotąd spokojnie, ale można było przypuszczać, że i jego ręka jest w tem wszystkiem. Czy Antonio nie miał również jakich złych zamiarów, nie wiem, ale zmiana w nim zaszła ogromna. Stumaniał do tego stopnia, że nie mogłem nieraz z nim się dogadać, przytem stracił całkiem posłuch w karawanie.

Tak samo Kaniole. Dotychczas zawsze wesoły i rozmowny, stał się teraz smutny i milczący.

Słowem, było źle.

Jakiś niepokój ogarnął murzynów, a najbardziej Adżawów, którzy i tak czuli się w tym kraju nieswojo i czekali tylko sposobności, aby się ulotnić.

W obawie, aby dezercja w pojedynkę nie rozluźniła do reszty karności między moją bandą, postanowiłem najbardziej niezadowolonych i lękliwych rozpuścić do domów.

Gdyśmy drugiego wieczora stanęli na nocleg, a chłopcy niebardzo raźnie wzięli się do zakładania „msasy", kazałem Adżawom stanąć do apelu, a zapłaciwszy ich zasługi, zwolniłem ze służby.

To samo zrobiłem z Namondim. Dawszy mu przyrzeczony dawniej karabin, poleciłem pod grozą odpowiedzialności (oczywiście w imaginacji) odprowadzić swoich do Blantyre. Zarządzenie to uspokoiło trochę wszystkich, a Namondi uczuł się nawet w obowiązku usprawiedliwić swoje tchórzostwo, bo, jak twierdził, słyszeć mieli niektórzy z jego ludzi, że wysłańcy Malauriego im się odgrażali z powodu jakoby bezprawnego wtargnięcia do ich kraju i polowania. Nad Mansą mieli się z nimi porachować. Tego chcieliby przecież uniknąć.

I tej samej nocy, nie czekając na list, który miałem im dać do Stebleckiego, wynieśli się z obozu cichcem.

Miało ich odejść jedenastu, poszło piętnastu.

Po takiem uszczupleniu świty trzeba było już najkrótszą drogą dążyć ku Szirze, gdzie nawet w razie dezercji łatwiejby mi było dostać jakąś pomoc, aniżeli na tem odludziu.

A nastroj wśród ludzi był coraz gorszy. Widać było po ich minach, że gotowi są pójść śladem Adżawów i drapnąć w nocy podczas najbliższego postoju.

Naciągałem więc i własne nogi i karawanę podpędzałem, aby dziś jeszcze zbliżyć się do rzeki i, jeśli możliwe, prze-

prawić się na którą z licznych wysepek, skąd ucieczka byłaby już trudniejsza.

W południe przecinając wyskok lasu palmowego, który tu jakoby język wrzynał się w step, spostrzegłem w pewnem oddaleniu sępy.

Krążyły całkiem nisko nad dżunglą trzcinową, to zapadając na ziemię, to podrywajac się, jakby je kto płoszył, najwidoczniej z wielkiego jakiegoś padła.

Musieli to także dostrzec i moi chłopcy, bo oczy mają orle, ale nie zwracali dziś na to żadnej uwagi.

Odzywam się więc do kapitana:

— Antonio! Tam pewnie leży słoń! Wartoby zobaczyć! Gdybyś tak przyniósł kły, mógłbyś zarobić dwie lub trzy sztuki płótna albo nawet karabin!

Przemówienie moje podziałało cudownie.

I nietylko Antonio, ale cała karawana, jakkolwiek objuczona tobołami, puściła się w kierunku sępów.

Tylko Kaniole, który dziś niósł mój ekspres podwójny (już naprawiony), pozostał przy mnie.

Nie spieszyłem się wcale za nimi, tembardziej, że trzeba było zboczyć trochę z właściwej drogi. Zatrzymawszy się u jednego z licznych tu kopców termitowych, z wysokości jego śledziłem karawanę.

Za chwilę widzę ku memu zdziwieniu, że cała gromada nietylko nie zbliża się do wskazanego przez sępy miejsca, ale obchodzi je zdaleka i wreszcie staje na uboczu.

Zachodzę w głowę, co to być może. Nie znalazłszy żadnego wyjaśnienia i widząc, że wysłańcy zawracają, idę sam w to miejsce.

Gdym już był dość blisko, spostrzegłem, że obok tego miejsca na wzgórku termitowym stoi grupka jakichś dzikusów, uzbrojona w łuki, i przypatruje się grze sępów.

Spostrzegłszy mnie idącego wprost na nich, zsunęli się z kopca — i skryli w trzcinach.

A sępy wciąż krążą, spadają wdół i pokrakują. Czasem

ten lub ów kawał ścierwa w dziobie uniesie i szybko umyka przed towarzyszami, które usiłują mu zdobycz tę odebrać.

Wspinam się na kopiec, opuszczony przed chwilą przez nieznanych dzikusów. O dwadzieścia kroków przede mną z gmatwaniny stłoczonych trzcin wygląda czarne cielsko nieboszczyka słonia.

Straszliwy fetor idzie stamtąd. Zapewne trup leży tam już od wielu dni.

Któżby zastrzelił tego słonia? Przecież nie czarni, których tu przed chwilą widziałem. Minęły te czasy, kiedy polowano nań przy pomocy dzid i łuków. Zresztą, gdyby krajowcy go zabili, to nie pozostawiliby go sępom, ale rozebraliby mięso do cna.

O kłach oczywiście ani mi się śniło.

Zlałszy z kopca, podchodzę do padła, ale z przeciwnej strony, aby uniknąć duszącej wprost woni, jaka rozchodzi się pod powiewem wiatru.

Gdy przedzieram się przez pomierzwioną zaporę trzcinową, słyszę wołanie moich ludzi, stojących zdala, i urywane wykrzykniki:

— „Muzungu! Muzimu apano!“ [1])

Uchodzi to jednak mojej uwagi, bo walcząc ze sobą, aby przezwyciężyć wstręt na widok góry, ruszających się od robactwa flaków, chcę równocześnie zaspokoić ciekawość, w jaki sposób zginął ten gruboskórzec. Zbliżam się do głowy...

Głuchy, jakby z pod ziemi wydobywający się pomruk, zatrzymuje mię na miejscu. Staję bez ruchu z bronią, gotową do strzału.

Drugie mruknięcie i krótki ryk daje mi poznać, że z groźnym przeciwnikiem mam do czynienia.

Kaniole, zorjentowawszy się prędzej, o co chodzi, cofa się poza wiatr. Czynię to samo, wracając na miejsce obserwacyjne poza kopcem termitów.

---

[1]) Muzungu! Muzimu apano! = Biały! Tam duch!

A tam ze stepu dolatują wołania:

— Zostaw go! To „muzimu“, nie strzelaj!

— Dam ja wam „muzima“ — myślę w duchu, ale się nawet nie zwracam do nich, tylko jeszcze bardziej przytuliwszy się do kopca, staram się rozeznać, gdzie ten „muzimu“ się kryje.

Niestety, przestał mruczeć, nie daje znaku życia.

Tylko sępy pokrakują coraz żałośniej, kołując wytrwale nad naszemi głowami.

Podłażę wyżej, wreszcie staję na kopcu.

W tej samej chwili dostrzegam poza grzbietem słonia długi płowy ogon o ciemnej kiści, poruszający się w nerwowych uderzeniach o ziemię.

Znikła wątpliwość, kogo mam przed sobą.

To lew, ale tak zaszyty głęboko we wnętrzu, czy poza grzbietem słonia, że reszta ciała zupełnie niewidoczna.

Jakby go stamtąd wydobyć? Będę chyba tu czekał sposobnej chwili, gdy zechce zmienić miejsce, bo lepszej pozycji, jak obecna, nie znajdę tak rychło.

Niestety! Mijają dwie, trzy minuty, a lew tkwi tam wciąż bez ruchu.

Już ani mruknięcia, ani nawet ruchu ogonem niema.

Może umknął?

Kaniole, który cały czas przywarty do ziemi u stóp kopca milczał jak zaklęty, chce mi coś teraz powiedzieć.

Zsuwam się niżej, aby go usłyszeć.

W tem krótkie chrapliwe ryknięcie i silniejsze uderzenie ogonem.

A więc jest, gniewa się, drażni go nasza obecność. A może to spowoduje, że okaże nam swą głowę, a choćby tylko bok. Widzę teraz oprócz ogona część krzyżów, nie więcej jednak, jak na szerokość dłoni.

I to dobre! Cel mały, ale i odległość tak mała, że gdyby tam było oko, gdzie kręgosłup się kończy, trafiłbym jak w „czarne“ na tarczy.

Spróbuję grubego kalibru. Jeśli wielkim pociskiem przełamię krzyże choćby w tem miejscu, to z pewnością daleko nie pójdzie, a wtedy dobiję go z łatwością.

I w tej myśli wysyłam Kaniolego po moją ósemkę, dziś wyjątkowo nie w jego rękach, sam zaś pilnie obserwuję amatora dobrze skruszałej dziczyzny.

A chłopcy moi, a nawet stary Antonio, bo rozróżniam głos jego, wołają, abym dał spokój. Ale na to wobec bliskości tak groźnego sąsiada, mam jedną tylko odpowiedź: pokazuję im zaciśniętą pięść.

Po małej przerwie już jest Kaniole z ósemką.

Lew cały czas zachowuje się najspokojniej.

Dopiero, gdym z gotową do strzału bronią podsunął się ku szczytowi kopca, mruknął gniewnie kilka razy. Ruszył się przytem, odsłaniając dalszą część kręgosłupa.

Bez wahania strzelam w środek krzyżów, w miejsce, jak sądziłem, nerek.

Cisza...

Przy padle nic się nie poruszyło, ale i my nie ruszamy się, czekamy jeszcze chwilę.

Kaniole, który jakimś sposobem wyrwał parę grud, ciska teraz w zad lwi, nie wywołując odpowiedzi.

Ogon bezwładnie leży na ziemi.

Zbiegli się teraz wszyscy; zjawili się także owi obcy łucznicy. A Kaniole, podbiegłszy do lwa, najpierw ostrożnie pociąga za ogon, a potem całe cielsko wywleka na widok.

Jest to lwica.

Ogromny zwierz, stary i chudy jak szkielet. Włos ma wytarty i wiele łysych miejsc na skórze. Łeb potężny, ale w paszczy wszystkie cztery kły i do połowy zjedzone, i czarne od starości.

Typowy „maneater“ [1])

---

[1]) Maneater (ang.) czyt. meniter = ludożerca.

Robi się gwar. Wszystko ciśnie się do lwa, kopie go nogami, dźga dzidami, wyzywa go i przeklina. Ogarnęła ich wnet taka wściekłość, że musiałem ich rozpędzić, bo byliby lwicę rozszarpali na kawałki.

I zniszczyliby czaszkę, o którą mi chodziło, i pazury, potężne i zdrowe,

Usiadłem na rozrzuconych tobołach kręcąc papierosa, i czekam, kiedy skończą z lwicą, aby pójść dalej.

Ale tam wre jak w ulu, ciągłe jeszcze jej wymyślają i krają, a krają. Pocieli ją na kawałki, tak, jak to czynić zwykli z nieprzyjacielem, schwytanym podczas wojny, a wyciąwszy serce, zawiesili na dzidzie.

Poniosą je do wsi i przy zachowaniu tajemniczego ceremonjału piec je będą, aby rozdzielić pomiędzy mężczyzn, a zwłaszcza myśliwych.

Jest to „medycyna“, która dodaje mężom kaferskim tężyzny i odwagi.

Nie mogąc już wytrzymać w tem miejscu, bo fetor stawał się coraz bardziej drażniącym, przynaglam ludzi, aby się śpieszyli, bo dziś jeszcze na noc mamy się dostać na wyspę.

Przypominam sobie o słoniu i pytam mimochodem Kaniolego:

— A któż to, myślisz, mógł zastrzelić tego słonia?

— Jakto kto? Przecież „muzungu“.

— Ja?

— Tak! Wszak to jeden ze słoni, strzelanych na wyspie.

— A to miałby kły.

— Zaraz będą, Antonio je oczyszcza, bo bardzo śmierdzą.

Osłupiałem, trudno mi było uwierzyć w to wszystko. I lew ubity, i postrzałek odnaleziony, a co więcej z kłami, mimo, że czarni z wysepek okolicznych chodzili tu około niego dwa dni.

Lwica, ta lwica-szkielet, trzymając pilną straż przy słoniu, ocaliła moje trofea.

Ale czy naprawdę moje?

Notując w dzienniku wypadki dnia dzisiejszego, postawiłem obok słów:

Słoń, młody samiec, kły mizerne — postawiłem znak zapytania...

11. POŻEGNANIE STEPU.

Prowadzeni przez owych łuczników, którzy rozentuzjazmowani z powodu zabicia tak niebezpiecznego rabusia, jakim musiała być ta lwica, zapraszali nas do swojej wioski, stanęliśmy nad Szirą jeszcze za dnia.

Naprzeciw mamy małą wysepkę, gdzie znajduje się ukryte wśród kępki bananów osiedle owych ludzi. Tam mamy nocować.

Zanim porozumiano się z wyspiarzami, zanim sprowadzono łódkę, musieliśmy na tym brzegu wyczekać do zachodu słońca.

Korzystając z tej przerwy, podczas której gromadka moja zasiadła z łucznikami do przyjacielskiej pogawędki, poszedłem pod las palmowy, aby zwyczajem moim podumać w samotności i pożegnać się ze stepem.

Na jednym z większych kopców termitowych znalazłem dla takiego celu wyborne miejsce.

Widok stąd bardzo rozległy. Mam i duży obszar stepu przed sobą, ramię rzeczne z zarośniętemi gąszczem wyspami, z boku zaś i na tyłach wysoki las „Mawumu".

Spokój i cisza.

Umilkł nieprzyjemny szelest liści palmowych, bo wiatr, jak zwykle, pod wieczór, się ułożył — senność dziwna zaciążyła nad okolicą. Słońce ostatniemi blaskami ozłociwszy wyniosłe korony drzew, pokryło ciemnemi plamami

równinę, a poza kontury gładkich pni rzuciło cień nieprzenikniony.

Oprócz małego stadka kozłów wodnych, co z ostrożnością i jakby wahaniem wysuwało się z rzadkiego lasu, innej zwierzyny nie widać.

Smutek i tęsknica zaciążyła na sercu. Taka zda się pustka i osamotnienie, że chyba nie masz co tu robić, biały człowieku!

Ale złuda! — złuda!

Tam w sercu stepu skoncentrowało się teraz życie zwierzęce. I bawół, i antylopa, i zebra, i dzik, nie czując się bezpiecznymi wpobliżu lasów i zarośli, usunęły się na wolne przestrzenie, na małe wzniesienia i w pobliże poideł, dobrze im znanych. Z nastaniem nocy bowiem wyjdą ze swych kryjówek wszystkie drapieżce.

A może już dążą. Może są już w drodze i wrogi lew, i pantera, i zwinny serwal, i nikczemna hiena, i stoczą tu walki śmiertelne, ugruntowane na prawie silniejszego — roznosząc po stepie mord i zniszczenie, zechcą wnet rozgłośnemi rykami i wyciem ogłosić wystraszonej rzeszy słabszych od siebie, odwieczną groźbę: vae victis! (biada zwyciężonym!).

Wszystko się korzy przed tymi tyranami ciemności.

Tylko słoń, ten silny, lecz cichy i potulny mędrzec, przesuwa się spokojny pomiędzy tą zgrają...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Oto tajemnice stepu!

Dopiero ten, kto je odkrył, może pokochać ten zakątek.

I gdy sobie dziś przypomniałem kilka faz z lat poprzednich — z okresu palenia traw, gdy goły step pod pokrywą szarych popiołów wyglądał jak zamarły świat, a bezlistne lasy od dymów i sadzy sczerniałe, jak olbrzymie kupy chrustu, jak odstraszającym wydał mi się wówczas ten kraj egzotycznych łowów. Bo też nic smutniejszego

chyba nad ten obraz zniszczenia wyobrazić sobie nie było można.

A jednak!...

Stał się dla mnie dopiero teraz ponętny, gdym tajemnice jego bliżej poznał.

Ale nato trzeba być myśliwym, a może trochę i poetą, aby z grozy otoczenia, z pustkowia, śmiercią wiejącego, wykrzesać w pewnych chwilach w swej wyobraźni czarowne obrazy, które upajają i pozostają na zawsze drogie i niezapomniane.

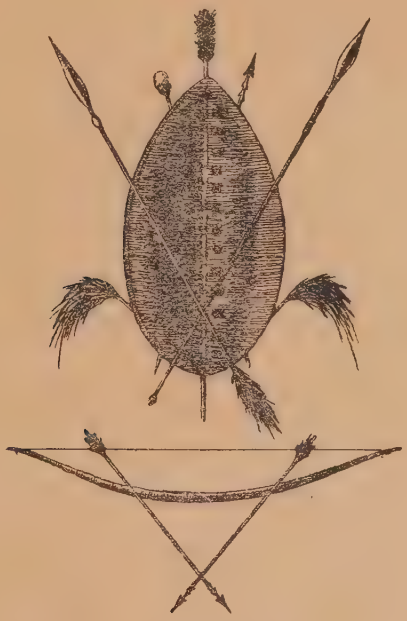

Broń Angonich
(górna Szira).

SPIS TREŚCI:

Wstęp 1

I. Na wodach Sziry . . . . 3—37

1. Przygotowania do wyjazdu 3
2. Wśród łowców hipopotamów 9
3. W pułapce hipopotama . 16
4. Na pograniczu Makololów 23
5. Pierwszy strzał, pierwsze słonie i pierwszy ryk lwa 26
6. W stolicy makololskiej . 34

II. W górach . . . . . 38—111

1. Kraj, przyroda i ludzie . 38
2. Tydzień febry 42
3. Przez góry znowu do Sziry 46
4. W poszukiwaniu „niamy“ 52
5. Obóz nad Rivi-Rivi . . 60
6. Szukanie słoni 66
7. „Bunt“ tragarzy 73
8. I znowu bezskuteczne poszukiwania 80
9. Zbłąkani bez wody . . 88
10. Nareszcie na świeżych tropach słoni 95
11. Powrotna droga 101

III. Na stepie i w dżungli 112—217

1. Przygotowania do nowej wyprawy 112
2. Osobliwości afrykańskie 125
3. Czaszka słonia i tabun bawołów 136
4. Przymusowa bezczynność 145
5. Są słonie!... 151
6. Ze słoniem oko w oko . 165
7. Przed nową wyprawą na słonie 179
8. W matni wśród słoni . 186
9. Mój pierwszy słoń . . . 195
10. Koniec triumfów myśliwskich 203
11. Pożegnanie stepu . . . 215

Wyk. „Książnica-Atlas" Lwów.

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096413569